

AKANT

ISSN-1429-9054 SWW 2711-2 Nr Rej. 295 Nr Indeksu 344141 NR 4(69) Rok VI kwiecień 2003 cena 4,00 zł (VAT 0)

www.akant.telvinet.pl ✉ e-mail: akant@akant.telvinet.pl

w numerze:

Jadwiga Badowska • Zbigniew Banaszak • Jolanta Baziak • Mateusz Bourkane • Wojciech Brzoska
 Tadeusz Chróścielewski • Stanisław Chyczyński • Halina W. Dobrucka • Eligiusz Dymowski • Dagmara Hajduk
 Waldemar Hilla • Jerzy Hłond • Grzegorz Iniewicz • Teresa Januchta • Bogdan Janusz • Aneta Jaworska
 Jacek Karolak • Daniel Kochan • Stanisława Kopiec • Tomasz Kosecki • Wiesław Kowalski
 Zbigniew Kresowaty • Marek Krzysztofiak • Maciej Kuczyński • Eugeniusz Kupper • Lilla Latus
 Małgorzata Lewicka • Tadeusz Lira-Słiwa • Joanna Ładanaj • Lech Łbik • Alicja Mazan-Mazurkiewicz
 Hanna Mierzwa • Arkadiusz Mika • Ariana Nagórska • Janusz Orlikowski • Marta Otrębska • Piotr Paschke
 Stefan Pastuszewski • Janusz Piczak • Edmund Pietryk • Bogumił Rogalski • Monika Różewicka
 Yauheni Sień • Alfons Soczyński • Ruth Sorel-Choromańska • Stanisław Stanik • Jerzy Stążka
 Han Suyin • Jacek Tabisz • Lechosław Trubicki • Barbara Tylman • Barbara Witucka
 Paweł Zawadzki • Dariusz Adam Zeller

Jerzy Stążka

Przeprawa

Puszka dźwięku otaczała nas dwoje. Puszka klekotu starej furgonetki. My dwoje w szoferce, zapach rozgrzanego skaju, rozdygotanie na wybojach drogi. Dłonie pociły mi się, aże się sliżały na plastiku kierownicy, powietrze drgało podobne przezroczyście cielesności upału. Drżał drzątek do zmieniania biegów, gumowa wycieraczka zagęszczała cień przy podłodze czernią i zapachem, gęstym, ciężkim, lepkiem. Nie zwracając spojrzenia na dziewczynę, czułem tak, jakbym widział: prosta, jakby chłopięca talia, sterujące piersi, małe a ostre jak trapezy, na których sutki tańczą, twarz ciekawa, żywa mimiką podobną do obrazów w wodach, kiedy postrzępią się i przesuwają ponad nimi chmury. Jej twarz, wyraźnie pociągła, miała zarys liścia akacji. Szoferka była pełna jej obecności, dziewczęcego zapachu, pewności, jaką może mieć kobieta albo akacja.

Milczenie stawało się męczące, miało budowę oczekiwania, jaką ma pożądanie. Może czując to, przerzuciła most nad pożądanym, mówiąc: „nie obchodzą mnie mężczyźni, kocham kobiety, kołysanie ich bioder, płoteczki. Możesz skupić się na prowadzeniu, jakbyś jechał z kolegą, pogadamy sobie...”

Droga wspięła się pod górę i zmieniłem bieg, jeszcze mocniej wdychając zapach jej dziewczęcości. „Nie czuję się z tobą jak z kolegą, pociąga mnie tajemnica, czekam na coś – z kolegą jest zupełnie inaczej.” Odsunęła się nieco, ale tak jakby mnie zapraszała. „Powiedziałam ci, że nie obchodzą mnie mężczyźni, już to jest tajemnicą, a poza tym, ty nie jesteś tylko mężczyzną.” „Kim zatem jestem?” „Dobrze wiesz... i nie prowokuj mnie... nie wiem jeszcze, czy chcesz odkryć tajemnicę?”

Cisza ciasno upchała swój szary mózg w szoferce, a warkot silnika nie należał do jej świata. Ani nie umiałem się skupić na prowadzeniu samochodu, ani na dziewczynie, coś mnie dręczyło, jakbym coś zgubił. Dotknąłem jej ręki, poczułem gładką skórę, lekki puszek, drobiny potu... przesunąłem ręką po jej przedramieniu, już nie miałem wrażenia, że coś zgubiłem. „Ja się nie pocę”, powiedziała, „nauczyłam się używać swojego ciała.” Pomyślałem, że jest przemądrzała. „I czego się jeszcze nauczyłaś?”, zapytałem nie kryjąc ironii. „Może byś się zdecydował, czego ode mnie chcesz!” „Bgdź ze mną, tego chcę...” Odsunęła się jeszcze bardziej, oparta o drzwi szoferki; patrzyła na mnie. „Nie mogę być z Tobą, to właśnie jest moja tajemnica...”

Zatrzymałem samochód, odwróciłem się w jej stronę. Powiedziałem: „ale ja mam Ciebie, co mogę zrobić?” „Posłuchaj...”, mówiąc przytknęła oczy... „Miałam może czternaście lat, kiedy wybrałyśmy się z koleżanką na wiosenny spacer; z taką koleżanką od tego, co się wtedy nazywało wszystkim, chciałyśmy dzielić cokolwiek było... teraz nie rozumiem, że nie miałyśmy siebie dosyć... w każdym razie nie tego wiosennego dnia. Zamiatałyśmy powietrze zamaszystymi krokami, podskakiwałyśmy prawie jak koniki polne. Dłoń w dłoń, połączone wspólną błonką potu i ciepła, niemal biegnęłyśmy. Wysokie, szerokolodogie trawy pachniały wodą i fermentującą glebą, a parasol światła rysował gdzieś kreski horyzontu, dużo mniej ostre niż zarysy traw. Nie można było dobiec horyzontu, ale my biegnęłyśmy, rumiane policzki, kołujące serduszka i tężowe widziadelka, kiedy się mrużyło oczy. Któraś potknęła się o kępę trawy, za nią pochwycona spoczną dłonią upadła i druga. Leżałam mrużąc oczy, specjalnie, żeby wbić się w tęczę... zobaczyłam postacie w różnych kolorach tęczy, idące po pasach, ale jakby nie umiejące przejść do następnego pasa barwy... dreptały w miejscu zagęszczając swój własny kolor... takie to było nieznośne! A ja nic nie mogłam; oni dreptali beznadziejnie i przymusowo... nic sama nie mogłam zmienić... wtuliłam się w koleżankę, objęła mnie również bardzo mocno, jakby i Ona pragnęła coś zmienić... znikły trawy, horyzont, światło, wtulone w siebie byłyśmy otoczone postaciami, które same były jasnym, pełnym światłem; ich twarze, te same co u tamtych rozpaczliwych wędrowców, ale teraz rozpodgrodzone, ufne... Za chwilę znowu poczułam wilgoć trawy; leżałam wtulona w Przyjaciółkę. Nie umiałyśmy opowiadać o tym zdarzeniu, a kiedykolwiek później przytrafiło się dzielić nam wspólnie radość, to znowu przeprowadzałyśmy tych uwieczonych w kolorach do świata jasności. Tak samo zdarzało mi się z nowymi Przyjaciółkami, że przeprowadzałyśmy dusze...”



Łabędź niemy
 Fot. Cezary Tajer

Zapaliłem motor i jechaliśmy w milczeniu, zaufałem jej.

Daniel Kochan

Jaka Białoruś?

W styczniowym numerze „Akantu” ukazał się artykuł Stefana Pastuszewskiego, pod znamionem – wydawało by się – tytułem „Hajda na Dobroruś!”. Mogło by się wydawać, że autor chce bronić dobrego imienia Białorusi – ale jest inaczej. Tytuł i niektóre sformułowania mogą jednak być bardzo mylące – podobnie jak umieszczenie go tuż obok eseju Sokrata Janowicza „Białorusini: naród z narodu”. Problem nie tkwi w tym, że S. Pastuszewski chwali Łukaszenkę – bo ostatecznie każdy może lubić, kogo chce – nawet Łukaszenkę, ale w tym, że myli dyktaturę Aleksandra Griegoriewicza z Białorusią!

„Dobroruś” Tadeusza Konwickiego – to stara przedsowiecka wiejska, spokojna, ludowa Białoruś. Ma ona bardzo niewiele wspólnego z Łukaszenkowską Republiką Białoruś – której pochwałę mogliśmy przeczytać w „Akancie”.

Zartem – lub całkowitą nieznajomością faktów jest stwierdzenie, iż A. Łukaszenko został wybrany na prezydenta Białorusi „demokratycznie, bez żadnych fałszerstw”! Jeżeli pierwsze wybory w 1994 rzeczywiście były demokratyczne, to już przedłużenie kadencji i wybory z 2001 roku takimi nie były. Najbardziej żalosalne jest to, że wybory w 2001 roku Łukaszenko i tak by wygrał – ale mimo to postanowił je sfałszować, by osiągnąć wyższy wynik wyborczy. Myślę, iż fakt ten nieźle charakteryzuje ów reżim...

Jak można chwalić „Bačkę” i szukać argumentów na tę pochwałę w wypowiedziach Zianona Paźniaka? Jeżeli Paźniak mówi: (...) „Niezależność to naturalne prawo całego narodu, każdego obywatela. Tylko ona i tylko suwerenność państwową otwierają drogę naszemu państwu do europejskiego i międzynarodowego społeczeństwa demokratycznego.” – to ma na myśli nie tylko coś innego niż robi A. Łukaszenko – ale po prostu odwrotność tego, co robi prezydent RB! Paźniak – podobnie jak część opozycji z Białoruskim Frontem Ludowym (BNF) na czele – jest zwolennikiem państwa w pełni suwerennego, a więc bez żadnej formy nie tylko zależności, ale choćby szczególnych związków z Rosją oraz państwa narodowego Białorusinów, opartego o: język białoruski, białoruską kulturę, oraz historię Wielkiego Księstwa Litewskiego i późniejszych ruchów niepodległościowych (często antysowieckich). A czego chce – i niestety skutecznie realizuje – Łukaszenko i jego poplecznicy? Ideę zbliżenia z Rosją – i gdyby nie fakt, że po zawarciu pełnej unii Łukaszenko straciłby władzę – (zwłaszcza odkąd prezydentem Rosji jest Putin nadzieje Aleksandra Griegoriewicza na zostanie prezydentem Związku zmalały do zera!), już dawno bez zmużenia oka włączyłby Białoruś do Rosji. Ale pod wieloma względami Białoruś już dawno jest w Rosji, a pod innymi wciąż jeszcze jest w Związku Sowieckim – tylko, że „Dobroruśi” już w niej nie ma – a jeśli jeszcze coś z niej zostało, jest skutecznie i bezwzględnie zwalczane.

W oparciu więc o jakie fundamenty budowana jest państwowość Republiki Białoruś A. Łukaszenki? Na bazie języka rosyjskiego, który nie tylko króluje w całym państwie, ale celowo jest uprzywilejowany, podczas gdy język białoruski jest celowo niszczone i ograniczany jest zasięg jego użycia. Dobrze wiedział prezydent, co robi, nadając rosyjskiemu status równoprawnego z białoruskim języka państwowego. Takie postawie-

nie sprawy jest beczelnym kłamstwem – naprawdę jedynym językiem, nie tylko oficjalnym, ale wręcz urzędowym, jest rosyjski. Załatwienie jakichkolwiek spraw urzędowych po białorusku graniczy z cudem – a znalezienie druków urzędowych w tym języku jest niemożliwe. Każdy obywatel Polski przekonuje się o tym na granicy – gdzie dostaje deklarację celną w języku rosyjskim – i nigdy nie udało mi się spotkać z drukiem ani w języku białoruskim, ani polskim. Status jedynego języka państwowego dla języka białoruskiego był bodaj ostatnią okazją, by jednak odrodzić tę mowę – mam smutne przecucie, iż moment, w którym było to możliwe, już przeszedł i więcej się nie powtórzy... By tak się stało, osoby próbujące publicznie wypowiadać się po białorusku są szykanowane, właśnie ze względu na mowę, jakiej używają – mimo iż oficjalnie jest to równoprawny język państwowy! Nie istnieje też właściwie na Białorusi żadna kultura białoruska. Oryginalna białoruskojęzyczna jest niestety zjawiskiem marginalnym – tak jeżeli chodzi o liczbę twórców, jak i odbiorców tej kultury. Kultura rosyjskojęzyczna Białorusi jest nierozzerwalną częścią kultury rosyjskiej – jeżeli ktoś jest popularny w Rosji, jest też popularny na Białorusi – i nie ma znaczenia czy pochodzi z Irkucka, czy Mińska... Większość, a może nawet wszyscy rosyjskojęzyczni twórcy pochodzący z Białorusi robią karierę w Moskwie, a w Mińsku odbiera się ich na takiej samej zasadzie, jak w Czeliabińsku.

No i na koniec właściwa „nadbudowa” ideologiczna państwa – historia i tradycja – w Łukaszenkowskim wydaniu wyłącznie sowiecka. Białorusini powołują się na plemię Krywiczów – twórców Księstwa Połockiego w średniowieczu i Wielkie Księstwo Litewskie, które wbrew wrażeńi wynikającemu z nazwy, więcej miało wspólnego z Białorusią niż ze współczesną Republiką Litewską.

A jakie są tradycje historyczne Republiki Białoruś? – Związek Sowiecki i Białoruska SSR! Co prawda, nie liczy się już początek świata od 7 listopada 1917 roku, ale nadal wszystko, co było przedtem, jest tylko prehistorią. Jeżeli już ktokolwiek powołuje się na jakieś wcześniejsze tradycje – to na rosyjskie, nawet światowe – ale prawie nigdy WKŁ. W białoruskich muzeach najazd rosyjski z 1812 roku nazywa się wyzwoleniem – a o odbudowie Wielkiego Księstwa Litewskiego pod protektoratem Napoleona w ogóle się nie wspomina! I tak w każdej dziedzinie.

Jeżeli władze RB bronią jakiejś odrębności – to nie białoruskiej, ale sowieckiej! Tylko co to ma wspólnego z „Dobrorusią”?

Fałszywą jest też teza, jakoby Republika Białoruś sprzeciwiała się globalizmowi w jakimkolwiek wydaniu – sprzeciwia się tylko globalizacji w stylu zachodnim – tak jak to robiło sowieckie imperium. Jednak oprócz licznych złych zjawisk gospodarczych, a zwłaszcza „urawniłowki” kulturowej, zachodnia globalizacja niesie też jeden globalny standard demokracji – i to bez przymiotników (ludowa, socjalistyczna, Łukaszenkowska). A ten standard nie tylko nie jest wypelniany w Łukaszymie – ale jest z nim sprzeczny. Najlepszym tego przykładem mogą być ostatnie wybory samorządowe w RB, gdy na 24 tys. miejsc w samorządach, kandydowało 26 tys. kandydatów! To przecież 1,08 kandydata na jedno miejsce!!! Czy tu w ogóle można mówić o wyborach. Nawet PRL-owskie głosowanie bez skreśleń dawało większy wybór! Nie ma natomiast pan prezydent niczego przeciw globalizacji sowieckiej, którą z braku samego Związku Sowieckiego musi obecnie uprawiać z putinowską Rosją...

Nie ma też mowy o żadnym sprzeciwianiu się kapitalistom, by zachować majątek narodowy dla ludu Białorusi. Antykapitalistyczna, sowiecka retoryka Łukaszenki, w praktyce oznaczała niszczenie w RB wszelkiej miejscowej inicjatywy prywatnej, która mogłaby rozwinąć ten kraj gospodarczo. Jedyny wyjątek czyni się dla ludzi prezydenta – ci mogą się bogacić, ale to są najwyraźniej „stuszni” kapitaliści... Ci inni są „niesstuszni”, gdyż stanowią potencjalną konkurencję dla prezydenckich pupilków, a w przyszłości mogliby stać się bazą dla opozycji. Cała ta domniemana walka z globalizacją doprowadziła do

tego, że w chwili obecnej na Białoruś coraz pewniej wkracza kapitał rosyjski, bo miejscowego nie ma. Daje to tylko taki efekt, że gospodarka białoruska jeszcze ściślej zwiąże się, a właściwie uzależni się, od Rosji. O żadnej dywersyfikacji nawet mowy być nie może. Może i kapitał z UE i USA jest zły, ale czy rosyjski jest lepszy – zwłaszcza w warunkach monopolu?

„Jest prawdą, że słabością Białorusi – napisał S. Pastuszewski – jest niewydolność gospodarcza i, wynikiem z polityki przebrzmiałego już Imperium Sowieckiego, uzależnienie od Rosji. Właśnie ono, a nie A. Łukaszenko, jest największym zagrożeniem dla suwerenności naszego wschodniego sąsiada.” – Czyż nie widzi Pan – Panie Stefanie, że niewydolność gospodarcza, i uzależnienie gospodarcze od Rosji, oraz Łukaszenko, nie są zjawiskami niezależnymi od siebie – ale wręcz przeciwnie – niewydolność i zależność, są właśnie wynikiem polityki „pierwszego prezydenta RB”?

Oczywiście, że historycznie – a nie tylko geograficznie – Białoruś jest częścią Europy, ale nie tylko lata przynależności do imperium, lecz przede wszystkim obecna polityka władz białoruskich stara się te związki z Europą (w szczególności Republiką Litewską i Polską) wymazać – skazując wyłącznie na związki z Rosją. Dla A. Łukaszenki Białoruś, nie jest częścią obszaru „między Gibraltarem, a Uralem” (w którym mieściła by się zarówno Rosja, jak i UE) – lecz wciąż żywej całości „od Brześcia do Władywostoku”.

Natomiast twierdzenie, że Kościół Rzymskokatolicki na Białorusi używa dosyć powszechnie języka białoruskiego, w wyniku porozumienia z rządem (białoruskim?) – jest tak absurdalne, że szkoda z nim dyskutować... Na pewno rządy epoki Łukaszenkowskiej, które jeżeli nie zwalczają aktywnie białoruskości, to już na pewno jej w żaden sposób nie popierają, takiego porozumienia nie zawarły. Popierają za to cerkiew prawosławną Patriarchatu Moskiewskiego (niezależna cerkiew prawosławną jest w RB zabroniona i prześladowana), która jest jednym z najaktywniejszych rusyfikatorów i przeciwników białoruskiej odrębności we wszelkich przejawach. Zresztą o tym, jak zafałszowano świadomość historii wyznaniowej Białorusi, może świadczyć rozmowa, którą odbyłem kilka lat temu z pewną Białoruską (rosyjskojęzyczną – oczywiście). Stwierdziła ona, że jej pradziadek więziony był przez Polaków w Wilnie za to, że nie chciał przejść z prawosławia na rzymski katolicyzm... Po pierwsze, jej pradziadek musiał żyć w połowie XIX wieku, kiedy Polacy nijak nie mogli nikogo więzić w wileńskim więzieniu, co najwyżej mogli to robić Rosjanie. Po drugie, nie było na Białorusi tego typu represji – była natomiast kasacja unii w 1839 roku – i najprawdopodobniej pradziadek mojej rozmówczyni był represjonowany za niechęć porzucenia grekokatolicyzmu (unii) na rzecz prawosławia. Co zaś się tyczy opowieści o stracie wiary Polki z Polesia na wieść o żydowskości Maryji, to jej postawa nie ma naprawdę nic wspólnego z deklarowaną narodowością...

Jaką prawdę mówilo powstałe – ale chyba, niestety, już nie nadające – w Białymstoku Radio „Racja” („Radio Wolna Europa dla Białorusi”)? Białoruską! Nie było pewnie idealne, jak nie jest idealna żadna rzecz na świecie, ale choć trochę podgrzyzało Łukaszenkowski monopol informacyjny (w dziedzinie elektronicznych środków masowego przekazu – szczególnie mocny). Mówiło ono w języku białoruskim – wiec w języku „Dobroruśi”, której podobno S. Pastuszewski broni! Jego powstanie świadczyło nie o chęci psucia stosunków polsko-białoruskich, ale – wręcz przeciwnie – o tym, że są w Polsce ludzie, którym „młodsza siostra” Białoruś jest miłą i którym zależy na tym by przeżyła!

Według mnie zła jest transkrypcja nazwisk. Jest ona oczywiście rosyjska! Literę „А” język białoruski wymawia jako gardłowe „H”, podczas gdy rosyjski jako „G”, a w artykule S. Pastuszewskiego spotykamy białoruskie imiona i nazwiska: Hienadź, Horecki, zapisane jako Gienadź i Gorecki – a więc – z rosyjska! W świetle innych myśli zawartych w „Hajda na Dobroruś!” – wygląda to na świadome działanie...



Autobus szynowy

rok założenia 1851

pesa

Pojazdy Szynowe PESA
Bydgoszcz SA Holding

85-082 Bydgoszcz
ul. Zygmunta Augusta 11
tel. (004852) 327 02 48

Stefan Pastuszewski

Nikt jeszcze nie wie, jaka

Cieszę się, że na łamach „Akantu” narasta „białoruska fala”, że wreszcie polska inteligencja twórcza, spoglądając na Wschód i w głąb polskiej historii bardziej realnie niż w oparciu o okcydentalną histerię prounijną pragnie budować przyszłość naszego państwa. Szkoda tylko, że temat ten budzi aż tak skrajne emocje, iż przyćmiewa realność. D. Kochan nieco obsesyjnie uczepił się „czarnego luda”, jakim jest w opinii zachodnioeuropejskiego kapitału A. Łukaszenko. Po prostu prezydent, częściowo wybrany demokratycznie, ale już na pewno, choćby tylko poprzez bierność, co jest niestety cechą narodów zamieszkujących Białoruś (Białoruś, to nie tylko Białorusini, panie Danielu, to także inne narody, w tym Polacy), zaakceptowany, nie chce dopuścić do wyzykującej prywatyzacji.

Istotą problemu białoruskiej tożsamości jest właśnie owa bierność i brak nacjocentryzmu wśród narodów zamieszkujących nad Bugiem, Niemnem, Piną, Prypecią i Dnieprem, co tak precyzyjnie opisał Ryszard Rudzik w zbiorze esejów pt. „Kim są Białorusini?” (2002). Mówiąc językiem żużlowym A. Łukaszenko „jedzie tak, jak mu przeciwnik pozwala”, a więc skoro mu narody, którym prezydentuje, nie stawiają twardych wymagań, to on postępuje według swego widzimisię.

Oczywiście, że błędem wręcz historycznym było nie nadanie językowi białoruskiemu statusu jedyne go języka państwowego, jak to uczyniono w Estonii, na Litwie i Łotwie. Inne narody, łącznie z polskim, szemrały, ale dzięki temu aktowi te przepiękne języki, dzięki którym mogłem m.in. wydać swoje czterojęzyczne „Pamiętki inflanckie”, kwitną i obrastają w wartościową literaturę. Tego ja również A. Łukaszenko nigdy nie wybaczę.

Błędem jest jednak przekonanie Młodo-Białorusinów, jak sąsiadujący ze mną Youheni (Eugeniusz) Sień, że na Białorusi trzeba przywrócić „normalność cywilizacyjną”. Co to znaczy? Gdzie jest ta norma? Wydaje się, że celem winna być białoruskość, i tradycyjna, i nowoczesna zarazem.

Nie jest dobrze, gdy polscy przyjaciele Białorusi, do takich niewątpliwie należy D. Kochan, ale ja również, mówią jedynie językiem słabej i skłóconej mińskiej opozycji, a nie pojedają – tak jak ja to czynię – na Polesie, Czarną Ruś czy nawet Bracławszczyznę po to, aby wsłuchać się w głos prostego ludu i odkryć jego nadzieje i oczekiwania. Tam można poznać prawdę i stamtąd wywieść linię przyszłości *Dobrorusi*, naszego sąsiada, który wciąż nas potrzebuje i na nas czeka.

Jaka Białoruś?

Na pewno suwerenna, wielonarodowa, z językiem białoruskim na czele, na pewno nie ze zurnifikowaną na modłę euroamerykańską kulturą masową, na pewno bliżej Polski niż Rosji, o czym tak gorąco i mądrze napisał S. Janowicz (*Białorusini: naród z narodu*; „Akant” 2003, nr 1, s. 30-31).

Yauheni Sień

MY – next?

Jedno z pierwszych poczynań eseistycznych spuentowałem następującym pokrzepieniem: „Musimy też uwierzyć. Uwierzyć przede wszystkim w siebie, w ideę, w młodych, że zdolamy, że będziemy, że będzie... ONA”.

Z perspektywy czasu zrozumiałem, do kogo tak naprawdę kierowałem owo wezwanie. Była

te przekonanie i nieugiętą wiarę w Białoruś, považając młodych aktywistów za chęć działania, muszę jednak stwierdzić, iż nie przemawiają oni do przeważającej większości, ponieważ „na Białorusi jest demokracja i to ONI decydują”.

Nie przemawiają, ponieważ nie mieszczą się w ICH systemie symboli i mitologii, gdzie



Ruiny klasztoru kartuzów w Berezie Kartuskiej

Fot. Włodzimierz Zieliński

to nie tylko próba umocnienia siebie w przekonaniu o możliwości przywrócenia „normalności cywilizacyjnej” na Białorusi, ale również uchwycenia prawidłowości historycznej o umieraniu *starego* i rodzeniu się *nowego*. Pewną mobilizacją do ponownego postawienia tej kwestii stał się „białoruski cykl” na łamach „Akantu” (2002, nr 10, s. 8-11, nr 12, s. 33; 2003, nr 1, s. 30-31).

Dla niezorientowanego we współczesnej białoruskiej rzeczywistości Czytelnika próba zwrócenia uwagi na takie aspekty życia społecznego, jak postawy etnocentryczne, czy akty pojedynczego obywatelskiego nieposłuszeństwa – mogą wydać się mało znaczące. Coraz większego znaczenia i wagi nabierają wówczas, gdy zestawimy z takimi szeroko wykazywanymi tendencjami, jak sytuacjonizm, oportunistyczny konformizm, wyobcowanie z życia politycznego (a może brak odpowiedniej tradycji i praktyki?), nie wspominając już nawet o pomysłach zorganizowania się w „białoruską narodową mniejszość Białorusi” (!!!).

Proces marginalizacji białoruskości nosi charakter odgórny, wzmacniany jest zamierzoną reaktywacją i konserwacją radzieckiej mitologii i symboliki, co nieuchronnie prowadzi do tego, iż białoruska kultura narodowa przybiera charakter subkultury. Już dzisiaj możemy mówić o takim zjawisku jak „wewnętrzna emigracja”, będąc właściwie białoruską na Białorusi, jest skazana na wyobcowanie, gdyż niezrozumiała dla mas i szukanowana przez władze.

Ukazanie klimatu społeczno-politycznego, mimo że dość pobieżnie, jak również zarysowanie podstawowych wzorców tkwiących w świadomości większości społeczeństwa, pozwala mi na uszeregowanie możliwych sposobów wpływania na zaistniałą sytuację. Powtórzę się: jest to społeczeństwo *post*, wieczne „uciekające od wolności”, z mocno zakorzenionym etosem drugiej wojny światowej i brakiem świadomości wartości walki narodowowyzwoleńczej (brak świadomości nie oznacza braku historycznej praktyki). Jest ono uczulone na wszelkiego rodzaju ekstremistyczną retorykę prezentowaną, na przykład, przez przewodniczącego Konserwatywno-Chrześcijańskiej Partii BNF (Bielaruski Narodny Front) Zianona Paźniaka, jak również na „przedziwne” happeningi organizowane przez „żubrów” lub „młodofrontowców”. Szanując Z. Paźniaka za świę-

wszystko, co się wydarzyło przed 1917 rokiem, jest zamierzłą przeszłością, gdzie mówiącego czystą białoruszczyzną uważa się za *nacdemna, beenefowca* (od BNF) albo Polaka (!), gdzie „na wierszach Wasyla Bykawa chował się i rósł pierwszy prezydent Białorusi Aleksander Łukaszenka” (V. Bykau jest znanym prozaikiem).

Jestem przekonany więc, że zmiany muszą dokonać czas i nowe pokolenie, zrodzone przez upolitycznioną rzeczywistość i nasilające się kontrasty między Białorusią a resztą Europy. Ci młodzi ludzie, studiujący na wyższych uczelniach w kraju i za granicą, sami doszli do swojej białoruskości, przechodząc przyspieszoną ewolucję etnograficzno-kulturalnych i narodowo-politycznych wartości, realizując w ten sposób paradoksalną maksymę, iż „Białorusinem się nie rodzi, lecz się staje”. Mimo to ich białoruskość nie jest sztuczna lub pozorna. Z wielkim zapalem sięgają oni do historii i literatury, wytwarzając własną mitologię i symbolikę, przeciwstawiając się oficjalnej propagandzie. Zdobyta w ten sposób wiedza pomaga nie tylko uświadomić sobie sztuczność i prymitywizm narzuconej (wciąż?) ideologii, ale przede wszystkim, pozwala na uzasadnioną identyfikację z wartościami europejskiego dziedzictwa kulturowego, konsekwencją czego jest uznanie priorytetu państwa narodowego, liberalnej demokracji, jak również systemu praw człowieka. Wszystkie wyszczególnione wyżej pojęcia już dzisiaj funkcjonują w masowym obiegu, ale wypełnione zostały wypaczonym sensem legitymizującym reżim.

Dzisiaj młodzi dokonują tego, do czego na początku lat 90-tych zabrakło politycznej i indywidualnej odwagi ówczesnej elicie. „Uciekli od wolności”, bo nie czekali na nią, nie wiedzieli, co mają z nią zrobić, sprzedali się... My, którzy się uczepiliśmy tych „skrawków” wolności, chcemy być Białoruscy, Wolni, Dumni!

P.S. A gdzieś tam dorasta nowe pokolenie... Czy da się przekonać, że „Pogoń jest zbyt agresywnym i ekspansywnym godłem dla zamilowanej w pokoju Białorusi”, że pod biało-czerwonobiałą flagą w okresie drugiej wojny światowej walczyli „niemieccy sprzymierzeńcy i zdrajcy Ojczyzny”, że „Białoruś i Rosja to jedno”, że lepiej „MIEC niż BYC”?

Yauheni Sień

www.fotolabedz.com.pl

Studio Fotografii
Artystycznej

„Pod Labędziem”

Marek Rutkowski
Bydgoszcz, tel. 052/ 322-54-69
ul. Gdańska 5

Tadeusz Chróścielewski

Wokół białoruskich mitów

Nie tak dawno pisałem, że łatwo przetłumaczalne słowa czy zwroty, nawet najbardziej bliskich sobie języków, zawierają niepochwytne tajemne treści, nie do przeniesienia na język zwaloby się niezmiernie bliski, splątany z naszym historią, a i na odwrót. W innym przypadku, w ogóle, jak słusznie stwierdził poeta białorusko-polski, zamieszkały w naszym kraju, nie ma mowy o powstaniu przekładu udanego (chyba że „kabinowy”, ale ten nie ma nic wspólnego z literaturą). Słusznie też w wywodzie swym SOKRAT JANOWICZ – bo mowa o jego esejach w styczniowym „Akancie” z 2003 roku – jako przykład nieprzetłumaczalności, a przez to i niewiedzy, iż ma się do czynienia ze zjawiskiem literackim olbrzymiej miary, podaje obcość dla Francuzów Mickiewicza z „Panem Tadeuszem” na czele, choć poeta pół życia spędził właśnie w Paryżu i tam się poniewiera, obcy sercu i wiedzy Francuzów, jego, przez rodaków zamówiony, pomnik. Poeta był i jest dla nich obcy, bo i utwory jego, i te patriotyczne, i tym bardziej te patriotyczno-obyczajowe, nie mówiąc o dramatach mistycznych, są czymś tak niepojętym, że nie ma co – uważają – tracić cennego dla pracy i operacji finansowych czasu, aby nauczyć się owe niepojętości pojmować. Co do tego stwierdzenia jesteśmy obaj z poetą białoruskim całkowicie zgodni i jest nam jednakowo niewesoło.

Nie ma natomiast zgody między mną – nieodrodnym, powiedzmy, potomkiem obywateli zaścianka Dobrzyńskich, a potomkiem Wilbika – tego, co z Dobrzyńskimi spotykał się i przekomarzał, ale zgodnie w karczmie Jankiela dawno temu stojącej wśród pagórków, gdzie „bursztynowy świerzop, gryka jak śnieg biała” (który to „świerzop”, po białorusku „swieropa”, zapomniany został ze szczętem w kraju nad Wisłą i śmieszył swoją niepojętością zbyt leniwego, by sięgać po stare słowniki Gałczyńskiego). Wilbik i Dobrzyńscy doskonale – oni i ich odpowiedniki w życiu – się rozumieli. Nie stojący w miejscu Czas sprawił (i w tym przypadku takie jego pochodne, jak przemiany społeczno-gospodarcze i znalezienie się pod kuratelami innych „dzierzaw”), a potem skoki granic państwowych od Traktatu Ryskiego po emanację linii Curzona, sprawiły, że „Tutejszy”, czyli Białorusin, zapomniał, że jego współbiedniacy u odpowiednika Jankiela mawiali do siebie „mopanku”, „waszmość” i nie widzieli nic niestosownego w zapędach donjujańskich. Młodzi Dobrzyńscy zwracali się do białogów – sąsiadek „całuję rączki”. „Tempus-edax rerum” sprawił, że i okre-

slenia te u „Tutejszych” zostały ze szczętem „pożarte”, i „dwory” – owe „domy mieszkalne, niewielkie, lecz zewsząd chędogie” zostały do cna spalone lub popadły w ruinę. Spora część „Tutejszych” przeniosła się do miast i żyje w blokach większych od tych dworów. Niemniej z pałacami i zamkami nie jest chyba aż tak bardzo źle, kiedy za linią Stalin-Bierut znajdują się m.in. gotycki zamek w Mirze oraz barokowa rezydencja Radziwiłłów linii nieświeckiej i oba (a z pewnością i więcej) zostały zamienione na muzeum, a w muzeach są osoby oprowadzające, a więc i informujące z jakąś tam – niepełną chyba – prawdą o życiu, jakie się tu toczyło. Zatem można chyba jednak zrozumieć styl i klimat życia dworu „drewnianego, lecz pomalowanego” w ekstreordynaryjnym czasie pobytu karmazynów z zewnątrz w czasie „sądów granicznych”.

Po naszej stronie wspomnianej linii i „mocium panie, me wezwanie, mocium panie, przyjm w sposobie”, i inne osobliwosti życia szlacheckiego były także prawie całkiem zapomniane, gdyby nie to, że istniała wcale pokaźna literatura „sarmacka”, a w jej poczcie dwa – do tego filmowane – arcydzieła „Pan Tadeusz” i „Zemsta”. Nie mniej, nie słyszałem, żeby ktoś do kogo, czy do mnie zwrócił się „waszmość mosterdziejcu”. O „całuję rączki” nawet też nie słyszałem, choć bywało się i w Bierostowicach, i Krynkach, gdzie miałem także rodzinę, i w pałacu Krzysztofa Radziwiłła w Rytwianach. Ten sam Czas, u „Tutejszych” bardziej, ale i „karmazynów” potężnie, powygrzyzał wszystko, co uznał za przeczasałe. Powygrzyzał zresztą nie od razu, a i demokratycznie naddawał, jako że za mego dzieciństwa pod Warszawą mieszkańcy wsi mówili o sobie i miasto mówiło o nich, np.: „Józefowa z Józefiny”. Józefowa, znaczy żona Józefa i to wraz z podaniem nazwy wsi wystarczyło do rekomendacji, nawet urzędowej. A to, że Józefowa nazywała się Franciszka Gańko, dowiedziałem się dość długo po śmierci tej przeczanej mieszkanki Józefiny. Zwracano się do nich grzecznie, jako że „grzeczność wszystkim się należy, lecz każdemu inna” – mawiał całkiem rozumnie sędzia Soplca przez „niech” – „niech Józefowa będzie tak dobra”... Aż tu nagle, przy końcu dwudziestolecia, wszyscy stali się „panami”, bo nie tylko pan właściciel posiadłości czy właściciel były, „wysadzony z siodła”, lecz stróż, łapacz psów bez kagańca..., nawet żebrak. Ten gwałtowny skutek demokracji wykorzystała z miejsca propaganda stalinowska i natychmiast po wyzwoleniu wschodnich ziem Rzeczypospolitej zaczęto karać

wszystkich tych bez różnicy „panów” i wywozić do Kazachstanu. „Tutejsi”, zachęceni przez polityków, wychodzili na stację oglądać wywożonych „panów” i poniekąd się ponoć dziwili, że „panowie” nie mają na sobie fraków czy kantuszów...

Kończąc ten przydługi passus stwierdzeniem, że kolega Sokrat, z którym miałem zaszczyt wspólnie odbierać od władz Warmii i Mazur Nagrodę Literacką imienia Michała Langowskiego, a oddzielnie „Pacotuju Bumagu Sojuza Pimiennikau Bielarusii”, w swoich rozważaniach o głębokich rzekomo różnicach, dzielących nasze, dwa tak bliskie narody, zlekceważył (czy nawet zapomniał) działania wszytkożernego Czasu. Mam duże wątpliwości, czy język obiegowy Białorusów i dziś jeszcze wyróżnia, cechujące go do niedawna, niezliczone rodzaje określeń na szumy lasów i całe ich bogactwo na gradacji biedy ludzkiej. Przeniesienie się znacznej liczby mieszkańców do dużych miast nie sprzyja, myślę, takiemu kulturowaniu. Z kolei moi ziomkowie od jakiegoś czasu wyrugowali przymiotnik oceniający „bardzo dobry”, „wyśmienity” (w języku sztubackim „byczy” i „morowy”) w przymiotnik bądź przedrostek odczuwany jako bardziej wytworny, świadczący o inteligencji – „super” (wyglądasz „super”, „superdziejczyzna”), który zacerpnęli ze słownictwa amerykańskiego, nie zdając sobie sprawy, że został on z kolei zapożyczony z łaciny – drugim języku „Sarmatów”. Słowo „irytuje” – po krótkiej karierze słowa „wkurza” – zastąpione zostało określeniem „obciach” (z odpowiednim czasownikiem), a ostatnio „przypał”. Trzeba mi się, poloniście, na starcze lata uczyć na nowo ojczystego języka. Być może kolega Sokrat (nie znam jego backauszczyzny, mam więc kłopoty z uprzejmym zwracaniem się) też będzie musiał się przyłożyć do modernizacji swego języka.

Tę część, niejako polemiczną, mamy już za sobą. Zostaje podkreślenie roli, jaką odegrała dla wyrównania wzajemnych trudności z rozumieniem się obu nacji, literatura obu narodów. Jest to bez wątpienia, rola mimowolnego archiwum obyczajowo-językowego – nie mówiąc już o zbliżeniu emocjonalnym. Nie jest bowiem w tej mierze bez znaczenia fakt, że wśród swoistych „Mikolajów Rejów” naszej literatury, w czasach pierwszych, i na małą jeszcze skalę przebudzeń poczucia odrębności narodowej są: filomata JAN CZEZOT oraz poeta, ongi oceniany niezwykle wysoko – WŁADYSŁAW SYROKOMŁA. Polakami byli, a więc mimo woli istotne elementy kultury narodowej polskiej wprowadzali do swych białoruskich utworów i odwrotnie, DUNIN-MARCINKIEWICZ, FRANCISZEK BAHUSZEWICZ, JANKA ŁUCZINA, obaj KASTUŚ i RAFAŁ KALINOWSCY – publicyści, przywódcy powstania styczniowego w Kongresówce i na Litwie; jeden z nich męczennik, drugi – święty, JAN NIEŚŁUCHOWSKI, JAN ŁUCEWICZ – znany głównie pod pseudonimem JANKI KUPAŁY, poeta obujęyczny i wyborny tłumacz (jego tom wierszy po polsku został odrzucony przez wileńskiego wydawcę i dopiero ja włączyłem go do wyboru wierszy tego największego z poetów białoruskich – co przyjęte zostało przez stronę białoruską niemal jako dywersja, gdyż wiersze te były raczej tajemnicą archiwów, z czego nie zdawałem sobie zresztą sprawy), JAKUB KOŁAS – oceniany jako współnajwiększy – jest to też pseudonim, bo jego nazwisko – nomen omen – brzmi KONSTANTY MICKIEWICZ. Dodam, że staruszek rozmawiał z Janem Huszcą w jego zagrodzie mińskiej sprawnie po polsku, tyle że językiem archaicznym, co skojarzyło się Janowi Huszczy ze spotkaniem dwóch Polaków w USA, zawartym w „Pamiętce z Meripozy”. Wreszcie z pokolenia wyrosłego na Białorusi Zachodniej, którą myślny nazywali Polską wschodnią i darliśmy się, by opętać naszym głosem i słuchem „Dulcynee” z ławy szkolnej „Polesia czar to same moczary i knieje” – absolwenci szkół polskich MAKSYM TANK (MAKSYM SKURKO), debiutujący jeszcze w bardzo młodych latach wierszami w prasie polskiej: „Poprostu”, „Karcie” i „Kamenie”. Był to pieszczoł znanej polskiej grupy poetyckiej „Żagary”, poeta bez

Rok założenia 1991

PPH **DOMAROLL**®

PRODUCENT STOLARKI Z PCV I ALUMINIUM

Nagrody i wyróżnienia na:

Targach GRYF-BUD 99 w Bydgoszczy
Targach Budownictwa TORBUD 2000 i 2001 w Toruniu
III i V Państwowych Targach Rolnych w Żninie
III Targach 2001 w Mogilnie
Nagroda Burmistrza Miasta Żnina – 2002

Biura handlowe:

Żnin, ul. Szpitalna 74, tel./fax 052/302 80 30
Toruń, ul. Szosa lubicka 168B, tel. 056/659 91 17
Bydgoszcz, ul. Czerkaska 32, tel./fax 052/346 15 79
Bydgoszcz, ul. Moczyńskiego 1, tel./fax 052/328 61 66

Okna PCV

w systemie TROCAL posiadającym
międzynarodowy znak jakości ISO 9001

Stalarka ALU

Stosujemy nowoczesne rozwiązania technologiczne
zapewniające właściwą wymianę powietrza bez ingerencji
w strukturę techniczną okna i jego szczelność:

- uszczelkę samowietrzącą COMFOLIP®
- specjalne elementy przewietrzające REGEL-air®



jakiegokolwiek stosowania taryfy ulgowej, bardzo wybitny i nowator w bardzo zdrowym tego słowa znaczeniu, ponadto zbieracz i wydawca antologii poezji łódzian i uprawiających tematykę łódzką pt. „Gorad milionny i my”, zakończonej kilkoma ujmującymi mnie, jako przyjaciela Białorusi, zdaniami. Drugi, wybitny z tego pokolenia, to JANKA BRYL, świetny prozaik i organizator życia kulturalnego na Białorusi, także zasłużony dla stworzenia kadry polskich przyjaciół kultury białoruskiej, w 1939 roku żołnierz słynnego batalionu morskiego, broniącego do ostatka Gdyni. Jako trzeciego wymienię wybitnego białoruskiego i polonistę, profesora ADAMA MALDZISA, wybitnego znawcę Władysława Syrokomli i autora, najlepszej jak dotąd o nim monografii, członka rozległej rodziny, której większość mieszka w Polsce i posiada znaczne zasługi w dziedzinie kultury i sztuki.

Mógłbym pisarzy i uczonych białoruskich naszego pogranicza kulturowego wymienić znacznie więcej, ale przecież nie piszę książki, lecz esej częściowo polemiczny. Dopiero kolejne pokolenie – tematycznie i zamiłowaniem (m.in. BYKAU, poeta BARADULIN i jego następcy) cokolwiek się oddaliło. Nasze zaś kółko pisarzy przyjaciół dawnych wschodnich ziem Rzeczypospolitej, z wyjątkiem piszącego te słowa oraz paru warszawian i białostoczczan, odeszło tam, skąd się już nie wraca.

Z kolei ziemie te – co przed przebudzeniem narodowym ludności niepolskiej (z wyjątkiem Ukrainy – tej przebudzenie poprzedzają czasy „Ogniem i mieczem”), a zarazem pierwszych rozbiórów Rzeczypospolitej sięgały do Płocka – były, i w małym stopniu są, terenami penetracji znakomitych piór polskich, poczynając od Antoniego Rzewulskiego i Aleksandra Chodźki, którzy chociaż się głównie „ichmoścpanami” interesowali, lecz zdarzało się, że mowa była w ich książkach o „Tutejszych”, którzy nie separowali się wcale od ichmośców, a obyczajowo tak się znów bardzo różnili, choć temperamentami, w tym poczuciami wyższości i niższości – bardzo. Wymieniam, żeby przestać nieustannie wspominać o Adamie Mickiewiczu: JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI – autor „Ulany” i nie tylko, JAN CHEĆIŃSKI – bardziej dziś znany jedynie jako autor librett do oper Moniuszki, wreszcie ELIZA ORZESZKOWA – bez mała nie ruszająca się z Grodna, kandydatka do Nagrody Nobla, w najwyższym stopniu zainteresowana życiem okolicznego ludu, przeważnie, rzecz jasna, białoruskiego („Cham”, „Dziurdziowie”, „Sylwek Cmentarnik” i in.) oraz CZLOWNA, autorka szeregu powieści związanych głównie z Białorusią (m.in. „Czahary”, „Szary proch”, „Macierz”, „Hrywda” i in.). Cokolwiek o niej powiemy, ponieważ czas niebawem popularności tej powieściopisarki przeminął, a obecny czytelnik jest nieprzyjemnie uczulony na wszystko, co tchnie sentymentalnością, mimo to nie możemy nie uznawać jej jako mistrzyni pozorodowskich obserwacji i umiejętności posługiwania się w dialogach (bardzo żywych i naturalnych) w sposób mistrzowski językami narodowości „niemościpańskich”. To dzięki tym dwóm pisarkom zdajemy się znać te ziemie, choć nieczęsto jeździmy na te tereny (z wyjątkiem pod

pewnym względem uprzywilejowanych okolic Nowogródka) i uznawać je za wyjątkowo bliskie. Do tej prozy dołączyć by należało przepiękną powieść wspomnieniową MELCHIORA WAŃKOWICZA „Szczenięce lata” (nota bene w mińsko-białoruskiej rezydencji Wańkowiczów mieścił się do niedawna „Sojuz Pismennikau Bielarusii”). Do tej grupy zaliczyłbym też kilka późniejszych młodzieżówek JANA UMIŃSKIEGO. Czasy rewolucji październikowej i wojen wszystkich ze wszystkimi przyniosły też, naturalnie, sporo utworów, na czele z „Pożogą” ZOFII KOSSAK-SZCZUCKIEJ i powieściami SERGIUSZA PIASECKIEGO. Nie są to jednak utwory, które przy najlepszej woli autorów i dobrze pojętego obowiązku pisarskiego pani Zofii, służyłyby wydłużaniu mostów przyjaźni między naszymi narodami.

W literaturze po drugiej wojnie ze słodkawej mazi, nic nie wnoszącego do naszej wzajemnej wiedzy i więzi, socrealizmu, wymknęły się zwycięsko niektóre powieści JERZEGO PUTRAMENTA, jak „Odymiec” i „Bołdyn” oraz niektóre nowele JANA HUSZCZY. Niemniej, nastąpił odwrót od tematu (zresztą w ogóle od prozy realistycznej, wynikłej z rzetelnej obserwacji), czemu nie można się zresztą dziwić ani gorzyć. Czas robi swoje. Czas i przemiany w zakresie orientacji transpolitycznych.

Ale czy nie zawdzięczamy czegoś istotnego Czasowi sprzed zmiany tych orientacji, choć były to po większej części czasy niewoli i zniewalania? Ależ naturalnie, zawdzięczamy, Kochany panie Sokracie, jedną ceną zdobyczą: wiąże nas tyle i znamy się na tyle, że i wy i my możemy śmiało nie narzekać na niemożność osiągnięcia przekładów wiernych. Nasi klasycy tych naszych inności całkiem dobrze nas nauczyli. A że Pan Bóg wszechmocny i w ogromnej ilości swych poczynań nieograniczony, wiedziony abominacją do estetyki czy budownictwa monumentalnego w Babilonie, pomieszał nam języki, to nic na to nie poradzimy, poza przydatnością uczenia się języków obcych i dokonywania przekładów *możliwie wiernych*. A więc róbmy, co do nas należy i nie obrażajmy takim zbytnim narzekaniem Pana, bo może nas jeszcze posłać za to do piekła, a tam, jak mówiły „leguny” w znanej w swoim czasie piosence: „byliśmy już, byli w piekle, ale tam gorąco wściekle”.

Na zakończenie tylko opowiadka z mojej przeszłości, gdy byłem jeszcze czynnym rusycystą i białorusistą: Literat białoruski, który świetnie mówił po polsku, gdyż był – mówi plotka – przed wojną kierownikiem jakiejś szkoły powszechnej w województwie nowogródzkim (wtedy były to oczywiście ziemie polskie), wiózł mnie swoim „Moskwiczem” do Mauzoleum Chatyńskiego. W samochodzie była jakaś dama, której kolega białoruski mnie nie przedstawił. Dałem wyraz zdziwieniu, że na szosie pierwszej klasy mijane wsie mają nazwy wyłącznie po rosyjsku, a nie po białorusku. Wyjaśnił, nieco zdetonowany, że dzieje się tak, bo to szosa tranzytowa, a na takich na mocy jakiegos zarządzenia są tylko napisy ponadpaństwowe, czyli rosyjskie. W tym momencie odezwała się ni z tego, ni z owego owa dama po rosyjsku: „A w ogóle dalibyście sobie już wreszcie spokój z tą zabawą w Białoruś. Kilku literatów wy-

myśliło sobie jakiś naród czy państwo i wy wciąż maciecie i opóźnacie radziecki postęp.”

– „Ależ, moja droga! – zareplikował niemal z płaczem pisarz. – Przecież już kancelaria Witolda Wielkiego prowadzona była w języku białoruskim.” Dama zwróciła się więc do mnie:

– „Czy wy, Polacy, zadowoleni jesteście z naszego wspaniałego auta „Pobieda”, na który dostaliście braterską koncesję?”

– „Nie, madam. My przestarzałych aut teraz nie używamy. Jeździmy „Fiatami” – odpowiedziałem damie.

– „Fiatami? Nie słyszałam o takich. Czy to są aby dobre auta?”

– „Takie sobie. Nasz „Fiat” – wykorzystałem wiedzę, którą swego czasu nasza TV bez litości nam nadawała – w ciągu jednego dnia pobił cztery światowe rekordy szybkości, ale mówimy może o Chatyniu, do którego, orientuję się, dojeżdżamy”.

– „Taak? A ile u was w Polsce jest jeszcze procent kapitalizmu?”

Oniemiałem: O co babie chodzi?! Może irytuje się, że zdarzają się sklepy prywatne i prywatne rzemiosło: jacyś krawcy, szewcy?

– „Ze dwa procent” – odpowiedziałem niechętnie.

Dama – „Ależ nie, skądże! Przecież zlikwidowaliście kotchozy!” – oświadczyła z nietajonym oburzeniem i zaraz dodała:

– „Nasz chłop jest już tak ideologicznie wyrobiony, że nawet swych działek przyzagrodowych nie uprawia, bo prywatne, nie społeczne”.

Z grzeczności nie uświadomiłem jej, co ogólnie było wiadome, że te działki są właśnie podporą „chazajstwa”, bo chronią w wielu przypadkach – przed głodem.

Było to spotkanie odbiegające zupełnie od normy. Gościńni gospodarze, uczyniwszy w stronę mego towarzysza jazdy „Pobiedą” – naturalnie poza moimi plecami, ale dojrzałem gest, zwany już niebawem „gestem Kozakiewicza”, uświadamiali mnie, że kolega jest „spódniczkarmem” i nie potrafi, he, he, babom podwówek odmawiać.

– „Nie zaprzataj sobie nią głowy!” – uświadamiali mnie. A przecież zaprzatałem i obecne czasy też każą mi pamiętać o tamtym dialogu czy trójdialogu – jeśli takie określenie ma sens. Naówczas sporo szkół, nawet niższych, posługiwało się jako językiem wykładowym tylko rosyjskim. Ukończenie ich dawało przewagę, choćby tylko językową, podczas egzaminów do szkół wyższych. Wyrastały kadry inteligencji, jak by powiedział Sokrat, „gente rutheni, natione sovietica, alias russica”. Białoruska literatura nie stanowiła wówczas wcale powszechnej odtrutki na wspomniane zjawisko. Miłościwie dziś panujący prezydent Białorusi, który nie mówi językiem swego narodu, co najwyżej specjalnym uproszczonym slangiem, spreparowanym przez urzędników z importu dla możliwości porozumienia się w powszechnych urzędowych sprawach z miejscowym *prostonarodiem* – ten prezydent nie jest bynajmniej samotny. Posiada oparcie w wielu, podobnie myślących i podobnie wykształconych, językowo i w ogóle, absolwentach tamtejszych uczelni. Bynajmniej nie działa w jakiejś próżni Torricellego.

A między nami zgoda, panie Sokracie! – jak kaže Fredro – hrabia, ale porządnny człowiek. ■

BIURO RACHUNKOWE

VIRGO

85-098 Bydgoszcz
ul. Piotrowskiego 15

tel. 345 58 38
tel. 692 539 628

Tanio • Ładnie • Domowo

Zakład Fryzjerski

85-808 Bydgoszcz
ul. Ogrody 14
tel. 361-98-33

Czynne:
Codziennie 9.00-18.00
Sobota 8.00-13.00

Tadeusz Chróścielewski

Taka sobie bitwa o Kołobrzeg...


Kiedy media podały w 2000 roku, że w Kołobrzegu odbył się uroczysty zjazd biskupów polskich i niemieckich z okazji tysięcznej rocznicy ustanowienia przez ówczesne najwyższe władze świeckie i duchowne biskupstwa, właśnie w onym Kołobrzegu, przypomniały mi się wydarzenia sprzed pięćdziesięciu lat. Wydarzenia drobne, choć dość burzliwe...

W mieście powiatowym Słupsku wiceprzewodniczący rady z ramienia tamtejszej partii władczej, czy też z racji hierarchii i w związku z tym niepełnej wiedzy o hierarchiach, kompetencjach oraz autentycznej ideowości, dążąc do wszechstronnego rozwoju reprezentowanego przez siebie miasta powiatowego, wezwał publicznie, bogatą, co prawda, lecz odległą geograficznie i tym samym organizacyjnie, Łódź, do związania się z jego powiatowym miastem ścisłymi więzami wspólnoty gospodarczej i wszechkulturalnej. Trzeba trafić, że pomysł tego, wysokiego na miarę powiatu, mówcy przebił się przez przegrody tematyczne ówczesnego czasopiśmiennictwa. Dowiedział się o tym wezwaniu gospodarz (choć tylko administracyjny) miasta Łodzi. Poczuli nagły szum orłów nad głową – tych ptaków herbowych państwowości imperialistycznych – i postanowił wyjść naprzeciw prośbom mówcy. Momentalnie prezydium, drugiego naówczas w Polsce, pod względem wielkości i wszelkich potencji, miasta Łodzi przejęło wszelki możliwy gospodarczo-handlowy, artystyczno-literacki, nawet prasowy patronat nad miastem Słupskiem, pomijając przez roztrągnięcie czy w dowód lekceważenia Wojewódzką Radę Narodową w Koszalinie, której Słupsk przecież podlegał. Posiadanie... słupskiej kolonii nie trwało jednak długo. Urażona, posiadająca też naturalne prawa i ambicje psa ogrodnika, Wojewódzka Rada Narodowa, urzędująca w mieście wojewódzkim Koszalinie, udała się na skargę do samego towarzysza Gomułki i ten zwrócił władcom Łodzi uwagę na niestosowność jego zawłaszczycielskich poczynań. Łódź musiała się niejako wycofać i z konieczności zawarła układ o przyjaźni i wzajemnej pomocy miasta na prawach wojewódzkich z, zarządzającą wszystkimi swymi powiatami po równo, Wojewódzką Radą Narodową w Koszalinie. Obowiązki wynikające z tego nowego traktatu Prezydium Rady Narodowej niby to pełniło, ale z malejącym zaangażowaniem. Nie minął rok, kiedy sny o potęgę i własnych koloniach rozwiły się i wszystkim wróciło do normy, czyli zaniku związków szczególnych i pomocy szczególnej. Ale dopiero po roku. Bo tymczasem wzajemne wizyty, wrzuszające deklaracje jak najdalej idącej wzajemnej pomocy trwały nadal, i to w każdej dziedzinie, w tym również literackiej...

Był to sierpień czy wrzesień tamtego odległego roku. Przybyliśmy z pierwszą kurtuazyjną wizytą, z zapowiedzią współpracy odczytowej i wszelkiej innej, choć oni nie mieli żadnego pisma, my zaś – nieregularnie wychodzącą na zwiariowanych papierach „Łódź Literacką” w legalnie wojewódzkim Koszalinie. Rankiem przyszedł po nas aktyw, raczej ogólnokulturalny niż literacki, i powiódł nas przez tamtejszą „Piotrkowską”, tyle że inaczej się nazywającą (a jak, nie pamiętam, wiem, że aktualnie politycznie). Nas, to znaczy: autora „Opowieści o moim ojcu”, autora „Rycerzy i ciurów”, autora „Korzeni obok rzeki” i wreszcie mnie (siebie nie będę krył pod żadnym tytułem zapomnianej od dawna książki) oraz jeszcze parę osób. Wszyscy sniliśmy na jawie nasze „sny o potęgę”. Sny się jakoś nie spełniły. Wiódł nas opiekun polityczny i merytoryczny sekretarz Oddziału Łódzkiego Towarzystwa Ziem Zachodnich – człowiek bardzo ideowy, z tym że na kolejnych etapach była to kolejna inna ideowość. Wiedli nas także (jeden z nich był litera-

tem, nazywał się coś jak ptak drapieżny i co kilka lat służył innym regionom ukochanym) młodzi entuzjaści robiący w kulturze, bardzo z siebie zadowoleni, zadowoleni też z „Nowego” (w duchu gomułkowskiego nowoczesnego utylitarysty), niezadowoleni z konieczności tolerowania spadku po „starym”, to jest w duchu przesadnie realizowanej cechy Bieruta o tworzeniu budownictwa narodowego w formie, przy ma się rozumieć, komunistycznej treści. Tym przeżytkiem był, ich zdaniem, gmach miejskiej Rady Narodowej, nawiązujący do niemodnego wyglądu staroświeckich ratuszy z czasów feudalizmu. Młodzi gospodarze ze szczególnym oburzeniem wskazali nam jakąś starą wieżę obronną i resztę muru, chyba z XVIII wieku. Musimy tolerować te przestarzałe paskudztwa, ponieważ uparł się, że „nie-lzja” tego likwidować, wojewódzki konserwator zabytków. Owe budowle niczemu nie służą, a zajmują miejsce, które by można wykorzystać pod, na przykład, spółdzielczy dom towarowy czy świetlicę młodzieżową. Ulica, choć długa, skończyła się i skręciliśmy do okazałego gmachu Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej, gdzie uściśnięto nam prawicę i proszono całą grupę do gabinetu towarzysza wiceprzewodniczącego i kierownika merytorycznego wydziału. Zapadliśmy w miękkie fotele, byliśmy częstowani kawą i ormiańskim koniakiem, jak nam było wiadomo, nierównie lepszym od francuskiego. Zaczęliśmy bratnią rozmowę o wspólnej budowie „Jutra”, od tej chwili tym wydajniejszej, że „Przyjaźni” zespoli i wesprze wysiłki dwóch pracowniczych województw, zasadzonej również na współpracy robotników pióra z robotnikami przemysłu rybnego. Jedni moi towarzysze, z przewodniczącym naszej ekipy na czele, prowadzili pozytywną rozmowę, drudzy oddawali usta i co tam za ustami, reprezentacyjnym przysmakom. Można mnie było do tej drugiej grupy też zaliczyć. W pewnym momencie kierownik i nasi przewodnicy zaczęli znowu narzekać na wspomnianego już konserwatora, który to, „niech sobie towarzysze wyobrażą”, uniemożliwia Radzie skargami, slany nawet i na klerikalne adresy, wyburzyć, znajdujący się właśnie na etapie ruiny, obiekt sakralny w Kołobrzegu, podobno dlatego, że on bardzo stary i są tam pod spodem, czego nikt z nas nie widział, pozostałości czy miejsca tylko po pozostałościach katedry, którą miał za zezwoleniem dygnitarza niemieckiego – feudała król Chrobry stawiać. Wtedy, nie bacząc na to, że sekretarz przewodniczący naszej ekipie zdawał się podzielać ubolewanie gospodarzy, zabrałem głos i wygłosiłem kilka mocnych zdań za, a nie przeciwko stanowisku konserwatora, mówiąc o świętości tradycji, a zwłaszcza takiej jak ta tradycji. Zaplanowałem najpierw zaferowanie, ale jak się zdaje wrogię mojej osobie, a potem milczenie. Potem przewodniczący delegacji oznajmił, że mojego zdania absolutnie nie podziela, i że rację mają gospodarze. Kolega piszący o swym ojcu, niepiśmiennym postępowym chłopie, mrugnął do mnie jednym okiem – jak miał zwyczaj prosić w takich wypadkach (było to mrugnienie podtrzymujące na duchu, oznaczające pełne zrozumienie mojej racji i solidaryzowanie się z nią) – po czym głośno oznajmił, że absolutnie nie mam racji. Gospodarze natomiast zaczęli dawać do zrozumienia, że nastąpiło właśnie nieporozumienie, albowiem oni „jasną rzeczą” cenią pamiątki historyczne, sakralne także, jeśli „zasługują na wiary”, a konserwator plecie, ale, jak raz, nie starcza nam pieniędzy na współczesne potrzeby ludności, więc jeśli tylko pobożny obywatel gość... o właśnie, bardzo dobry pomysł, zaapeluje do tego biskupa, co akurat jest w Łodzi, i ten biskup przyłoży się do naszej przyjaźni międzywojewódzkiej i potrząśnie swoją skarbonką na uprządkowanie tego obiektu, to on, przewodniczą-

cy zarespektuje... Kolega, autor „Korzeni obok rzeki”, zaproponował inną tezę ugodową: miasto, które posiada takie zabytki, jakich nie mają inne miasta, powinien je na pamiątkę zostawić. To znaczy, miasto, które dla przykładu szczyty się barbakanem, niech się nim szczyty dalej, ale jeśli to zabytek taki bardziej zwykły, to w razie czego powinien ustąpić miejsca dniom dzisiejszym. Kościół, jak słyszał kolega, król postawił, zatem jest to zabytek ważny, choć sakralny, bo przecież nasza Polska Ludowa potrzebuje także i ludzi wierzących, a nie tylko... Przewodniczący delegacji zaczął mówić głośniej, żeby laickie było na wierzchu, że nasze Towarzystwo Rozwoju Ziem Zachodnich i on projektują i biją się właśnie o pieniądze na budowę mostku czy mostu, który by połączył Wieluńskie od opolskiego Olesna jako właśnie symbolu złączenia po wiekach ziem, które bezczelny Krzyżak i faszysta oddzielił od Macierzy. No to cyk Walenty! – ugodowo zakończył dyskusję kolega, co miał ojca postępowego... Niemniej po powrocie do Łodzi sekretarz Towarzystwa Rozwoju Ziem Zachodnich przestał zapraszać mnie na spotkania aktywu Towarzystwa i na jego imprezy, i jury konkursów tematycznych. Nie odczułem tego zbyt boleśnie, gdyż przez bardzo wiele lat byłem aktywistą luźnego zespołu Pisarzy Miłośników Ziem Zachodnich i Północnych, które organizowało raz do roku kilkudniowe zjazdy, za każdym razem w innym historycznym regionie. Mam pełną szufladę odznak *Zasłużonego dla... tej ziemi, innej ziemi.*

Już bodaj po Okrągłym Stole, Towarzystwo (na krótko zresztą) zmieniło swoją nazwę na Stowarzyszenie Wisła – Odra. Urządziło mi miły jubileusz. „Moją” część poprzedziła uroczystość nagrodzenia wysokim orderem, w uznaniu wieloletniej działalności na niwie, byłego sekretarza Towarzystwa poprzedniej nazwy. Obywatel, niemłody już, niedowidzący, sprawiający wrażenie oderwanego od realiów czasu, mówił o swym trudzie ofiarnym, o propagowaniu dumy narodowej wśród ludności rdzennej, o swym wychodzeniu naprzeciw przywiązaniu starej i nowej ludności do wiary ojców i swej pomocy w odbudowie starych, historycznych kościołów. Słuchając z uwagą, zagłębiłem się w dysydenckie rozważania, że nie się od tamtych czasów nie zmieniło... Ale uświadomiłem sobie także (choć zapewne grubo wcześniej, bo gdy tylko rozeszły się wiadomości o podjęciu odbudowy katedry w Kołobrzegu), że tamta nasza dyskusja, w której właśnie sekretarz, o którym mowa, odegrał raczej nietęgą rolę, a która bynajmniej nie skończyła się wtedy na owym „cyk Walenty”, należy również w jakiejś mierze do dziejów odbudowy tej świątyni, gdyż dzieje wszelkich inicjatyw obejmują nie tylko same decyzje ważkich czynników i samą „czynów stal”, ale i siłę ciężenia takich jak tamta oddolnych, obywatelskich intencji i podnoszonych racji. Choćby nawet w przypadkowych okolicznościach...

**DRUKARKI ♦ KOPIARKI
FAXY ♦ SKANERY
MATERIAŁY EKSPLOATACYJNE**

BIUROMAX Biuro w dostawie
maksymalnych
wartościach

85-027 Bydgoszcz ul. Jagiellońska 70
www.biuromax-baker.pl e-mail: biuromax@byd.pl
tel./fax: 3461528, 3460165, 34601237, 3461306

AUTORYZOWANY DYSTRYBUTOR

**MINOLTA
Gestetner**

AUTORYZOWANY SERWIS

Tomasz Kosecki

Od wyborów do konstytucji

Triumfatorów wyborów, które odbyły się 15 czerwca 1977 roku okazał się premier Adolfo Suarez ze swą Unią Centrum Demokratycznego. UCD odniosła sukces wyborczy zwłaszcza dzięki poparciu klas średnich dla polityki bezpiecznego i ewolucyjnego demontażu dyktatury.

Kandydaci Unii zgromadzili przeszło 6 milionów głosów (34 proc.) i uzyskali 165 miejsc w Izbie Deputowanych, czyli niewiele mniej niż połowę wszystkich miejsc. Na drugim miejscu w tabeli wyborczej znalazła się partia socjalistyczna pod przewodnictwem Felipe Gonzalez. Socjaliści, którzy jeszcze przed pół rokiem byli partią nielegalną, otrzymali przeszło 5 milionów głosów (29 proc.) i 118 mandatów w Izbie Deputowanych, stając się czołową siłą opozycyjną i w przyszłości alternatywą dla Unii Suareza. Partia komunistyczna znalazła się na trzecim miejscu, zdobywając 1,7 miliona głosów (9 proc.) i 20 mandatów. Niewątpliwą porażkę poniósł Sojusz Ludowy, który otrzymał tylko 8 proc. czyli mniej niż komuniści¹.

W wyborach do Senatu na 207 obieralnych senatorów Unia uzyskała bezwzględną większość – 106 miejsc. Socjaliści otrzymali 48 mandatów, a pozostałe mandaty przypadły innym grupowaniom. Poza tym król mianował 41 senatorów według swego uznania. Zgodnie z ustawą zaakceptowaną podczas referendum rola Senatu była raczej ograniczona, natomiast Izba Deputowanych jest ciałem ustawodawczym².

Po pierwszym posiedzeniu nowego rządu premier Suarez ogłosił jego program, wymieniając jako najpilniejsze zadania rozwiązanie kryzysu gospodarczego, przygotowanie nowej konstytucji i przeprowadzenie wyborów municypalnych. Za nadrzędny cel rządu Suarez uznał umocnienie demokracji w Hiszpanii.

Zaufek 11

Zaprasza codziennie od godziny 11

Organizuje:

bankiety, przyjęcia, szkolenia, konferencje, wesela, imprezy cateringowe

Zaufek 11

to 100 dni tradycji kulturalno-rozrywkowej. Zaiżnial w podziemiach Biblioteki Publicznej, która w tym roku obchodzi swoje 100-lecie.

W klubie nie tylko można dobrze zjeść – kuchnia polska i międzynarodowa.

Odbywają się tu: koncerty muzyki poważnej, przedstawienia teatralne, wernisaże, spotkania i próby młodzieżowych grup muzycznych, spotkania bractw rycerskich, szachowe. Stałe miejsce ma mała galeria BWA, w której obecnie wystawiane są dzieła Piotra Kiepuszewskiego.

Zapraszamy piszących teksty i chętnych do współpracy w tworzonem kabarecie.

Sponsorów prosimy o pomoc i zapraszamy do współdziałania.

Zaufek 11 85-007 Bydgoszcz tel. (052) 345 77 62 wew. 258

Hiszpania – Wyspa Królików (5)

Siła ruchu robotniczego, odzwierciedlona w wynikach wyborów, a także realizacja programu uzdrowienia gospodarki, skłoniły rząd Suareza do podjęcia polityki ugody społecznej. Jej celem było porozumienie pomiędzy rządem a głównymi siłami społeczno – politycznymi, dotyczące osiągnięcia równowagi wewnętrznej gospodarki poprzez twarde posunięcia oszczędnościowe, takie jak: uwolnienie cen, zamrożenie płac, reforma podatkowa i ubezpieczeń społecznych, twarda polityka kredytowa, ograniczenie konsumpcji przy znacznym wzroście inwestycji publicznych.

Porozumienie takie osiągnięte zostało w rezultacie toczących się w październiku 1977 roku rozmów w pałacu prezydenckim Moncloa pomiędzy rządem i partiami opozycyjnymi. Pakt z Moncloa podpisany 9 XI 1977 roku, miał największe praktyczne znaczenie dla hiszpańskiej gospodarki, zmagającej się z kryzysem, ale utworzył także drogę do porozumienia w kwestiach politycznych, a przede wszystkim konstytucyjnych.

Pierwszym obszarem nowego, poszerzonego konsensusu miała się stać konstytucja, lecz opracowanie jej okazało się znacznie bardziej skomplikowane, niż początkowo przypuszczano w kołach politycznych Madrytu. Wyloniona została siedmiosobowa komisja konstytucyjna, której zlecono przygotowanie wstępnego projektu. W skład komisji weszli przedstawiciele UCD premiera Suareza oraz deputowani z partii opozycyjnych. Jej obradom towarzyszyły zakulisowe negocjacje między rządem a opozycją.

Ostateczny tekst konstytucji został przyjęty przez Kortezy 31 października 1978 roku. Naród zaakceptował ją w referendum z 6 grudnia 1978 roku, a udział w głosowaniu wzięło 68 proc. uprawnionych obywateli. Frekwencję tę uznano za niską, a w wyjaśnieniach wskazywano na złą pogodę (grudzień), brak rozstrzygnięć ważnych kwestii, np.: autonomii regionów, oraz znużenie społeczeństwa informacjami o pracach nad konstytucją. Król sankcjonował ją 27 grudnia 1978 roku na uroczystym posiedzeniu obu izb Kortezów.

„Naród hiszpański, pragnąc stabilności, sprawiedliwości, wolności i bezpieczeństwa oraz troszcząc się o dobro swych członków proklamuje, na mocy swej suwerenności wolę zagwarantowania demokratycznej koegzystencji w ramach Konstytucji i prawa zgodnych ze sprawiedliwym porządkiem społecznym i ekonomicznym”³.

Tak brzmi preambula konstytucji. Konstytucja ta, po raz pierwszy w tym kraju, harmonijnie połączyła wszystkie władze państwowe i obywateli. Podobnie jak całe przejście do demokracji, była wyrazem kompromisu politycznego, w którym lewica uznała legalność monarchii parlamentarnej bez przeprowadzania w tym celu ogólnonarodowego referendum i nie kładła nacisku na regulację gospodarki przez państwo, natomiast centroprawica uznała możliwość istnienia elementów socjalizacji i planowania w gospodarce.

Artykuł 1 konstytucji deklaruje, iż „Hiszpania konstytuuje się w postaci społecznego i demokratycznego państwa prawnego, które chroni jako najwyższe wartości swego porządku prawnego wolność, sprawiedliwość, równość i pluralizm polityczny”⁴. Niemal we wszystkich krajach, które w ostatnim dwudziestoleciu zburzyły systemy autorytarne, czy wręcz dyktatorskie i podjęły próbę tworzenia demokratycznych ustrojów, tę właśnie zasadę wpisano do konstytucji. Czasy współczesne cechuje bowiem mityczna wiara w sprawczą rolę konstytucji i zawartych w niej zasad, a w szczególności idei państwa prawnego⁵.

Parlament, czyli Kortezy Generalne składają się z Kongresu Deputowanych i Senatu. Relacje pomiędzy rządem a parlamentem stanowią spójny system parlamentarno-gabinetowy z pewną przewagą parlamentu. Premier ponosi odpowiedzialność polityczną przed Kongresem Deputowanych, a konstytucyjną przed Sądem Najwyższym. Natomiast osoba szefa państwa (dziedzicznego króla) jest nietykalna, nie ponosi on jakiegokolwiek odpowiedzialności, symbolizuje jedność i trwałość państwa hiszpańskiego, ale jego akty podlegają kontrasygnacie premiera⁶.

Autorytet króla Juana Carlosa jako najwyższego moderatora w sprawach wewnętrznych i reprezentanta państwa w stosunkach międzynarodowych wynika w dużym stopniu z roli, jaką odegrał w procesie budowania i obrony demokracji w postfrankistowskiej Hiszpanii.

Hiszpania miała dwie konstytucje w XX wieku. Pierwsza wersja konstytucji z 1931 roku powstała w ciągu dwudziestu dni, dyskusja nad ich artykułami na forum Kortezów trwała nieco ponad trzy miesiące. Powstał produkt, który już w czasie sporów na forum parlamentu został nazwany przez jednego z posłów, ks. Ramona Molinę, zaproszeniem do wojny domowej. Autorytet, przygotowujący ustawę zasadniczą po śmierci generała Franco, nie śpieszyli się tak bardzo. Konstytucja z 1931 roku pogłębiła i zaogniła podział społeczeństwa. Ta z 1978 nikogo w pełni nie satysfakcjonowała, ale była do przyjęcia dla wszystkich. Za pierwszym razem piszący konstytucję ściągnęli na kraj wojnę, za drugim razem zapewnili spokój i rozwój gospodarce⁷.

Zgodnie z postanowieniami przejściowymi konstytucji premier Suarez miał do wyboru: albo ubiegać się o wotum zaufania w dotychczasowych Kortezach, albo rozpisac nowe wybory. Premier wybrał drugą ewentualność i rozpiisał wybory powszechne na 1 marca 1979 roku.*

¹ Tadeusz Miłkowski, Paweł Machcewicz, *Historia Hiszpanii*, Wrocław 1998, s. 441.

² Grzegorz Jaszuński, *Hiszpański happy end*, Warszawa 1979, s. 259.

³ *Konstytucja Hiszpanii z 27 grudnia 1978*, tłumaczenie i wstęp Tadeusz Moldawa, Warszawa 1993.

⁴ *Ibidem*, s. 32.

⁵ Anna Łabno-Jabiońska, *Iberyjska droga do demokracji – studium prawnokonstytucyjne*, Warszawa 1996, s. 11.

⁶ *Konstytucja Hiszpanii z 27 grudnia 1978*, op. cit.

⁷ Krzysztof Koseła, *Lekcja dwóch konstytucji hiszpańskich*, „Przegląd Powszechny” 1997, nr 4, s. 79-87.

Stowarzyszenie Archiwistów Polskich

Zarząd Główny

ul. Bonifratska 6 lok. 21,
00-213 Warszawa, tel. (22) 635 87 68,
tel./fax (22) 831 31 71
www.sap.waw.pl, sap@sap.waw.pl



Jesteśmy najstarszą, największą i najbardziej profesjonalną firmą archiwistyczną w Polsce. Działamy na polskim rynku już od 37 lat.

Zakres naszych usług obejmuje, m.in.:
Archiwizacja od @ do z

- tworzenie planów organizacji i zarządzania dokumentacją
- przechowywanie dokumentacji
- prowadzenie działalności szkoleniowej w ramach Centrum Edukacji Archiwalnej
- archiwizowanie, porządkowanie dokumentacji
- tworzenie archiwów elektronicznych
- opracowywanie przepisów kancelaryjno-archiwalnych.

Stanisław Stanik

Wspomnienia o Zygmuncie Trziszce

Zygmunt Trziszka prowadził dział prozy w „Miesięczniku Literackim” i kiedy zanieśliśmy mu opowiadania z myślą o ich druku, kazał zgłosić mi się po dwóch tygodniach. Czekaliśmy w napięciu na rozmowę, bo, prawdę powiedziawszy, nie miałem wielu sukcesów jako prozaik, a to, co do tej pory drukowałem w gatunkach dyskursywnych, odbiegało rozwiązaniami artystycznymi od nowego. Dałem więc trzy opowiadania z tematyki psychiatrycznej, która wówczas bardzo absorbowała moją głowę i, muszę przyznać, martwiłem się, bo te opowiadania były ekscentryczne.

Skontaktowałem się z nim telefonicznie w którymś jesiennym poniedziałku 1987 roku. Zawsze, gdy musiałem usłyszeć ocenę swojej pracy, bardzo się denerwowałem i traciłem rezon; tak więc wykręciłem numer na cyferblacie z drżeniem serca. Gdy usłyszałem w słuchawce głos Trziszki, mój niepokój nieco opadł. Zaczęła się bardzo przyjemna rozmowa. Redaktor, do tego prozaik, a i wrażliwy, utalentowany krytyk literacki, z miejsca okazał się człowiekiem bezpośrednim i życzliwym. Wiedział, że opowiadań nie publikowałem, a mimo to potraktował mnie poważnie. „Proszę pana – mówił – ma pan talent. To, co pan mi dał do oceny, jest znakomite”. „Tak, tak?” – nie wierzyłem. Rozmawialiśmy długo, stanęło na tym, że opowiadania, przynajmniej dwa, ukażą się wkrótce w redagowanym przez niego piśmie. Choć nie mogłem nie być bezkrytyczny wobec jego superlatywów, bardzo mnie ujął.

Po jakimś czasie zaszedłem do „Miesięcznika Literackiego”, niepokojąc się o los złożonych opowiadań, bo jakoś długo nie wychodziły. „Ach, tak, pan Stanik, pamiętam” – i zaczęliśmy rozmowę tete a tete. Dialog był fachowy, można rzec filologiczny, choć Trziszka żadnym filologiem nie był, a braki w wykształceniu nadrabiał wielkim czytaniem. W każdym razie obiecywał dalej, że puści dwa opowiadania, radził też czekać. Jak za pierwszym razem, tak i teraz wywarł na mnie korzystne wrażenie. Unikał etykiety, pozorów, konwenansów, o takich jak on Przybyszewski wyrażał się „naga dusza”. Polubiłem go.

Aliści, wbrew obietnicy Trziszki, a także zapowiedzi na ostatniej karcie pisma, że ukażą się moje „opowiadania”, światło druku ujrzało tylko jedno „Honorowa sprawa”. Byłem wielce zawiedziony. Zaszędłem znów do Trziszki i próbowałem mu wytłumaczyć, że jeśli pismo chce być wiarygodne, niech zamieści jeszcze jedno opowiadanie, bo dopiero dwa podpadają pod miano „opowiadań”. Nic to nie pomogło. Podobno zadecydo-

wały względy techniczne. Pozostałoby na tym, gdyby nie zrządzenie losu. Otrzymałem zamówienie z „Kameny” na przeprowadzenie wywiadów z pisarzami i – co za myśl! – postanowiłem uczynić bohaterem jednego z nich właśnie Trziszkę. Nie znałem zbyt dobrze jego twórczości, ale nazwisko było mi nieobce jeszcze przed przekazaniem opowiadań.

Na wywiad przystał od razu, bez fałszywej, a częściej w takich przypadkach, minoderii. To ja zastrzegłem się, że nie jestem przygotowany, muszę przeczytać jakąś jego książkę, przejrzeć wycinki prasowe, no w ogóle. „Chodź pan, wszystko sam opowiem” – próbował rzecz skwitować. Ale ja byłem uparty, umówiłem się na spotkanie z nim w jego domu na Ursynowie, a przedtem przesiadłem z trzy popołudnia w bibliotece. Stawiłem się, gdzie trzeba i zacząłem dość sztywno, na co Trziszka zapytał, czego sobie życzę: wódki czy wina. Nie chcąc wydawać sobie zbyt złego świadectwa, odpowiedziałem, że wina, bo odmówić było niezręcznie, tak więc stanęła przed nami butelka wytrawnego. Otworzyliśmy butelkę, a zaraz potem otworzył się gospodarz. Był zawsze, jak go znałem, otwarty i szczery, wręcz ekshibicjonistyczny, teraz wyłożył na stół nie tylko swoje doświadczenia czy przeżycia, ale i kompleksy.

Rozmawiając o jego twórczości dowiadywałem się bardzo dużo o nim samym. Kiedy słuchałem, odniosłem wrażenie, że ten człowiek wiele cierpi. Raz – dokuca mu doświadczenie dzieciństwa, gdy tak naprawdę stracił wszystko, emigrując na Ziemię Zachodnią, dwa – doskwierają mu zawody życia osobistego, bo to i rozwód, i kłopoty z dzieckiem, trzy – irytuje sytuacja materialna, którą piórem na próżno chciałby podreperować, cztery – izoluje poczucie samotności w wielkim, anonimowym mieście, gdzie wszyscy pędzą za dobrami zupełnie odmiennymi, niż on preferuje. Te cztery niedogodności udało mi się raptem uchwycić, ale może było ich pięć czy sześć, w każdym razie odniosłem wrażenie, że mam do czynienia z człowiekiem nadwrażliwym, poszukującym, zgubionym i ponadprzeciętnym.

Wywiad powstał jakby mimochodem, a na redaktorach „Kameny” musiał wywrzeć wrażenie, bo puścili go w tempie błyskawicznym. Co przebiegało w nim z tonu wypowiedzi? Ze Trziszka czuł się wiecznym tułaczem, samotnikiem i plebejuszem. Jeden element z tej triady wystarczyłby, żeby być pisarzem wielkim. Trziszka nie czuł się nim. Z zalem wspominał, jakie musiał stoczyć boje, aby umieszczono jego nazwisko w dwutomowej encyklopedii literatury polskiej. Poza tym – a był to już czas początków pierestrojki – winił się, że jego obraz emigracji ze Wschodu był lukrowany, taki właśnie, na jaki było zapotrzebowanie w Polsce Ludowej. Marzyło mu się pokazać nagę, bezwzględną, okrutną prawdę o repatriacji i dlatego zbierał materiały do nowej, innej powieści, niż poprzednie. Mówił, że utrzymuje kontakt ze wsią rodzinną (choć rodzina wymarła), prowadzi korespondencję z etnografami i pisarzami pokrewnymi mu duchowo (Worcell, Buczkowski).

Kiedy materiał ukazał się drukiem, zanieśliśmy mu go do redakcji, z czego bardzo się ucieszył. Póki jeszcze istniał „Miesięcznik Literacki”, Trziszka dopomógł mi w wydrukowaniu recenzji z literatury regionalnej. Potem jednak pismo rozwiązano, a co działo się po jego zamknięciu z Trziszką, doprawdy nie wiem. Musiał być doprowadzony do desperacji, skoro ogłosił, bodaj w „Opolu”, że jako literat poszukuje propozycji. Przynęta jakoś chwyciła, bo przyjął go do współpracy „Świat Książki”. Nie widywałem się z Trziszką, choć spotykaliśmy się na łamach tego pisma jako autorzy. Dopiero jesienią 1990 roku przypadek zetknął nas na dłużej. Trziszka pracował jako re-

daktor w „Codziennej Gazecie Polskiej”, ja tam przynosiłem swoje materiały do druku – i zesłaliśmy się na korytarzu. Trziszka, masywny, trochę kanciasty, ale zamaszysty pan z długą, rudą brodą, szedł, kołysząc się szerokim krokiem, z naprzeciwka. Obok stała grupka mężczyzn, rozprawiających na jakiś bieżący temat. Przyłączył się do niej, wtedy ja próbowałem minąć rozmawiających, kierując lekki ukłon w stronę pisarza, ten jednak nie pozwolił mi na zdystansowanie się. Zatrzymał mnie, przedstawił gronu znajomych i powiedział: „Ten pan bardzo dobrze pisze, musimy go drukować”. Było mi bardzo miło. Wtedy to naprawdę przekonałem się, że są ludzie, którzy pamiętają raz rzucone słowo i starają się wszędzie je dotrzymać. Należał do nich Zygmunt Trziszka, który wierzył w tradycyjne wartości i bolał nad tym, kiedy w życiu musiał od nich odchodzić.

Przekonałem się w pełni o tym, gdy po jakimś czasie, już bezrobotny, zaczął pojawiać się w kawiarni plastików przy ul. Mazowieckiej i przyłączył się do towarzystwa, do którego poza mną należeli: Hugon Bukowski, Wiesław Sokołowski, Jerzy Świątkowski, Juliusz Emir i Lidia Snitko-Pleszko, malarze i pisarze, kiedyś rzućni na boczy tor życia artystycznego, teraz próbujący coś zdziałać wspólnie. Oficjalnie spotkania odbywały się pod płaszczykiem zebrań grupy artystycznej „Świat”, która miała swój organ prasowy „Hugo Art Service”. Grupa spotykała się raz w tygodniu, piła kawę i różne alkohole, a to dzięki „fundacjom” moim (w mniejszym stopniu) i Wiesława Sokołowskiego, dziedzica na Rawce pod Skierniewicami.

Zygmunt (będę go teraz nazywał po imieniu, bo spoufaliśmy się w tym towarzystwie kawiarnianym) nie pił żadnych wódek, whisky czy choćby piwa, czasem prosił tylko o postawienie wody mineralnej, co rozumiałem dobrze po wyjaśnieniach, że ma chory żołądek. Prawdę mówiąc, z czasem podejrzewałem go i inne przypadłości, do których pewnie nie chciał się przyznać, ale w gruncie rzeczy bardzo podobała mi się ta jego spartańska postawa.

Zygmunt czarował swoją osobowością. Na spotkaniach „u plastików” otaczał go nimb wielkości (jaka by ona nie była); wydawał się światowemu, choć cierpiał kompleksy z powodu swojego niskiego urodzenia. Na tych spotkaniach krystalizowała się formuła Związku Twórczego Pisarzy Polskich, organizacji literatów (choć nie tylko, bo i plastików, muzyków oraz autorów filmowych), która, za przyczyną mojego i Hugona wstawienictwa, znalazła siedzibę w Dzielnicowym Domu Kultury Nauczyciela na Woli. Związek narobił szumu wokół siebie, bo jako trzeci, obok Związku Literatów Polskich i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, stanowił zagrożenie dla wyłonionego i już skryształowanego, po przełomie 1989 roku, establishmentu twórców, głównie piszących.

Prezesem Związku Twórczego Pisarzy Polskich, który został nawet zarejestrowany w sądzie, był od początku Zygmunt Trziszka. Tworzył ten związek jakby w odparciu na sfalshowane przez Tchórzewskiego i Śliwonika wybory w Związku Literatów Polskich. W swoich decyzjach prezes był arbitralny, już wtedy, na początku naszych nowych spotkań, okazywał się często zbyt zasadniczy, bezkompromisowy i skory do zatargów. Co ciekawe, w naszej siedzibie przy Działdowskiej 8 życie literackie zaczęło jednak wrzeć. Co tydzień organizowaliśmy spotkania ze znanymi literatami w gronie dwudziestu – trzydziestu osób bardzo nam życzliwych, złączonych jakimiś stopniami znajomości. Ukonstytuował się zarząd Związku, utrzymywaliśmy korespondencję z jego oddziałami w niektórych częściach kraju (głównie Zakopane i Zielona Góra), zaczęliśmy nawet zbierać składki, w czym dużo dobrej woli wykazywała Jadwiga Sułkowska-Mijał. Był to najjaśniejszy okres mojej działalności z Zygmuntem; przeprowadzając spotkania doskonale się bawiliśmy, a powiem, że młodych wielbicielek mieliśmy, jak nigdy. Oczywiście, nie przekraczaliśmy miary dobrego obyczaju i stateczności.

Bardzo ciekawy okres w działalności naszej organizacji nastąpił zaraz potem, gdy w koalicji rządzącej był zapomniany dziś ZChN. Partia ta,

Bydgoska

Spółdzielnia

Spożywców

ul. Gdańska 47
85-950 BydgoszczBSS było już
przed zachodnimi marketami:

- ✓ jest wszędzie tam, gdzie innym nie oplać się być
- ✓ kupując w BSS popieracie rodzimy biznes
- ✓ kapitał polski i bydgoski

chcąc dać się poznać jako inspiratorka życia artystycznego, przygarnęła nas do siebie. To podanie ręki z początku wyglądało bardzo ciekawie, mieliśmy wrażenie, że dostaniemy się pod pieczę kogoś, kto nas pragnie, a pod jego auspicjami rozwiniemy szeroko skrzydła. Znow zaczęliśmy przychodzić na spotkania związkowe, tym razem do siedziby ZChN-u, i odbywaliśmy seanse o pokoju bardziej światopoglądowym niż towarzyskim.

Prezesem Związku pozostawał Zygmunt Trziszka i z racji pełnionej funkcji wszedł do zarządu głównego ZChN. Ale tam widocznie nie sprawował się zadowalająco (choć podobno rzucał się w ramiona wielkim politykom przy dawaniu „znaku pokoju” na mszy świętej), gdyż notowania naszego związku mocno spadły. Łąbedzimy śpiewem naszego współdziałania z partią współpracującą był wieczór autorski, w którym brał udział krytyk literacki Waldemar Smaszcz i historyk kościoła ks. Władysław Nater. Zaprosiliśmy liczne grono artystów i słuchaczy na wysokim poziomie intelektualnym i artystycznym, a okazało się, że brak było choćby złotówki na opłacenie występów, na dodatek w tak dziwnym momencie wieczoru pękła żarówka oświetlająca naszą salę, że można było snuć przypuszczenia, że ZChN ma nas w d... bo drugiej żarówki nie było. To się zaraz niedługo potem potwierdziło.

Jeszcze nie poddawaliśmy się. Złożyliśmy pismo do ministra kultury i sztuki w sprawie przyznania dotacji na działalność naszego związku. Omal tej dotacji nie otrzymaliśmy, a wszystko rozwiało się o... składki. Chcąc otrzymać status związku, będącego uprawnionym do dotacji państwowej, należało od chwili jego założenia wykonać uregulowane opłaty członkowskie. Powiem szczerze, za naciskiem Zygmunta podpisałem deklarację o ściągnięciu składek. I zaraz tego dnia, gdy to uczyniłem, zobaczyłem prawdziwą twarz Zygmunta: kpił sobie ze mnie, że jestem uległy. Gdy uświadomiłem sobie, jakie palnąłem głupstwo i że mogę odpowiadać prawnie za oczywiste kłamstwo, złożyłem szybko w ministerstwie pismo odwoławcze. Miałem za złe Zygmuntovi wystawienie mnie na szwank. Tak oto zamknęła się karta wspólnej komitywy, i w związku, i w towarzystwie, między mną a Zygmuntem.

Bynajmniej nie pogniwaliśmy się na siebie do końca. Istniała tylko zauważalna animozja między nami. Zygmunt, co prawda, rosiwał na mój temat plotki, ale nie były tak dominujące, aby zrywać z nim znajomość. W końcu wiedziałem, że cierpi na zupełny barak pieniędzy, żyje z dnia na dzień, a jak na początku zaznaczyłem, miał kłopoty w rodzinie, która zresztą była którąś tam jego rodziną, tak beztrąsko często spychaną na dalszy plan jego dbałości. Cel, jaki mi przyświecał w wnikananiu w życie Zygmunta, zmierza do diagnozy o naturalnej w nim tendencji do destrukcji, której nikt nie mógł, czy nie chciał, powstrzymać. Z gruntu był to dobry człowiek: szczerzy, bezpośredni, zdolny, ambitny, a przecież nie mógł zmieścić się w rygorach otoczenia, w którym żył. Zdało się, na początku kontaktu z nim, że otwiera

się bez granic, tymczasem podświadomie czuwał, czy ktoś tej jego otwartości nie wykorzystuje przeciw niemu i czasem nieobliczalnie, wbrew sytuacji, wybuchął.

Oczywiście, Trziszka wtedy obracał się w sferach wyższych niż ja. Należał przez pewien czas do zarządu ZChN, był na rozmowie z ministrem kultury, miał kontakty z telewizją. Raz sprowadził ekipę filmową na nagranie dyskusji o tym, jak powinien postąpić Wałęsa wobec oskarżenia go o współpracę agenturalną (pod pseudonimem „Bolek”). Spór odbył się w kręgu Związku Twórczego Pisarzy Polskich i miał charakter bardzo burzliwy, na ogół krytyczny wobec postawy Wałęsy, wówczas prezydenta Polski. Niestety, choć sfilmowany, nie widziałem, aby ukazał się na ekranie telewizji. Co więcej, gdzieś w połowie lat 90. ubiegłego już wieku Trziszka zaprosił ekipę filmową na spotkanie z Kazimierzem Świtoniem (jeszcze nie kontestującego na zwirowisku w Oświęcimiu, ale znanego jako inicjatora pierwszych w kraju wolnych związków). Zygmunt pisał o nim książkę, podobno w piwnicy z obawy przed represją władzy, a publicznie obaj ukazali się wyjątkowo u nas. Nagranie tego spiskowego wieczoru powinno się gdzieś zachować.

Trziszka był aktywny twórczo, lecz wdawał się w układy coraz bardziej radykalne i niepopularne. Na piśmie, co osądziłem po przejrzeniu książki o Świtoni, popadał w manieryzmy, jakby jakiś fałset słowny, w każdym razie nie był to ten sam pisarz, który stworzył „Wielkie świniobicie”, „Żyłastą rękę ojca” czy „Romansoid”. W ostatnich latach jego życia widywałem go rzadko. Raz dostarczyłem mu do domu książkę pt. „Pisarze mówią”. Wśród wywiadów tam zawartych był ten drukowany w „Kamieniu”. Spotkałem się z nim jeszcze raz, na krótko przed smutnym „końcem”, biorąc od pisarza trzy felietony do „Myśli Polskiej”, w której pracowałem i miałem pewien wpływ na druk materiałów. Niestety, naczelny pisma nie „puścił” ich, nie tyle nawet ze względu na nieprzystojne tematy, ile z chaosu stylistycznego, jaki się do nich wkradł. Powiem tylko, że jeden z tych felietonów był impresją z pobytu Zygmunta w Ameryce (gdzie miał pisać na zamówienie książkę, ale w efekcie jej zleceniodawca strasznie sobie z niego zakpił). A więc coś złego działo się z Zygmuntem, twórcą znanym ze smaczkowej narracji przy nieskazitelnosci toku myślowego, okazywanego wcześniej. Czy było coś organicznie złego z jego psychiką, czy tylko poddawał się depresji sytuacyjnej – nie wiem.

Dotarła do mnie pod koniec 2002 roku późniona wiadomość o samobójczej śmierci Zygmunta. Była to śmierć niezauważalna w środowisku literackim Warszawy. W ostatniej drodze towarzyszyła zmarłemu garstka ludzi, w tym po części przygodnych. I tak oto autor ponad 40 książek, za życia ukrzyżowany, został po śmierci zapomniany i to do tego stopnia, że jego znajomi po kolei odmawiali poświęcenia mu wieczoru pamięci w Domu Literatury. Niewątpliwie bardzo zdolny i pracowity, choć tragiczny, pisarz nie zasługuje na takie traktowanie.



R. KWIATKOWSKI - M. MAKOWSKI

85-458 Bydgoszcz, ul. Wiejska 122
tel./fax (0-52) 327 83 37

- ✓ projektowanie i urządzenie ogrodów
- ✓ unikatowy materiał szkółkarski drzew i krzewów ozdobnych
- ✓ oczka wodne wraz z małą architekturą i oświetleniem

Ceny przystępne
z możliwością negocjacji

DO NABYCIA:

Rewelacyjne nawozy specjalistyczne firmy „Hydro”. Nadają się do wszelkiego rodzaju upraw warzywnych i kwiatowych. Paczkowane przez firmę „Agro” nawet w porcjach 1 kilograma. Do nabycia przez cały czas w bazie PW

„Agro” 85-458 Bydgoszcz (Czyżkówko)
ul. Wiejska 122, tel. 345 51 37
w godz. 7.00-17.00

Przedsiębiorstwo Produkcyjno-Montażowe



**Elektromontaż
Pomorski SA
w Bydgoszczy**

85-451 Bydgoszcz
ul. Grunwaldzka 229

Centrala: 322 18 05, tel./fax 322 46 01
e-mail: zot@elektromontaz.bydgoszcz.pl
http://www.elektromontaz.bydgoszcz.pl

Salony fabryczne: ul. Gdańska 120
tel./fax 321 33 46

Fordon, ul. Piwnika Ponurego 4
tel./fax 346 73 28

Producent stolarki budowlanej PCV
w systemie Thyssen

**Najwyższa jakość!
5-letnia gwarancja!**

PROMOCJA: rabat na okna nietypowe

Produkujemy też schody samonośne
oraz balustrady i poręcze wszelkiego rodzaju
(materiał i kształt – dowolne)

APTEKA

ul. Powst. Wlkp. 26
Bydgoszcz

Przy Jurasza



**czynna codziennie, również
w niedziele i święta**

w godzinach 8.00-22.00

**bezpłatny dowóz leków
do domu**

tel. (52) 3412801

Skuteczna recepta na zdrowie

GRADAR
drukarnia

wizytówki
zaproszenia
listowniki
teczki
ulotki
książki



**Grażyna i Dariusz
Darowni**

85-009 Bydgoszcz
ul. Dworcowa 51
tel./fax 052/
322-38-86

Bogdan Janusz

Pies

Rzadko chodzę tamtą ulicą. Mam swoje utarte szlaki i niechętnie z nich zbaczam. Ale któregoś dnia miałem coś do załatwienia właśnie tam. Zobaczyłem go, siedzącego pod drzewem. Był jakiś oswiały. „Chory”, pomyślałem w pierwszej chwili. Podeszedłem do niego, zatrzymałem się. Spojrzał na mnie dziwnie, jak gdyby wyczekująco. Nie, nie był chory, poznałbym to. Nie był też zagłodzony ani nawet chudy. Był po prostu smutny. Tak, właśnie smutny. Większość ludzi nie zdaje sobie sprawy z tego, że fizjonomia psa może oddać tyle nastrojów, tyle stanów psychicznych: radość, nadzieję, niecierpliwość, znużenie, obojętność. A ten był smutny. Znam się nieco na psiej psychologii, więc wiedziałem, że bez obaw mogę go pogłaskać. Sprawili mi to przyjemność, wyczułem to bez trudności, ale w jego zachowaniu dostrzegłem pewną rezygnację, jakby wiedział, że za chwilę podniosę się i odejdę. Nie był przywiązany do drzewa, ale nie poszedł za mną. Zanim skręciłem za róg, odwróciłem się – wciąż siedział pod drzewem i chyba patrzył w moją stronę. A może tak mi się tylko wydawało.

Trzy dni później ponownie byłem w tamtej okolicy. Ja wiem, to było bez sensu, ale zapragnąłem zobaczyć, czy przypadkiem znów go tam nie ma. Był. Pod tym samym drzewem. Na mój widok wyraźnie się ucieszył. Naprawdę, poznał mnie, wstał i pomachał ogonem. Ponieważ nie spieszyłem się zbyt, mogłem zostać z nim trochę dłużej, niż poprzednio. Znowu odczuwałem jego zadowolenie i wdzięczność za pieszcoty. A gdy odchodziłem, odprowadził mnie parę kroków, po czym zawrócił i powoli powłócił się pod swoje drzewo. Powtórzyło się to jeszcze kilka razy – ilekroć przechodziłem tamtędy, zawsze znajdowałem go pod drzewem, zawsze radośnie reagował na moje pojawienie się i zawsze smutniał, gdy odchodziłem.

Postanowiłem pokazać go Karolinie. (Teraz widzę, że był to błąd, ale skąd mogłem wtedy wiedzieć, że sprawy potoczą się tak, jak się potoczyły). Powiedzieć, że Karolina lubi psy, to nie powiedzcie nic: ona je uwielbia. Chciałem zrobić jej niespodziankę i z tajemniczą miną prowadziłem ją od przystanku za rękę. Lubiła moje niespodzianki, ale była niecierpliwa, więc kilka razy pytała mnie: „Ale dokąd my idziemy?” A ja się tylko uśmiechałem. Wreszcie doszliśmy na miejsce. Koper był tam, gdzie zawsze. (Tak go nazwałem. Nigdy nie lubiłem tych banalnych psich imion: Burek, Reks, Azor). Przywitaliśmy się jak zawsze serdecznie. Kątem oka obserwowałem Karolinę. Stała jak wryta, patrząc na na jednego z nas, to na drugiego. „To... to twój pies?”, zapytała w końcu. „Mój nie, ale przyjaźnimy się”. „Jest śliczny. Czy... czy mogę go pogłaskać?” „No jasne, na pewno mu to sprawi przyjemność”. Tak, sprawiło. Od pierwszej chwili widać było, że przypadli sobie do gustu. Głaskaliśmy go we dwoje i nie miałem żadnych wątpliwości: był wtedy po prostu szczęśliwy. Ja zresztą też. Gdy w końcu podnieśliśmy się i zaczęli odchodzić, Koper zaszczeakał. A raczej cicho zawył. Było w tym wyciu tyle smutku, że musieliśmy zawrócić i jeszcze raz się z nim pożegnać. (Teraz sobie uświadamiam, że mnie samego ani razu tak nie pożegnał). Tym razem pozwolił nam odejść, tylko patrzył długo za nami. W drodze do tramwaju opowiedziałem Karolinie całą historię naszej znajomości z Koprem. Rozmawialiśmy tylko o nim, o jego sterczących uszach, którymi tak zabawnie ruszał, gdy się do niego mówiło, o ogonie, bez ustanku szorującym trawę, o lśniącej sierści, o melancholijnych oczach.

Oczywiście, po dwóch dniach byliśmy tam znowu. Tym razem wybiegł nam na powitanie, szciekając radośnie. Ucieszyłem się z takiego powitania – mnie samego nigdy nim nie zaszczy-

cił... Tym razem zabawa była dłuższa, tym razem było też bieżanie wokół drzewa, tym razem pies bawił się głównie z Karoliną. Ja stałem z boku i patrzyłem na nich. Oczywiście, częściej na Karolinę. Lubiłem na nią patrzeć. Korzystałem z okazji, że była całkiem pochłonięta zabawą z Koprem i zupełnie nie zwracała uwagi na mój wzrok, który wciąż jeszcze tak ją peszył przy innych okazjach. Gdy wracaliśmy, znowu rozmawialiśmy tylko na jeden temat. Ten sam, co przedtem. Odtąd wiele razy przychodziliśmy pod drzewo i zawsze oni się bawili, a ja stałem z boku i patrzyłem, ciesząc się ich radością.

Pewnego dnia Karolina zapytała: „A może byśmy go zabrali ze sobą?” „No co ty, przecież on ma właściciela”. „Skąd wiesz?” „Popatrz na jego sierść – lśniąca, czysta, zawsze wyczesana. Czy tak wygląda beżpański pies?” „No, ale całymi dniami siedzi pod tym drzewem”. „Widocznie wypuszczają go rano i zabierają dopiero na noc. Dla wielu ludzi pies nie jest członkiem rodziny – jest psem. Zależę się, że Koper nigdy nie wchodzi swojemu właścicielowi do łóżka, a śpi na kocyku w przedpokoju. Co nie zmienia faktu, że nie możemy go zabrać, bo to by była zwykła kradzież”. „No tak, masz rację. Ale wiesz co? On się nie może nazywać Koper”. „Dlaczego, uważam, że to dowcipne”. „Nie, to takie zwyczajne. Będzie się nazywał Ciruelo”. „Cir... jak?” „Ciruelo”. „A cóż to znaczy?” „Nie wiem, ale to ładne imię dla niego”. No tak, nie dość, że zabrała mi przyjaciela, to jeszcze zmieniła mu imię, które ja wymyśliłem. Bo przecież to nie było pytanie, Karolina, powiedziała mi, że od teraz mój przyjaciel będzie się nazywał Cir... jakoś tam. Zaczęłem się głębiej zastanawiać nad całą tą sytuacją. Po pierwsze, to to. Po drugie, praktycznie już o niczym innym ze mną nie rozmawiała, jak tylko o tym psie. Po trzecie, już nie chodziliśmy do kina, do znajomych, do antykwariatów, już nie słuchaliśmy u mnie płyt – cały wolny czas spędzaliśmy pod drzewem. Ona – bawiąc się z Koprem (to jest, z Ciruelo), a ja – patrząc na nich, ze stopniowo rosnącą obojętnością, a potem i rozdrażnieniem (które za wszelką cenę starałem się przed nią ukryć).

Aż w końcu coś we mnie pękło. Było to wtedy, gdy Karolina, zmęczona szalonym biegiem, uklękła przy psie i zaczęła go drapać: za uszami, potem w szyję, potem po całym tułowiu i łapach. Poraziła mnie lodowata myśl, że mnie nigdy nie pieściła z taką czułością, z takim oddaniem i z tak wyraźną radością. Przez długą chwilę stałem jak sparaliżowany. Z odrętwienia wyrwał mnie ciężar jej ręki na moim ramieniu. „No chodź, bo się zaziębisz”. „Tak, chodźmy już. Rzeczywiście jest zimno”. „Pa, Ciruelo. No, nie rób takiej smutnej miny, widzimy się jutro”. „Pojutrze”, poprawiłem ją. „Zapomniałaś, że jutro jest niedziela i na cały dzień wyjeżdżasz za miasto na ten wasz spęd rodzinny”.

W poniedziałek po południu znów poszliśmy pod drzewo. Psa nie było. Czekaliśmy długą chwilę, ale nie pojawił się. Karolina była zrozpaczona. Próbowałem żartować: „Chodź, wrócimy jutro, może dziś ma wychodne”. „Nie, poszukajmy go”. „Ale jak? Przecież nie mamy pojęcia, w którym z tych domów może mieszkać, a nie będziemy chodzić od drzwi do drzwi i pytać wszystkich lokatorów”. „No nie. Ale wiesz co? Możemy zapytać w kiosku, ta staruszka na pewno go zna”. Chciałem ją zatrzymać, ale nie dałem rady. Zrezygnowany poszedłem za nią w stronę kiosku, „...tak, tak, właśnie ten. Nie wie pani, co się z nim stało?” „A jakże, wiem. Wczoraj znaleźli go pod tym samiusieńkim drzewem. Pani, otruty na amen. Na śmierć. Musi, komuś przeszkadzał”. Bałem się, że Karolina wpadnie w histerię, albo zemdleje. Ale nie. Z jej twarzy odplynęła cała krew, zęby bezwiednie zacisnęły się. Bez słowa odwróciła się i jak automat ruszyła w stronę przystanku. Szedłem bez słowa pół kroku za nią. Nagie zatrzymała się i odwróciła w moją stronę. „Powiedz... Dlaczego tak? Dlaczego...?” Odchrząknąłem. „Słyszałaś, co mówiła kioskarka. Widocznie komuś przeszkadzał”, odpowiedziałem ze smutkiem.

KINO
ORZEŁ
BYDGOSZCZ

oferuje
pomieszczenia kinowe do wynajęcia

- ↳ sala widowiskowa na 400 miejsc wyposażona w fotele teatralne
- ↳ nagłośnienie stereofoniczne
- ↳ aparatura dolby digital EX
- ↳ mała scena z zapleczem
- ↳ centralne ogrzewanie
- ↳ całodobowy monitoring
- ↳ dobra lokalizacja w centrum miasta
- ↳ łatwy dojazd
- ↳ możliwość wynajęcia na godziny, dni, cykl imprez
- ↳ konkurencyjne ceny

ul. Marcinkowskiego 14, 85-056 Bydgoszcz
tel.: (0-pref-52) 345-57-67
fax: (0-pref-52) 322-53-55

KSIĘGARNIA

Bidgostia

85-009 Bydgoszcz, ul. Dworcowa 51B/4
tel. (052) 321-33-71, fax (052) 371-40-90

Dysponuje najbogatszą ofertą bidgostianów, w tym dzieł miejscowych twórców. Podręczniki z różnych wydawnictw.

Ceny – bez narzutu, zachęcamy głównie młodzież i studentów.

Polecamy książki wartościowe!

Pełna oferta IW „Świadectwo”

Nowości:

- Genowefa Jakubowska-Fijałkowska „Pochylenie”
- Anna Makles „Druga strona”
- Henrich Heine „Wiersze”
- Henryk Majewicz „Kapitan Venera”
- Krzysztof Hilcamp „Arcadia 1701”
- Jerzy Adalbert Jucewicz „W krainie rzek, pól i lasów”

FUNDATORZY „AKANTU”

Tomasz Agatowski	Rzemiosła Przedsiębiorczości
Jadwiga Badowska	Melilia Lange
Piotr Baranowski	Ryszard Lisowski
Maksymilian Bart-Kozłowski	Aleksandra Liszka
Teresa Borkowska	Ryszard Liszka
Wacław Buryła	Zdzisław Łączkowski
Honorata i Tadeusz Chróścielewscy	Anna Mickiewicz
Renata Cieszyńska	Hanna Mierwa
Ryszard Danecki	Katarzyna Misztal
Roman Drewiczak	Daniela Niespodziana
Janek Durski	Kazimierz Obliż
Zdzisław Dwywicki	Anna Obuchowicz
Ełtarni	Kalixst Plechodki
Stawomir Fetter	Włodzisław Polaczek
Fundacja Pomocy Twórcom i Artystom „Eranos”	Katarzyna Prokop
Andrzej Giersz	Zbigniew Przybyliński
Monika Gładysz	Wojciech Reszka
Robert Gotowski	Józef Jacek Rojek
Jerzy Grupiński	Antoni Skibiński
Krystyna Gryś	Jan Stanisław Smalowski
Mieczysław Gryś	Krzysztof Stanisławski
Miloslawa Gumper-Hause	Krystyna Starczak-Kozłowska
Krystian Hadasz	Stowarzyszenie Jeszcze Żywych Poetów
Danuta i Aleksander Kaczmarkowie	– Zielona Góra
Jerzy Katwak	Danuta Sułkowska
Antoni Kaniasty	Bożena Szymanska
Janek Karolak	Natalia Tadych
Eugenia Klak	Daromiła Tomawska
Władysław Klepka	Mirosław Trzczyk
Barbara Klunder-Nikolowa	Szczepan Warmiak
Janusz Koberski	Ireneusz Węczonek
Danuta Kostelnicz	Malgorzata Wojciechowicz-Lewkwa
Hanna i Włodzisław Krzemkowsky	Mieczysław Wojtasik
Zbigniew Kwieciński	Włodzisław Zeiriński
Kujawsko-Pomorska Izba	Andrzej Ziobrowski
	Lucjan Zuzia

Janusz Piczak

Pęta kanibala

... bo oskarżyciel naszych braci został strącony,
ten, co dniem i nocą oskarża ich..."

(Ap 12,10)

I Lato powoli umierało i ojciec Weroniki umierał niespiesznie. Weronika posępnie wpatrywała się w ruchomy obrazek okna z polem, chałupą, drzewem i drogą. Elementy tej samej dekoracji, zmieniały tylko ustawienie. Czasem chałupa była dalej, drzewo za nią. To znów tuż-tuż. Drzewo skakało raz na początek, to znów na koniec planu. Była to chałupa chałupowata chałupowatością swojską. Drzewo było drzewne jak drzewiej bywało. Droga była pełna dziur. Był jeszcze rów. Rów niczym fosa szeroki.

Nie wiem, skąd znam Weronikę. Pamiętam tylko, że na początku uciekałem przed nią w popłochu, gdy widziałem ją z daleka na ulicy. Później – już nie. Dlaczego mnie obarczyła tak przytłaczającym obowiązkiem towarzyszenia sobie w tej podróży? Nie wiem. Zgodziłem się na nią, powodowany niejasnym przeczuciem, że raz wyrwany z objęć nudy, i to właśnie teraz, nigdy już nie będę zmuszony odwzajemniać czułości tej podlej stręczycielki. Program w ekranie Weroniki przerywany był od czasu do czasu zakłóceniami drżącej, monolitycznej ściany lasu. Wtedy jej wzrok zatraczał się zupełnie w migotliwej magmie, by po chwili – zauważywszy swe zatracenie – odkleić się z pewnym wysiłkiem od szyby i spojrzeć na mnie. I ja patrzyłem na nią, starając się jednak nie patrzeć. Błądziłem w okolicach jej zwyczajnych ust i pospolitego podbródka. Wędrowałem ku dłoniom. Była dla mnie wtedy dłońmi. Brzydki, gruzłowatymi, niezgrabnie trzymającymi papierosa. Odganiającymi się od następnych kłębow dymu. Ukolysana nareszcie jednostajnym dudnieniem odpływała miarowymi taktami za zasłonę snu. Pochylając powoli głowę, nie stawiła oporu. Nie wyglądała wcale na kogoś, toczącego morderczy wyścig ze śmiercią. Śmierć, co prawda, lepiej znosi długie dystanse.

Odąd zdecydowałem się z nią wyruszyć, miałeś żarna w mojej czaszce zamilkły niespodziewanie, zaprzestając swej odwiecznej roboty. Przez tyle lat w pocie czoła, z mozołem szlifowałem grację ruchów, ich pewność, maestrię opanowania. Zaabsorbowany tymi zajęciami bez reszty, naraz w jednej chwili dostrzegłem niedorzeczność tej mistyfikacji. Wszystkimi porami, nie wiadomo skąd, poczęła wypełzać ze mnie poskramiana długo niezborności ruchów, co na kształt beznadziejności dziecka. Cała reszta stała mi się dziwnie i beznadziejnie obojętna w chwili, gdy Weronika kończyła opowiadanie o ojcu. Powiedziała już wszystko i zaniemówiła, przygryzając z niepokojem wargi. Nie to, żeby była natrętna, raczej nie oczekiwała żadnej odpowiedzi. I ja nie chciałem nic mówić, bo po prostu nie wiedziałem, co powiedzieć. Lecz nagle ni stąd, ni zowąd wymknęło mi się coś na kształt: – „Wiesz... Mógłbym ci towarzyszyć... Jeżeli miałabyś ochotę.” „Dobrze” – odpowiedziała, przezyciężając roztargnienie. Poczęło ciągnąć nas do tyłu. Myśli, dostrojone do równomiernego dotąd biegu, hamowały ze zgrzytem, opornie. Migotliwy obrazek, którym Weronika obojętnie wzgardziła, wybierając, miast niego, namiastkę nerwowej drzemki, na znak protestu znieruchomiała. Znienacka, na horyzoncie zjawiała się ludzka istota. Wtłoczyła się w naszą obecność, chcąc zakosztować najwyraźniej słodczy obcowania. Zabiegła krwią oczy, zasnuwała do szczytu alkoholowa mgła. bezwładne ramiona niosł szeroko rozstawione, niby linoskoczek. Wszedł, stanął mierząc chwilę odległość do fotela, po czym zwalił się na niego ciężko jak tłumok.

To wybiło ją ze snu. Znienawidził ją go od pierwszego wejrzenia. Jego tusza, jego pijackie niechlujstwo, jego rozpasane pożądanie wszystkiego co się rusza, wszystkiego co może płynąć,

jego ślina, jego zapach, jego pot... Wszystko to przyprawiało ją o nerwowe konwulsje. Jakże tu odbywać wyścig ze śmiercią w obecności tego...

Powaga pierzchła. Melancholia zawróciła na pięcie. Zamyślenie zrejterowało, ustępując miejsca jakiejś błazeńskiej maskaradzie, która nagle wdarła się tu w osobie tego opoja. Wielka jak góra istota ludzka zasnęła najspokojniej z otwartymi ustami. Wchłonęła w siebie z fircykowatym gestem rozedrgany sen Weroniki. Ona nie mogła już spać. On nie mógł już nie spać. Ten harcownik, przypominający swą obecnością o wszechpotędze nieuniknionego zapomnienia. Natręctwo, z jakim głosił swe karnawałowe przesłanie, było tu bardzo nie na miejscu. Wcinał się pomiędzy nieszczerście i ból ze swoim orędziem nieposkromionej uciechy, wbrew wszystkiemu.

Weronika z nieukrywana złością zaczęła hałasować, trzaskać, potrącać coś. I widać było, że robi to przeciw niemu. Dlatego, że nie może znieść jego widoku. Najchętniej szturlębyła go w bok albo nastąpiła na odcisk, ale na to zabrakło jej odwagi. Te trzaski rozbudziły istotę ludzką, która niewiele myśląc, pogmerała w swej podróży torbie i na światło dzienne tryumfalnie wydobyla flaszke piwa. Nurtowało ją teraz tylko jedno, ale zasadnicze pytanie: jak się do piwa dobrać? Próbowała triku z kluczami. Bezskutecznie. Usiłowała z pomocą zapalniczki. Nadaremno. Wyczerpawszy wreszcie zasób dostępnych możliwości, istota ludzka przystawiła kapsel do krawędzi stoliczka i jąła walić w niego jak opętana swą czerwoną pięścią, dysząc przy tym z rosnącym zniecierpliwieniem. Każde z uderzeń wzdrygało ciałem Weroniki. Każde bezwstydne westchnienie mąciło jej umysł. Wreszcie stoliczek złożył się nieoczekiwanie i z impetem ugodził istotę ludzką w kolano. Ta zawyla przeciągle. Zdradzała wyraźną desperację. Dobrała się do butelki zębami. Coś tam zasyczało, zabulgotało jakby... Wszystko na nic.

Aby nie przeciągać tej obustronnej męki, zaproponowałem pomoc. Ostrożnie ująłem oslinioną butelkę i jednym zdecydowanym pociągnięciem otworzyłem. Istota ludzka odebrała ją ochotczo i pociągnęła spory łyk. O tak, teraz już dobrze... Objął z czułością swe naczynie, przytulił. W końcu odstawił na rozłożony wcześniej przez siebie stoliczek. Jednak, co rozumiałe, w obecnym stanie ducha nie mógł rozłożyć go dość skrupulatnie. Stoliczek złożył się powtórnie. Flaszka runęła i z łoskotem zwała się na podłogę, tocząc z siebie żółtawy, spieniony płyn. Poczuliśmy ostry zapach chmielu.

Weronika już dawno popadła w czarne otępienie. Zataśkniła za chwilami, kiedy istota ludzka pogrążona była w pełnym majaków śnie. Pożałowała swych kaprysów. Istota przez dłuższą chwilę bacznie przyglądała się dokonaniem przez siebie dziełu zniszczenia, utrzymując swe pulchne odnóża nad zbroczoną podłogą. Dostrzegła nieznaczną skądinąd szczegół obryzganania nas piwem. Wybąkała coś jak „przypyszsmchm” i pograżyła się, o dziwo, w przygotowaniach do usuwania skutków katastrofy. Supłała, supłała zawzięcie w tobołku, aż wreszcie wysupłała paczkę papierowych chusteczek, które jąła rozkładać i ślać delikatnie na pokrytej śmierzdzącą breją podłodze. Chusteczki jak białe, zwiewne motyle falowały nad powierzchnią wód, by przysiąść na niej łagodnie i w jednej chwili zostać gwałtownie wchłonięte. Jedna za drugą. Zapas motyli wyczerpał się wkrótce. Istota ludzka doznała niespodziewanej przemiany. Gryzła się poczuciem winy. Wyrażała ową zgryzotę za pomocą skurczów fizjonomii i całościowego stulenia, przykurczenia jakiegoś nieznacznego. Pragnęła wyraźnie zajmo-

wać jak najmniej miejsca, aby nie kłuć sobą naszych oczu. Po chwili zaczęło do nas dochodzić jakieś przyciszone szuranie z dołu. To niestrużona nóżyna gmerała czubkiem buta w rozmoczonych chustkach, starając się dokończyć dzieła. Patrzyliśmy na to absurdalne zajęcie z niesmakiem. Istota ludzka dostrzegła ten niesmak. Marzyła teraz tylko o tym, jak nam nadskoczyć, jak nas uładzić, udobruchać. W końcu wpadła na koncept, by otworzyć okno, przewietrzyć nieco, pozbyć się duchoty oczywiście... Nasze próby i groźby nie zdały się na nic. Okazało się, że istota ludzka czystość powietrza ceni ponad wszystko. Skostniała z zimna, powłócząc zgrabiałymi członkami, zmieniliśmy przedział...

Z łoskotem i hukiem wtoczyliśmy się w noc, wzmocnieni wewnętrznie tymi doświadczeniami z rozpasanym żywiołem. Nie niepokojeni, na szczęście, już przez nikogo, wydani na pastwę wszechobjemującego znużenia, dobiliśmy na sam koniec do proggu poranka.

II

Prowincjonalna mieścina, jakich na mapie wiele, powitała dwa krótkie cienie, idące po rampie zapadłego dworca, uroczystym oszronieniem dachów, drzew, chodników i skwerów. Wszędzie srebrzyła się pokrywająca szarość dostojna powłoka. Cieniste, czarne postacie przystały i przeciągnęły się, by rozprostować kości. Z nozdrzy buchały im kłęby pary, a one spoglądały z zaciekawieniem, przysłaniając oczy, wzwyż, na panującą nad miasteczkiem sylwetę przytułku. Przy wtórze niemilkających kościelnych dzwonów minęły rynek, dwie zaspane uliczki i stromą ścieżką dobrnęły do celu swej wędrówki. Dzwonek przy wrotach tego przybytku spodziewanej i nie naglej śmierci zabrzmiał najzwyczajniej pod słońcem. Nie był niepokojący ani złowrogi., po prostu brzęczał metalicznie wysokim tonem. Jeden z cienistych wyciągał z kieszeni piaszczą pudełko papierosów i spojrzał na liliowe obłoczki dryfujące po chłodnym niebie. Pomyślał, że za chwilę wciąż je wszystkie do płuc razem z papierosowym dymem – tak wydawały się nieodległe. Myśl ta wprawiła go w dobry nastrój. W tym czasie drugi cień, kładąc się na czerwonoceglej ścianie, z uporem przytrzymał kontakt dzwonka czarną, wydłużoną dłonią. Nikt wewnątrz na przeraźliwy jęk nie reagował. Zniecierpliwione zdziwienie uniosło brwi jednego z cienistych. Ten, który palił, wetknął zużytą zapalną do kontaktu. Okręcili się wokół własnych osi, zostawili tobołki i ruszyli ścieżką wokół gmachu.

Po prawej stronie rozciągał się stary, opadający w dół, zapuszczony ogród. Sycili wzrok nowością otoczenia. Wszystko w przerażająco przeźroczystym powietrzu dane było jak na dłoni. Każde załamanie muru, każdy liszaj luszczącej się farby na wielkiej okiennicy, każda ogolona doszczętnie, kiwająca się w zadumie na tle jasnego nieba, gałąź upokorzonych drzew. Ta nadnaturalna przejrzystość pozwoliła im odgadnąć, że wielki ogród tętni koszmarnym wybrkiem.

Pierwszy szlafrok dostrzegł tuż po zsunięciu się z pochyłości. Jego biało-niebieska pasiałość odcinała się niepokojąco od brunatnej kory. Cienie przyspieszyły kroku. Nie podnosiły głów. Przystanął i oparł się plecami o drzewo, do którego przywarł szlafrok. Z góry dał się słyszeć stumiony chichot. Biało-niebieska przegowana frota ożyła. Wypląnęła z niej, na początku niezauważalna poprzez swoją nieskazitelną siwiznę, głowa. Zgrzybiały starzec, pomarszczony i w ogóle starczy starością wzorcową, zanosił się od nieprzyzwoitego rechotu. Wyszczerał się bezzębnie, a z pomiędzy czerwonych dziąseł sączyła się lepka ślina i spływała na kołnierz szlafroka. Nerwowo, chaotycznie zamachał ramionami niczym wielkie ptaszysko. Puścił konar, którego się trzymał i o mało nie przyplacił tego upadkiem. Wreszcie usadowił się na powrót na swoim gnieź-

Ciąg dalszy ze str. 11

dzie i przytknął wskazujący palec prawej dłoni do toczących pianę wąskich warg, po czym zwrócił się w głąb ogrodu i zaczął skrzeczeć jak wrona, nie wiadomo czy ostrzegawczo, czy też odwołując alarm. Jakies dwadzieścia kroków w prawo na wysokości drugiego piętra cieniści ujrżeli drugi machający ku nim rozpostartymi ramionami porannik, za nim nieco dalej prześwitywał z poskręcanych gałęzi trzeci, czwarty wyłonił się niespodziewanie tuż obok. Na czubku sąsiedniej rosłej topoli kołysała się tęgawa starsza kobieta, kukając zajadle urywanym i skrzeczącym ku-ku, ku-ku... Zaroiło się nagle od szlafrokowatych uniformów. Każde drzewo w parku miało swojego utajonego mieszkańca, który na dany znak objawiał się. Cienie zerwały się z miejsca. Biegły pod górę, tracąc oddech. Nie szukały ścieżki. Przedzierały się na przełaj przez chaszcze i klujące krzaki. Czyżby wybiła właśnie ta godzina, z dawna przepowiadana? Lecz jakże się to stało, że przyszła tak nagle? Zakradła się rzeczywistość jak złodziej, w chwili kiedy nikt się nie spodziewał. Bezszelestnie. To już umarli z grobów powstałi i wtaszczyli swe obleczone pomarszczoną skórą kości na drzewa, by rozgłaszać z wysoka sądny dzień... Cienie wpadły wreszcie na dziedziniec przed gankiem. Widziały, jak otwierają się szerokoskrzydłe drzwi i wychodzi z nich kobieta w białym kitlu, jeszcze nie stara.

– Państwo pewnie na jubileusz... – ni to spytała, ni stwierdziła, zawieszając wdzięcznie perlisty dyszkant. Ni to pytaniu, ni to stwierdzeniu wtórował cały czas brzęczący ze skargą dzwonek. Kobieta przechyliła głowę w jego stronę. Jeden z cienistych dostrzegł, że skóra jej twarzy jest aksamitna, pokryta gęstym mlecznobiałym puszkim, przeświecieranym przez złote promienie.

– To te głupie szczeniaki – zauważyła, ściszej głoś ponuro i wyszarpując wreszcie przekłętą zapałkę, przy czym, po raz pierwszy, spojrzała na mnie. Jej oczy były przyćmione niczym łuską mocnym alkoholem. Zważywszy na porę, było to dość niezwykle. Odgadując moje domysły, uśmiechnęła się i rzekła:

– Prosimy, prosimy. Wszyscy tu dzisiaj lekko wstawieni. Mamy przecież jubileusz dyrektora Moruca. A propos, widziałam przez okno, że pan pali. Mogę papieroska?

– Ależ oczywiście, bardzo proszę.

– Gdy podawałem jej ognia, rozszerzone źrenice wyraźnie błysnęły. Nie wiem, czy był to blysk zachęcający. Pewnie nie. Obojętne jaki był, ona raczej nie była tego świadoma. Chociaż może jej nie doceniam, tak jak nie doceniałem wielu ludzi. Nie wiem, czy grzech był jej żywiołem, ale wiem, że mógłbym już wtedy wgrzyźć się w nią, posmakować jej cudownej szyi. Ciemne chmury żarłoczności pojawiały się na horyzoncie mej duszy. Odurzające opary rozpasania, snujące się dotąd niezauważalnie gdzieś niżej, uderzyły wprost w nozdrza. Jednak Weronika wymieniła nazwisko ojca. Zapytała, jaki jest jego stan. Siostra wygięła do tyłu swe smukłe ramiona, znużona, wystawiła twarz ku słońcu. Odpowiedziała nieskładnie, że owszem, o ile jej wiadomo, wszyscy pensjonariusze miewają się dobrze i również będą obecni na raucie.

– Wszyscy się tam spotkamy, wszyscy przyjdą. Dyrektor Moruc zapowiedział, że obecność jest obowiązkowa.

– Ci, którzy wyczyniają w parku te dziwne rzeczy, też przyjdą?

– Kto wyczynia? Gdzie? To przywi... – siostrzyczka zmieszana się najwyraźniej.

– Proponuję, aby pani odświeżyła się tymczasem, poprawiła makijaż i nie myślała o rzeczach przykrych. Może być przecież całkiem zabawnie.

Odniosłem nieodparte wrażenie, że ostatnie słowo przedłużyła znacząco, wyzywająco wydmuchując dym, no może nie wprost w moją twarz, ale – jak mi się zdawało – gdzieś blisko mnie. A może wcale nie przedłużała, nie dmuchała i nie była wyzywająca. Może chciałabym, aby

tak było, bardzo bym chciał, ale tak nie było, no i coś przecież trzeba było myśleć, a nie bardzo było co.

– A więc zapraszam. – Przepuściła nas przed sobą. Weszliśmy do wysoko sklepionej, przeszklonej sieni.

– Państwo zechcą poczekać. W swoim czasie nie omieszkam poprosić – szepnęła, rozgniatając niedopałek obcasem czarnego, złowrogiego pantofelka i zniknęła za ogromnymi drzwiami. Zostaliśmy w sieni sami. Weronika uśmiechnęła się do mnie kwaśno.

– Nawet miła siostrzyczka...

– Miła? to jednak zbyt mało powiedziane, pomyślałem.

– Tak – odrzekłem. – Trochę trzpiotowata.

– Tamci ludzie w parku, zatrwożyli mnie. Nie wiem, czy dobrze zrobiłam mówiąc jej o tym.

Boczne małe drzwiczki po prawej stronie, których dotąd nie dostrzegliśmy, uchyliły się poruszonym przeciągiem. Podszedłem do nich, nie odpowiadając. Poprzez małą szczelinę zobaczyłem obszerną salę, w której wzdłuż wielkich okien ciągnęły się stoły, nakryte białymi obrusami. W sali uwijało się kilku wyfraczonych kelnerów. Rozstawiali na stołach półmiski, butelki i kieliszki. Słońce prześwietlało naszą sień niby akwarium. Ten rzeński poranek rozpierał moje młode kości, mój niepowstrzymany apetyt i nieuniknione nadejście nieznanego... Pochylny nad Weroniką zapalającą papierosa, myślałem z nadzieją o tych wszystkich złocistych płynach, perlących się w tych przepysznych flaszkach. Uśmiechając się do siebie, powróciłem do szczeliny w drzwiach. Pusta sala zadudniła sprężystymi krokami. Mężczyzna, z twarzą zadziwiająco przypominającą widziane dotąd twarze, omiótł wznętrzając wzrokiem i chyba to, co zobaczył, spodobało mu się, bo na obliczu, które trudno zapamiętać, wykwitł najpospolitszy pod słońcem uśmiech tępego zadowolenia. Patrzyłem na niego ukradkiem poprzez moją szparę. Naraz uniósł ramiona i wykonał całym ciałem przedziwne pas. Potruchął drobnymi krokami w przeciwny róg i powtórzył figurę. Co znaczą te wygibas w samotności? To był Moruc, doktor Moruc w całej okazałości. Był jakiś taki niewyraźny, nieodkreślony. Ani stary, ani młody; ni to grubas, ni to garbus. Był na pewno nieskazitelnie łysy i bezbrowy. Kobieta, z którą zawarliśmy już znajomość przy drzwiach, zjawiała się w sali. A ona tu po co? Zmierzyli się z oddali czujnym wzrokiem. Była bez kitla. W pełnej gotowości do balu. Miała na sobie teraz kuse, krwistoczerwone wdzianko i czarne szpilki. Moruc nie wyciągnął ku niej tłustych łapsk, nie próbował jej objąć. Ona zwinnym unikaniem nie udaremniła tego zamiaru, bo nie musiała niczego w ogóle udaremniać, ponieważ wszystko zostało udaremnione już dawno, dawno temu. Zbliżyła się ku niemu z takim impetem, że nieomal weszła na niego jak na pochyłe drzewo. Stała tak blisko, że Moruc z największym spokojem i najwyuczajniej w świetle objął ją lewym ramieniem, prawą dłonią zaczął zaś masować jej smukły kark. W jego dłoni przelewała się platyna. Masował ten kark niczym masażysta masujący mięśnie. Jakoś tak bezwiednie, z wysiłkiem, patrząc na przejeżdżający za oknem samochód. Mówiła coś do niego. Nie słyszałem słów. Z ruchu jej warg można było jedynie odczytać, że ktoś zawinił, że nieumyślnie przedawkowano tabletki, te silne, w prawym skrzydle. Wydawał się nieporuszony tą wiadomością. Tylko zwiewna, utkana z powietrza platyna w jego dłoni zwarła się w twardy guz. Przygiął jej głowę jednym silnym szarpnięciem do samej ziemi i uszli tak kilka kroków, zawrócili gwałtownie w tym namiętnym tangu, nim pozwolił jej delikatnie się osunąć. Nawet nie jęknęła. Kilku ludzi z orkiestry stanęło w drzwiach, czule obejmując instrumenty. Moruc wyprzył się.

– Panowie cała naprzód. Parkiet jest wasz – powiedział donośnym szeptem, ni to do siebie, ni do nich i, dyndając żółtym krawatem, opuścił salę w przysadzistych susach.

Muzycy twarze mieli niezdrowo blade, wyściana z marmuru, odcinające się od czarnych uniformów w taki sposób, że w pierwszej chwili trzeba było spuścić wzrok. Parkiet był ich. Za-

władnęli tym terytorium niepodzielnie. Panowali nad wszystkimi dobrodziejstwami, które się w jego obrębie znajdowały. Kobieta leżała z ramieniem pod głową i z jedną nogą podkurczoną. Pierwszy, najbardziej odważny, dzierzący pod pachą waltornię, podszedł do niej na pozór obojętnie. Jego chitynowo lśniące lakiery, niby dwa olbrzymie karaluchy, zbliżyły się ostrożnie do leżącego ciała. Zatrzymały się blisko, przyczajone. Karaluch obwąchiwał jej piętę, poruszył nią i zachichotał. Tamci stali w pewnej odległości i zdawkowymi uśmiechami maskowali zmieszanie. Waltornista pochylił się nad jej głową, przytknął do mięsistych ust połyskującego złotem ślimaka i zadał z całych sił w jej zakolczykowane srebrem uszko, o którego kształcie powinny krążyć legendy. Drgnęła nieznacznie. Od grupki odłączył się drugi śmiałek – tym razem skrzypek o podobrdku powleczonym warstwą tłuszczu, sztywnych włosach szczesanych do tyłu, przypominający jeżozwierza. Jego twarz handlarza bytłem rozjeżdżała się, poruszana, niby nerwowym tikiem, szczerzącym się, lubieżnym grymasem. Pochylny, zawiadacko podchodził ku niej wielkimi krokami. Długimi pociągnięciami smyczka pojękująco zapamiętała, imitując wyraźnie miłosne westchnienia. Tamci trochę się ożywili. Poczuli się porozumiewawczo trącać, wskazywać na leżącą kobietę i skrzypek. Wywracali przy tym oczami jak ludzie, którzy marzą o czymś odległym, nieosiągalnym do zrealizowania. Ocknęła się wreszcie. Jej zdumione oczy chłonęły całe to przedstawienie. Na jej twarzy zagościło przez moment nawet coś na kształt uśmiechu. Po prostu przyjmowała świat taki, jaki jest. To królowa, nieskalana myślą. Ta właśnie bezmyślność dodawała jej szczególnego, nieodpartego powabu. Skrzypek podszedł do niej skwapliwie, przyglądziwszy przeciągłym ruchem owłosienie na ciemieniu, przełożył smyczek do lewej dłoni. Prawą pomógł jej wstać i przy tym objął ją figlarnie w pól. Otrzymał czysty policzek. Szła pyszna przez całą długą salę, płynąc w powietrzu z dumnie uniesioną głową i nienawiścią w oczach. On został z odcisniętym, czerwonym piętmem wydłużonych palców na przetłuszczonym obliczu. Wyglądał teraz jak smutny jeżozwierz.

III

Odjąłem głowę od szpary. Z pary żalobników nieledwie przeistaczaliśmy się w parę weselników w młodą parę nieomal. Pobrząkiwały jednokrotnie nienastrojone instrumenty, goście wtaczali się ze wszystkich stron. Porwani ich nurtem znaleźliśmy się wśród tłumu tańczących. I już wirowaliśmy po parkiecie w takt upojnego walca. Wodzirej rzącał do mikrofonu. Spełnialiśmy toast za toastem, zachlannie, bez opamiętania. Dość powiedzieć, że po wielu godzinach tej przedniej uciechy, gdy wyszedłem na zewnątrz, aby zaczerpnąć tchu, czułem kurz w łepetynie. Parował, unosił się ku niebu zasnutemu jedwabiem chmurnym, posepnym. Odstręczając poirytowane, ale mimo wszystko szczęśliwe, schodziłem ku skrzącemu się w dali miasteczku. Minąłem kościół z milczącą grobowo dzwonnica. Minąłem park, czerniący się szelestem bezlistnym, złowrogim. Minąłem rynek pokrzykujący wyzwiskiem, bluźnierstwem bezecnym. Matowy połysk gwiazd czy latarni słał się na kałużach. Wąskimi uliczkami to staczałem się w dół, to wspinałem zapamiętałe. Z nieprzeniknionej pomroki dało się słyszeć zbliżające się terkotanie. Człowieka na zdezelowanym, starożytnym bicyklu dostrzegłem w ostatniej sekundzie, w chwili gdy naparło na mnie cielsko rozklekotane, rozdzwonione, zbrojne w łańcuchy, tryby i przekładnie. Ległem odrzucony impetem, pod policzkiem czułem lodowaty, tłusty policzek bruku. Zmąciło mi umysł, nie na tyle jednak bym nie zdołał zauważyć jak niefortunny jeździec z trudem zwleka się z chodnika, na który odrzucił go upadek, i, kuśtykając, coraz spieszej oddala się. Postanowił czmychnąć. Niech czmycha z Bogiem. Albo nie. Zaraz, zaraz...

– Hej człowieku! – zachrypiałem za nim. – Stój, zatrzymaj... Trzymajcie! – Podniosłem się na kolana. Wyteżając wzrok w gęstym mroku próbowałem rozeznaczyć, czy usłyszał moje słowa. Oddalające się w wąwozie ulicy kroki na moment ucichały, by po chwili zabrznieć na nowo. Uciekinier podążał w dół. Niewiele myśląc podniosłem wiekowy wehikuł, wdrapałem się na niego z trudem i gnałem nabierając szybkości. Sunałem teraz szaleńczo na samo dno czarnej doliny. W oddali przede mną, w mdłym blasku latarni, raz po raz migał, przemykający trwożnie pod ścianami domów, człowieczyna. Wiedział, że nie ujdzie. Ujrzałem, jak ukradkiem wślizgnął się do karczmy „Pod upstrzonym sufitem”. Porzuciłem przed wejściem swego rumaka i otworzyłem drzwi kopniakiem. Człowieczyna siedziała w kącie, jedną dłonią masował sobie kolano, w drugiej trzymał opróżniony kieliszek koniaku. Podeszedłem do niego powoli. Tak, to był on. To był jej ojciec. Miał dużą głowę o osadzonych głęboko oczach, które straszły czarnymi obwódkami. Żle wyglądał. Nie wiem, czy to było zaskoczenie i co miało być zaskoczeniem. Idąc za skinieniem człowieczyny, przysiadłem naprzeciw. Wpatrywaliśmy się w siebie chwiłowo, niczym starzy znajomi, którzy nie widzieli się od lat. Zarzywałem, że chce mówić, że gorączkowo niemal pragnie się wypowiedzieć przed kimkolwiek. Facet przy barze trenował smętnie tango na akordeonie.

– Nie ukryjesz przede mną niczego. Pamiętaj – zapowiedziałem.

– Nie chcę nic ukrywać – krzyczał. – Wszystkie, wszystko muszę wyrzucić, bo zwariuję, oszaleję. Nie wytrzymam tego dłużej, muszę się wyrzucić. Opowiedzieć ci o moim tryumfie i o mojej klęsce...

– Nie mamy czasu na pogaduszki – przebrałem wyniosłe. – Zaczynaj i spiesz się, daję ci całą długą minutę.

Pstryknięciem przywołałem kelnera. Przyseł. Jego biały kiedyś fartuch opinał wielkie i miękkie ciało.

– Dla tego pana koniak. Dla mnie karafka wody i szklanka.

– Moje cierpienie, moje lęki, udręka ściągane go zwierzęcia. Moja beznadzieja, moja rozpacz wreszcie, te wszystkie moje biedy, które mnie tak niespodziewanie i dotkliwie przywalały, wzięły się z mojego zaangażowania, z wybujałego aktywności – mówił szybkim szepcieniem. – Czy możesz to sobie wyobrazić, że byłem aż takim głupcem, by wierzyć w swoją przebiegłość, chytryść? Zdawało mi się, że przejrzałem jakieś tajemnicze mechanizmy, które rządzą tym światem i dzięki temu posiadam pewien rodzaj wtajemniczenia, świadomości niedostępnej zwykłym śmiertelnikom. Zwidziało mi się w obłądnym amoku, że doszedłem do niebywalej biegłości w tej grze, że dzięki poznanym sztuczkom, wybiegom, czy jak to tam nazwać, dokonam rzeczy na polu niemożliwej – przechrzęzę naturę, los. Nie uwierzyłem, ale udawało mi się. Do czasu. Wywijając się jak piskorz, kluczyłem, zaklinałem, jeśli sprawa tego wymagała, przekupiłem kogo trzeba albo zastraszyłem. W końcu nabrałem pewności siebie, wbiłem się w pychę. Wszyscy i wszystko mówiło mi „jesteś wytraunym graczem”. To prawda, chciałem panować i panowałem. I wtedy przyszedł cios. Ja, którego naczelną zasadą było, aby nie dać się zaskoczyć, aby być zawsze gotowym na najgorszy wariant z możliwych, dałem się podejść. I zostałem surowo za pychę ukarany – podniósł koniak do ust i wlał go w siebie. Napeniłem jego kieliszek po brzegi. Wychylił i ten, natychmiast jednym chałstem. – Teraz już tylko uciekam, ukrywam się, zacieram ślady, gubię trop – mówił coraz szybciej. – Jej nie przechrzęzę, wykorzystałem wszystko, co było do wykorzystania, wpływy, kontakty, pieniądze. Wszystko na nic. Ściąga mnie wytrwale i w końcu dopadnie, odsuwam to tylko w czasie. Uchodzę nocą jak złodziej...

– Twój czas się skończył – uciałem ostro. Człowieczyna westchnęła i potarła dłonią brzoś na czole. Nie wiem, czy oczekiwał ode mnie

rozgrzeszenia, jeżeli oczekiwał, musiał się poczuć rozczarowany.

– Ja cię nie rozgrzeszam, bo to nie w mojej mocy – powiedziałem, nie kryjąc satysfakcji. Rozmowa była skończona. Podparł pięścią brodę i czekał, wpatrując się pustym wzrokiem w ścianę.

Przy naszym stoliku zjawiła się siostrzyczka. A więc to na nią czekaliśmy. Na swój balowy kostium miała narzuconą pelerynę, którą się z niewymuszonym wdziękiem otulała.

– Panie Adamie, wszystko gotowe, taksówka czeka – powiedziała delikatnie, człowieczyna wstała.

– Będę musiał się pożegnać, to właściwie wszystko, co miałem do powiedzenia. Nie ma mi pan chyba za złe, że się oddalam.

Wyciągnął do mnie drżącą rękę. Spojrzałem na niego z pogardą i nieznacznym ruchem uniesionej głowy wskazałem na drzwi. Odwrócił się i odszedł. Nie był wcale pochylony, przygarbiony, nic z tych rzeczy. Może tylko lekko pijany, nic więcej. Powiedział jeszcze siostrzyczce, tak jak przykazałem mu powiedzieć, żeby go nie odprawiała, że da sobie radę sam. Wpatrywałem się w nią. Jakim cudem mogło mi to umknąć? Ona nie miała przecież woli. Była jej w jakiś naturalny sposób pozbawiona.

– Siadaj – rzekłem niedosłyszalnie, niby mimochodem.

Usiadła, założyła nogę na nogę.

– Przeciągnij się jak niesforna kotka – usłyszałem swój skrzeczący rozkaz.

Już posłusznie wygięła smukłe ramiona, odrzucając przy tym połę czarnej peleryny. Łasiła się przy tym wyraźnie, przymilnie. Wyginała szyję, przymknęła nawet powieki. Mętne, nie wiadomo skąd dochodzące skośne światło prześwieciło białą puszek nad górną wargą. Ujrzałem go po raz drugi.

– Dawaj forszę! – przedziłem sylaby przez sito zębów.

Przetrząsnęła w pośpiechu kieszenie peleryny i znalazła w nich jedynie kilka monet i banknot. Położyła to wszystko przede mną na stoliku. Nie starałem się kryć rozczarowania. Bawiłem się pieniędzmi przez chwilę, potem podniosłem się, podeszedłem do akordeonisty i wrzuciłem je do kapelusza, który przed nim leżał.

– Ta pani prosi o tango – wybełkotałem, udając pijanego. Wróciłem do stolika niepewnym krokiem, tym razem nieudawanym. Widziałem, że kobieta uśmiecha się, odrzuca na krzesło pelerynę. Tango pulsuje w stęchłym powietrzu.

– To wszystko, możesz już odejść – rzekłem z flegmą.

Spojrzała na mnie tą swoją wielkooką głową, która, jak mi się zdawało, nieznacznie drgnęła. Ciągle milcząc, podniosła się jednak i zrobiła garnący się krokczek w moją stronę.

– Na co czekasz? Precz! – warknąłem.

Odchodziła w zwolnionym tempie. Była coraz dalej i dalej. Rozpływała się wolno.

– Aha, wracaj! – wrzasnąłem za nią, kiedy zniknęła już w drzwiach.

W sekundę znalazła się tuż obok, oczekując z jaśniejącą twarzą.

– Za godzinę masz się stawić w moim pokoju. Za godzinę, pamiętaj. Nie spóźnij się, moja droga.

W odpowiedzi musnęła delikatną dłonią moje włosy.

– No dobrze, już dobrze – odprawiłem ją znudzonym gestem.

Czas się posunął, ale nie równomiernie, lecz skokiem. Jednym zdecydowanym szarpnięciem. Było koło południa, kiedy się ocknąłem rozleniwiony. Czaszka pękała mi w szwach, więc zanurzyłem się jeszcze na powrót w słodkiej, rozmarzonej drzemce. Uczulem wszechobejmujące rozkielznanie. Niekępowany przez nic, ani przez nikogo, byłem władny zrobić ze sobą i z innymi wszystko, czego dusza zapagnie. Perspektywa tysiąca możliwości, które się nasuwały, nie przerażała. niezliczona ilość kombinacji, wariantów, a wszystko to w mocy mego widzimisię. Bezruch ostrożny, dyktowany obawą, by nie zburzyć tak kuszącej wizji. Czy ona była u mnie w nocy? Chyba była. To kompletnie pozbawione znaczenia. A może nie...

Drzwi gościnnego pokoju uchyliły się bezgłośnie. Weszła sprężystym krokiem w służbowej bieli z szarą twarzą, której przybyło dwadzieścia lat. Jej nieobecny wzrok przeslizgnął się po mnie obojętnie. Za nią wkroczyło dwóch pielęgniarzy, w których ledwo rozpoznałem wczorajszych muzyków – waltornistę i skrzypka. Byli dzisiaj w kitlach. Jeden, chyba skrzypek, miał przewieszony przez ramię pasiasty szlafrok. „Po co ta cała procesja” – pomyślałem. Dawala mi bezgłośnie, pewnie wcześniej umówione znaki. Jeden zbierał rozrzucone w nieładzie moje rzeczy i pakował je bezdusznie do czarnego, szeleszczącego worka. Drugi, znalazłszy moje dokumenty, wypełniał z żelazną precyzją formularz. Chciałem się zerwać, lecz coś mnie powstrzymało. Co to jest? Co to za więzy, których nie dostrzegłem, których nie czułem wcześniej, a które mnie przecież od rana, a może już w nocy, krępowały. Leżałem spętany, przytwierdzony do łoża solidnymi skórzanymi pasami, zakneblowany złowrogą ciszą.

– Gdzie Weronika? – wyszarpnąłem wreszcie z palonego trwoga gardła. – Ona mnie przecież...

– Panna Weronika opuściła zakład nad ranem – przerwała szorstko kobieta w bieli. – Kazała przekazać panu, że udaje się na wybrzeże. Podobno szuka tam kogoś. Teraz zrobić mały zastrzyk, to uspokaja. Relaks, relaks i jeszcze raz relaks, aż do sądnego dnia, to dewiza naszego ośrodka.

Janusz Piczak



POWSZECHNY ZAKŁAD UBEZPIECZEŃ S.A.

I Inspektorat w Bydgoszczy,
ul. Wojska Polskiego 20c tel. 326-46-66

Proponuje na korzystnych warunkach ubezpieczenie:

- Odpowiedzialności cywilnej w życiu prywatnym
- Mieszkań
- Budynków i lokali mieszkalnych nie związanych z działalnością gospodarczą

Zapraszamy do skorzystania z naszej oferty

UBEZPIECZAMY MILIONY POLAKÓW

Alfons Soczyński

Hajduszoboszlo

Przez kilka lat słuchaliśmy opowieści znajomych na temat uroków tej węgierskiej miejscowości, ale woleliśmy wyjeżdżać gdzie indziej, dopóki nie zaczęły się nasze kłopoty ze zdrowiem... Po raz pierwszy pojechaliśmy do Hajduszoboszlo w 2000 roku i do tej pory byliśmy tam trzy razy, planujemy także wyjazdy następne. Nie tylko dlatego, że podczas ostatniego pobytu usłyszeliśmy od Magdaleny i Karola – „*wy już nie turyści, wy przyjaciele*”. Wydaje mi się, że kto raz tam był, nie jest już w stanie oprzeć się magii tego miejsca. Postanowiliśmy, że będziemy tam wyjeżdżać przynajmniej raz w roku, choćby z jednego powodu: nigdzie dotąd nie spotkaliśmy miejsca, w którym można, nie wkładając w to zbyt wielkiego wysiłku, tak aktywnie wypocząć. Miejsca, w którym nasze ciało i dusza może doznawać tylu prostych, a ożywiających i przyjemnych wrażeń, poprawiających zarówno stan ducha, jak i kondycję ciała. Setki tysięcy ludzi, przybywających tu z całej Europy, wypoczywa wśród strumieni ciepłych wód, zawierających niemal wszystkie pierwiastki chemiczne i ich korzystne dla ludzkiego organizmu połączenia. Oczywiście, nie bez znaczenia jest, że poznaliśmy Magdalenę i Karola, przez co nasze wyjazdy zaczynają przypominać sentymentalne podróże do krewnych z zagranicy.

Wprawdzie osobiście wolałbym wybrać się do ciepłych źródeł na Islandię, ale raczej nie tyle z powodu tamtych źródeł, co nęcący innymi walorami tej wyspy: śladami Wikingów, fascynującymi opowieściami i mitami Eddy, które rozgrywały się tam na malowniczych wybrzeżach morza i jezior, pośród tajemniczych pieczar górskich, na szczytach gór i w głębi wulkanów, w dolinach rzek i w rozpadlinach lodowców. Ponadto, Islandia zaprzęta swoją wyobraźnię z powodów rodzinno-sentymentalnych. Podobno przodek mojego dziadka był w czasach Mieszka I jego posłem na Wyspy Brytyjskie, a potem, porwany przez Wikingów, trafił na Islandię. Znalazł się następnie wśród pierwszych żeglarzy, którzy dopłynęli na Grenlandię, a stamtąd, na kilka wieków przed Kolumbem, do Ameryki, tylko nie do jej części środkowej, dokąd dotarł Kolumb, lecz do kraju nazwanego Winland, do północnych wybrzeży Ameryki, nigdy przez Kolumba nie oglądanych... Według innej wersji tej rodzinnej legendy, nasz przodek został przez Wikingów porwany na Pomorzu, kiedy podążał szlakiem handlowym z Wołny, aby wymienić swoje towary na bursztyn. Nasza rodzina, przenosząc się po drugiej wojnie z Wołny na Pomorze, jakby podążała starym szlakiem naszych przodków...

Zanim zdecydowaliśmy się na wyjazd, przestudiowaliśmy mapę i przewodnik turystyczny. Chociaż nazwa *Puszt* ma w sobie coś z egzotycznej przeszłości tej krainy, to cóż może być ciekawego dla polskiego turysty na dzisiejszej równinie węgierskiej? *Puszt* to pierwotny, nieprzebyty las, po którym nie ma śladu. Obecnie dawna *Puszt* to ciągnące się kilometrami, wzdłuż trasy naszego przejazdu, plantacje zbóż, kukurydzy, słonecznika, papryki, arbusów oraz pastwiska w dolinach nielicznych rzek. W czasie przejazdu przez miejscowość Gorbéhaza mijamy dwadzieścia jeden gniazd bocianich, usytuowanych na przydrożnych słupach, co przypomina mi swojskie widoki z doliny Baryczy. Widać służą naszym ulubionym ptakom, okalającym wieś łąki nad wylewającą czasami Cisą i jej dopływami. Rzeka wypływa z terenów huculskich i kryje w sobie niejedną tajemnicę. Gdzieś w jej nurtach, w roku 453, pochowany został, wraz z wielkim skarbem, słynny wódz Hunów, Attyla. Nikomu dotąd nie udało się natrafić na jego ślad.

Wczuwamy się w monotonny rytm życia osiedli i zagród wiejskich. Nie ma w okolicy ani przyciągających turystów gór, ani morza, ani je-

zior, ani słynnych zabytków zamierzchłej przeszłości. Do Budapesztu dwieście kilometrów, nad Balaton jeszcze dalej. Do granicy rumuńskiej za to stamtąd niedaleko... A Rumunia, nie skażona jeszcze, tak jak inne kraje, niszczącą magią cywilizacji tylko dla bogaczy (wbrew naszym stereotypom i skłonnościom), ze swoim niezwykle bogatym życiem duchowym ludu, żywymi w tradycjach, mitach i legendach więziami ze starożytnością, ze swoim folklorem i przyrodą, jest krajem przyrodniczo i kulturowo znacznie ciekawszym od okrzyczanych zachodnich potentatów turystyki. Ponadto, jest krajem ludzi nam duchowo bliższych, co można odczuć, czytając na przykład teksty M. Eliadego, tylko, wskutek niedoinformowania, krajem prawie nam nieznanym...

Ale tym razem zostaniemy na Węgrzech... Czy nazwa Hajduszoboszlo nie jest intrygująca?... Gdy przyjrzyć się bliżej tamtej okolicy, można spotkać wiele miejscowości o nazwach zawierających wyraz „*hajdu*”. Z czym kojarzy się nam wyrażenie „*hajdu*”? Cały ten rejon, którego stolicą jest Debreczyn, nosi nazwę Hajduság. Nazwa pochodzi od społeczności hajduków, którzy w siedemnastym wieku osiedlili się tutaj. Hajducy byli poganiaczami bydła i rozbójnikami. Wcześniej byli zbiegami, którzy napadali na tureckich najeźdźców, kiedy ci zajmowali tereny Półwyspu Bałkańskiego. Gdy wojewodą siedmiogrodu został Bocskai, nadał im ziemię na własność i uczynił szlachtą. Hajducy stali się w jego rękach groźną armią przeciwko Habsburgom. Potem oddziały hajduków, jako węgierskiego wojska, były znane z walk w wielu innych kampaniach wojennych. Okazuje się więc, że jeśli przyjrzyć się dziejom jakiegoś zakątka ziemi, to nawet najmniej ciekawe tereny mogą kryć w sobie wiele tajemnic, interesujących historii i zagadek.

Węgrzy są nam bliscy emocjonalnie, historycznie i obyczajowo, za to dalecy językowo... Jak więc się z nimi porozumieć, skoro nam nie jest łatwo nauczyć się ich języka? Okazuje się, że w Hajduszoboszlo język polski jest, obok niemieckiego, drugim obcym językiem, w którym można się bez problemu porozumieć w codziennych sprawach, w sklepach, hotelach, na kwaterach i na obiektach sanatoryjno-rekreacyjnych oraz handlowo-gastronomicznych, zorganizowanych wokół ciepłych źródeł, do których co roku przyjeżdżają tysiące ludzi z wszystkich niemal krajów Europy. Na terenie basenów wszelkie komunikaty podawane są w trzech językach – węgierskim, polskim i niemieckim. Ma się przy tym wrażenie, jakby z obokrajowców Polaków było tu najwięcej. Wyprzedziliśmy już, podobno w ostatnich latach Niemców, którzy dotąd tutaj przeważali. Hajduszoboszlo jest więc międzynarodowym kurortem. Najlepiej widać to, a właściwie słycać, na basenach, których jest kilkadziesiąt na rozległym, wielofunkcyjnym obiekcie, położonym niemal w centrum miasta, zbliżonego wielkością do naszego Inowrocławia. A pomimo tego, w przeciwieństwie do innych masowo nawiedzanych miejsc, nie jest miejscem gwarnym i męczącym. Nie czuje się tu pośpiechu, nie słyszy hałasu i miejscowego gwaru, nad wszystkim zda się panować jakaś dyskretna, pogodna i życzliwa ludziom harmonia.

Coroczny pobyt zaczynamy od rytualnego już złożenia wizyty w domu Magdaleny i Karola. To oni, znając nasze wymagania i możliwości finansowe, załatwiają nam lokum. Oprócz swojego domu, podnajmowanego w sezonie kuracjom, Karol opiekuje się siedmioma domami letniskowymi znajomych. Zdajemy się więc na jego znajomość rzeczy, jeśli chodzi o zakwaterowanie. Kwatery mają na ogół standard zbliżony do siebie. Każda mieści się w parterowym lub jedno-piętrowym domu i posiada wygodną oraz w peł-

ni wyposażoną kuchnię, toaletę i łazienkę, sypialnię oraz taras. Kto uznaje tylko własną kuchnię, może gotować nawet obiady... Jest też w mieście sieć bardziej lub mniej luksusowych hoteli, ale nie jesteśmy samolubni i zostawiamy je w spokoju, aby zostało coś dla bogaczy...

Zazwyczaj przygotowuje się z rana lekkie śniadanie, aby nie być ociężałym podczas porannych *misteriów* w odkrytych basenach, położonych wewnątrz kompleksu budynków, jakby w wielkim atrium. W budynkach mieszczą się najróżniejsze gabinety rehabilitacji i zabiegów specjalistycznych, dostępnych wyłącznie na podstawie skierowania lekarskiego. Większość takich jak my kuracjuszy korzysta z basenów masowej terapii i profilaktyki, ogólnie dostępnych na podstawie wykupionej karty całoninowej lub całotygodniowej. Tutaj, jakby w samym centrum wydarzeń, najwcześniej, gdy już od godziny siódmej trzydzieści, a niekiedy nawet od siódmej, zaczyna się codzienna, systematyczna, radosna walka każdego kuracjusza o zdrowie. Poranne słońce coraz śmielej przygląda się naszym płasom i czatom w pełnej nośników zdrowia, ciepłej lub wręcz gorącej wodzie i igraszkom z jej różnymi, bardzo zmysłnymi strumieniami, których wielorakość ma różnorodnie działać na skomplikowane struktury naszego ciała. Baseny są czynne również zimą i nawet wtedy kuracjusze pływają w wodzie o temperaturze od trzydziestu do trzydziestu ośmiu stopni Celsjusza oraz poddają się podwodnym masażom stóp, łydek, kolan, kręgosłupa, ramion, brzucha, stawów kulszowych i łędźwiowych, stają pod strumieniami wody spadającymi kaskadą na głowę i ramiona spod metalowych „*grzybków*”, czy dają się „*ciąć*” w poprzek wodnymi strumieniami, tak zwanej „*żyłtki*”... Zabiegi te łagodzą dolegliwości i leczą schorzenia narządu ruchu i kręgosłupa, porażowe, zwyrodnieniowe, gośćcowe i reumatyczne. Istnieją tu ponadto, czynne przez cały rok, trzy duże baseny kryte z wodą leczniczą, gdzie oprócz zabiegów termalnych, pobiera się inhalacje, oddychając parą, jaka się nad nimi unosi. Można tu także napić się wody mineralnej, która smakuje, jakby zawierała lekką domieszkę ropy. Woda poprawia trawienie i leczy niektóre dolegliwości przewodu pokarmowego.

Kiedy ma się dosyć atrakcji na basenach wewnętrznych, można wyjść na zewnątrz, gdzie na olbrzymim kilkudziesięciogektarowym terenie, porośniętym pięknymi drzewami i krzewami, wśród alejek ozdobionych klombami kwiatów, znajdują się baseny na wolnym powietrzu. Są przebiegane, natryski, leżaki, ławki, stoły, murawy, miejsca zastonięte od słońca i nasłonecznione. Ta część uzdrowiska czynna jest od maja do końca września. Baseny otoczone są kompleksem restauracji, barów i kafejek o bardzo urozmaiconej ofercie oraz sklepami z obuwiem, odzieżą i zabawkami. W wielkich kotłach, gotując się wolno pod gołym niebem, pyrkocząc i parując, unoszą się apetyczne zapachy najrozmaitszych gulaszy i zup. Niektórych, zwłaszcza nowicjuszy, wabi egzotyka gulaszu z kogucich jaj i grzebieni, podobno dobrze wpływającego na potencję.

Dalej rozciąga się staw, w którym pływają ławice tłustych karp, widowiskowo kłębiących się na oczach turystów w walce o rzucane kęsy pożywienia. Miałem okazję obserwować tu, znanego mi z doliny Baryczy, ptaka bączka. Uciepiony przybrzeżnych trzcini, dziobem wyrzucając jak z katarpuły, przebiegał od czasu do czasu tafle wody, chwytając niczym ościeniem, małe, przepływające nieopodal niego rybki. Na wyspie jest plaża nudystów, dalej zrekonstruowany statek korsarski, w nim i obok, luksusowe restauracje, błękitna plaża śródziemnomorska ze sztucznymi falami i palmami oraz latarnia morska. Obok stawu usytuowana jest grupa kamiennych siedzisk, na których można ćwiczyć prawidłowe ustawienie i prostowanie kręgosłupa w pozycji siedzącej. Ich kamienny chłód przyjemnie kontrastuje z upałem. Jest tu też kilka basenów i ogrodów zabaw dla dzieci. Wczesnym popołudniem odbywa się masowy, kilkunastominutowy seans gimnastyki wodnej, przy akompaniamencie do-

bywających się z głośników komend. Kto chce, naśladuje, stojąc w wodzie, ruchy instruktora górującego na pomoście nad basenami.

Na basenach spotykają się co roku, niczym dobrzy znajomi, rodacy z całego kraju. Oczywiście, podczas rozmów daje się słyszeć uwagi na temat naszej polityki gospodarczej i społecznej. Podobno takie same, a może nawet bogatsze ciepłe źródła mamy w kraju, zwłaszcza w okolicach Zakopanego. Nie stać nas tylko na zorganizowanie takiego obiektu, jaki mają Węgrzy, gdyż u nas, jak wynika z zasłyszanych tu opinii, pieniądze rozchodzą się wśród rządzących elit – na eksperymenty, reorganizację, projekty, konferencje, wydawnictwa i promocje i nie zostaje już nic na konkretną realizację jakiegokolwiek programu czy zgoła czegokolwiek, co służyłoby szarym obywatelom...

Chwilami zdaje się, jakby nad tą niemal zatopioną w dostojnej ciszy, chociaż żyjącą skromniej od nas, ale w poczuciu harmonii i godności, krainą, czuwał święty Stefan – patron Węgier, ukoronowany na króla w, ważnym również dla Polaków, 1000 roku.

O osiemnastej melodyjny hejnał oznajmia moment zamykania basenów. Bywa, że wychodzimy wcześniej do miasta, nie czekając na hejnał zamknięcia. Miasto dopiero teraz roztacza uroki innego raju; liczne miejsca dobrego jadła, napojów, muzyki i tańca. Niektóre lokale przypominają skanseny dawnych węgierskich zajazdów, zwanych *csarda*. To w nich powstał słynny do dziś ognisty *czardasz*. Wszędzie słychać muzykę. Wieczorami wielojęzyczne tłumy ludzi bawią się tańcząc przy winie, śpiewie i muzyce. W niektórych miejscach można posłuchać i zobaczyć dawne ludowe obrzędy, zwłaszcza weselne. We wrześniu, miesiącu, w którym najchętniej przyjeżdżamy, w wąskich uliczkach osiedli dojrzejają dziesiątki rosnących tu orzechów włoskich i spadają czasami niespodziewanie tuż pod nogi przechodniów spacerujących alejkami.

Człowiek tak wrzęga się w rytm codziennych zajęć dla zdrowotności, że trudno znaleźć czas na wycieczki po okolicy. A można, wybierając się stosunkowo niedaleko, zwiedzić park krajobrazowy Hortobágy z dziką przyrodą i resztkami dawnej *Pusztę*, rezerwat ptactwa nad jeziorem Halasto, jezioro Cisa (stanowiące zbiornik wód rzeki o tej samej nazwie), pojechać do Hajdubozsremeny, gdzie widać typową dawną obronną osadę, czy do Debreczyna, gdzie jest muzeum regionalne. Można zwiedzić zabytkowe kościoły i starówkę, siedzibę uniwersytetu i dawnego, bardzo słynnego kolegium kalwińskiego, które ongiś wykształciło wiele sław.

Miłym akcentem, który stał się już obowiązującym rytuałem, jest pożegnalna kolacja przy ognisku, w przeddzień naszego odjazdu. Magdarena i Karol żegnają gości *bograczem*, uwarzonym w kociołku. Jest to rodzaj gęstej zupy czy gulaszu z szybek i skrzydełek kurczaka, przyprawiony na ostro, z warzywami – papryką, marchewką i pomidorami. *Bogracz* podawany jest zazwyczaj z makaronem.

Na ogół kolacja kończy się polsko-węgierskimi śpiewami, których intensywność i czas trwania stymulowane są z jednej strony ilościami piwa i pańki, z drugiej – świadomością konieczności wczesnego wstawania. Rano, skoro świt, odjeżdżamy z obietnicą powrotu do Hajduszoboszló za rok. Po dwóch godzinach drogi oglądamy z okien samochodu migawki z życia naszych sąsiadów, Słowaków.

Długo jeszcze po powrocie do domu mamy co wspominać. Czujemy się zregenerowani, zdrowsi i na nowo naładowani dobrymi, łagodnymi i przyjaznymi siłami witalnymi, których obstarczyło na najbliższy rok...

Lechosław Trubicki

Czym dzisiaj jest sztuka?

Spróbujmy dać skondensowaną odpowiedź na tytułowe pytanie, z pozoru banalne, jednak ważne z uwagi na niebywałe tempo zmian we współczesnym świecie, w którym dokonuje się przewartościowania wielu – zdawałoby się – oczywistych prawideł. Już w starożytności Arystoteles, autor „Poetyki”, sformułował podstawowe tezy na ten temat, przyjmując zasadę, że aby zdefiniować pojęcie, należy podać jego charakterystyczne cechy. Głoszą one: sztuka może ukazywać w formie artystycznej świat taki, jaki on jest lub piękniejszy, albo brzydszy; sztuka nie przedstawia, nie odwzorowuje tego co rzeczywiste, ale ukazuje to, co konieczne i możliwe; jest uogólnieniem – obowiązuje w niej zasada kompozycji.

Przyjrzyjmy się, czy te tezy są do dziś aktualne, i w jakim stopniu aktualne. Weźmy pod lupę malarstwo i piśmiennictwo, powtarzając trochę przewrotnie za Horacym, że „poetom i malarzom wszystko wolno”.*

W stosunku do pierwszej zasady Arystotelesa szczególnie dzisiaj daje znać o sobie swoboda twórcza artysty, możliwość indywidualnego widzenia świata. Jest to powszechnie głoszone od lat, a ograniczenia w tej kwestii są doprawdy niewielkie. Jeżeli chodzi o zasadę drugą, odchylenia od tej tezy są większe (martwe natury, pejzaże, czy portrety ukazane w sposób realistyczny, hiperrealizm – w malarstwie; strumień podświadomych skojarzeń, dzienniki, liryka osobista w piśmiennictwie) ale ona również się sprawdza. Teza uogólnienia, nakazująca głosić prawdy podstawowe czy psychologiczne; prawa niepisane, też jest aktualna. Jeżeli chodzi o tezę zachowania świadomej kompozycji, sprawdza się jak najbardziej np. poza eksperymentami typu dadaizm. Sztuka współczesna dąży do świadomego przeżycia nastroju twórcy, dialogu artysty z odbiorcą.

Snując rozważania na temat sztuki, zadajmy sobie pytanie: co można określić jako istotę sztuki szczególnie wartościowej? Jest to paradoks! Można by bardzo długo, podając przeróżne przy-

kłady, rozwodzić się na ten temat. Nie ma to jednak większego sensu, gdyż każdy wrażliwy człowiek, który zetknął się z różnorodną działalnością artystyczną, może mnożyć je sam. A jest to przecież pojęcie relatywne, tak jak relatywna jest sama ocena dzieła sztuki, jego arcyzmu. Zacytujmy tu słownikową definicję – ocena dzieła sztuki jest „kategorią relatywną historycznie i społecznie”, a rozumienie arcyzmu właściwe czasom dzisiejszym jest związane z „oryginalnością dokonania, którego autor potrafił krytycznie rozprawić się z wzorami tradycji, wynajdując rozwiązania odchylające się wyraźnie od tego, co znane i uznane”. Tak, jak myśl zawarta w fraszce „Na zdrowie”:

„Napisane jak trzeba! / Kto mi teraz powie? / Co dziś się nie udało / jutro wyjść może na zdrowie!”

Pomimo tak współczesnej, zgodnej z wielością kultur i różnorodnością świata definicji, często gustujemy jednak w klasycznych, modnych i uznanych dziełach. Przykładem może tu być ekspresja estetyczna ludzi cierpiących na rozmaite nieakceptowane ogólnie choroby. Nie chodzi tu bynajmniej o przysłowiowy syfilis, lecz o inne choroby, poważnie utrudniające ludziom nimi dotkniętym funkcjonowanie w społeczeństwie, których już samo fachowe nazewnictwo budzi powszechną dezaprobatę, np. choroby psychiczne czy choroba Downa.

W społeczeństwach szczególnie słabo kulturowo rozwiniętych istnieje schizofreniczna sprzeczność pomiędzy pojmowaniem uznanych twórców (jak chyba wiadomo, artysta dużej klasy odróżnia się zdecydowanie psychicznie od tak zwanego zdrowego mieszczańskiego społeczeństwa) a autorów nieznanymi. Takich, którzy pomimo niewątpliwiej odrębności, oryginalności i zupełnie specyficznej estetyki, w której nie sposób wyrazić się innym artystom, bywają uznawani przez różnych fachowców – psychopatologów ekspresji.

Odrębność i oryginalność estetyczna uchodzi jedynie ludziom o mniejszych trudnościach psychicznych, którzy zrobili karierę. Chyba, że uznanie przyszło dopiero po ich śmierci, czego klasycznym przykładem jest Vincent van Gogh. A estetyczne figurki chorych na zespół Downa, pokazywane w telewizji, nieśmiało chwalone przez którąś z zachwycających się ich dziełem plastycznym opiekunek, są tak wyraziste, subtelne i delikatne, że nie mają sobie równych.

Oceniając zatem naszą współczesną cywilizację pod względem gustów estetycznych spuścimy więc może niekiedy kurtynę milczenia.

* przysłowie oparte na zdaniu *Ars poetica* – „Malarzom i poetom zawsze przysługuje to prawo, że mogą ważyć się na wszystko”, *lac. pictoribus atque poetis quodlibet audendi semper fuit aequa potestas.*

Nowość!

Krzysztof Hilkamp „Arkadia 1701”

Jest to powieść współczesna. Łączy gatunek powieści sensacyjnej z nurtem egzystencjalnym oraz realizmem magicznym. Jest powieścią z treścią. Bohaterami powieści są Europejczycy, którzy przeżywają swój własny czas burzy i naporu, zdają egzamin z życia oraz poszukują własnego miejsca w nowej Europie. Powieść wprowadza czytelnika w skomplikowany świat zależności pomiędzy autonomicznymi jednostkami, pokazuje drugie dno ich wzajemnych relacji oraz wydobywa nieuświadomiony, głębszy sens ich działania. Autor pisze rzeczami, unika pustego wielosłownia. Powieść cechuje prosta, czytelna forma literacka, bez fajerwerków językowych oraz technicznych. Dlatego nadaje się na lekturę na dwa wieczory. Zapada w pamięć jak nieoczekiwany widok, który przypominamy sobie potem przez wiele lat.

Do nabycia w hurtowniach i księgarniach sieci „Matras” oraz ważniejszych księgarniach literackich w kraju.

Instytut Wydawniczy „Świadectwo”

Nowość!

Nadbałtyckie Centrum Kultury w Gdańsku zaprasza na dwie prestiżowe imprezy: 9 kwietnia spotkanie z Dubrawką Ugrešić i w dniach 25-26 konferencja literacka „Bestsellery Północy” z udziałem m.in. Antoniego Libery i Ryszarda Kapuścińskiego.



J. M. Lipka

NOWY SALON OPTYCZNY

Bydgoszcz
ul. Grunwaldzka 44
tel. 321-40-98

Pn.-Pt. 10.00-18.00
Soboty 10.00-14.00

GABINET OKULISTYCZNY

Eugeniusz Kupper

VI Festiwal Szekspirowski i Peter Brook



Omawianie sezonu szekspirowskiego w Gdańsku, którego organizatorem jest *Fundacja Theatrum Gedanense*, można byłoby rozpocząć od obchodów 438. urodzin Williama Szekspira, jakie miały miejsce 23 kwietnia 2002 r. Tego oto dnia zjechał do Gdańska Teatr im. Heleny Modrzejewskiej w Legnicy, ze sztuką Williama Szekspira „*Hamlet, Księżę Danii*”.

Co do daty urodzin wielkiego dramaturga istnieją różne sugestie, ale prezes Fundacji, prof. Jerzy Limon, rozstrzyga to dość autorytatywnie. Zacytuje jego wypowiedź – „*W każdym razie autorytet w dziedzinie biografii Szekspira, niedawno zmarły Samuel Schoenbaum, uważa, że Szekspir mógł przyjść na świat między 21 a 23 kwietnia, a więc w tych dniach można obchodzić jego urodziny*”.

Najlepszym miejscem do takiej prezentacji dla teatru, jak i dla widzów, był kościół św. Jana, dlatego też tam, zgodnie z tradycją, odbyły się obchody urodzin wielkiego Williama.

Na czele tej, jedynej w swoim rodzaju, tropy teatralnej, która już zdołała zgnać całą paletę nagrań teatralnych, stał jak zawsze jej dyrektor, a tym razem także inscenizator, Jacek Głomb, stroną reżyserską oraz adaptacją tekstu zajął się Krzysztof Kopka, scenografię przygotowała Małgorzata Bulanda, a muzykę niezastąpiona Orkiestra „*Kormorany*”. Zespół aktorski stanowią nie warszawsko-krakowskie gwiazdy i gwiazdeczki, tylko prawdziwi z krwi i kości, ludzie dzisiejszego teatru jak: Przemysław Bluszcz w roli Klaudiusza, króla Danii, Tomasz Kot w roli Hamleta, czy śliczna Alina Czyżewska grająca Ofelię.

Już po wejściu do św. Jana czułem, że dzieje się coś niesamowitego, że może uda mi się nawet spotkać samego Szekspira, bo stworzono jakby naturalne okoliczności, które mogły być adekwatne do czasu Hamleta. Pewnie też w tym, że udało się skopiować tamte czasy, jest duża za-

śluga Leszka Bzdyla, który był odpowiedzialny za ruch sceniczny.

Znakomicie rozegrano akcję dziejącą się na planie architektury tego wyjątkowego kościoła. Co prawda, zostaliśmy zbyt agresywnie włączeni do akcji, otrzępując się z piasku, który przelatywał nad naszymi głowami, ale nie przesadzajmy, taki teatr kochamy najbardziej. Powiedziałbym nawet więcej, ten Hamlet, jakby niechący, wtopił się w naszą rzeczywistość i poruszył jej najczulsze strony. Osiągnięcie tego było możliwe także dzięki poczynionym skrótom tekstu.

Uważam, że przestrzeń duchowa tego spektaklu w dużym stopniu oddaje realia życia, z którymi się w owym czasie poprzez doświadczenia historii zetknął Szekspir.

Jeśli ktoś nie czuł dreszczyku lęku, uczucia niepokoju, a czasami i zastanowienia po tym „*Hamlecie*”, to może powinien dalej zatopić się w „*operze czar*”, bo tam też przecież straszy. Oto otworzyła się droga do sierpniowego VI Festiwalu Szekspirowskiego, odbywającego się pod patronatem marszałka województwa pomorskiego – Jana Zarębskiego. Głównym organizatorem, jak co roku, była Fundacja Theatrum Gedanense. W jej imieniu występowali: doradca artystyczny – Andrzej Żurowski, selekcjoner spektakli polskich – Tomasz Kubikowski, koordynator Festiwalu – Joanna Śnieżko-Misterek. Spektakle VI Festiwalu Szekspirowskiego były rekomendowane przez Międzynarodowe Stowarzyszenie Krytyków Teatralnych (IATC).

W słowie wstępnym do ubiegłorocznego programu (3–10 sierpnia 2002) prezes Fundacji, prof. Jerzy Limon, nawiązał do faktu, „*że właściwie to już po raz dziesiąty Fundacja Theatrum Gedanense organizuje ważne wydarzenie teatralne, związane z Mistrzem znad Avonu. Po 340 latach wskrzesiliśmy tradycję występów <angielskich komediantów> w Gdańsku, którzy przybywali do naszego miasta już od początku XVII wieku. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by tę tradycję kontynuować...*”

Na inaugurację Festiwalu wybrano słynną już w całej Polsce trans-operę „*Sen nocy letniej*” w wykonaniu zespołu Teatru Muzycznego w Gdyni. O tym spektaklu było już głośno w trakcie projektu, gdyż muzykę miał pisać znany pianista i kompozytor Leszek Możdżer. Muzyka łączy wątki jazzu i rocka, elementy etno i muzyki klubowej. Spektakl wyreżyserował Wojciech Kościelniak. Twórcy, używając tego, dość bezsłownego określenia „*trans-opera*”, stawiali sobie przesłanie takie oto: „*Odżegnujemy się od musicalu, bo chcemy coś ważnego powiedzieć, a musical kojarzony jest z błahą fabułą*” (reżyser, Wojciech Kościelniak).

To przede wszystkim Szekspir chciał coś ważnego powiedzieć, niezależnie od tego, czy to będzie trans, czy glans, czy wreszcie musical. Niestety, zagubiło się wszystko, łącznie ze znakomitą muzyką, w tej – jakże na siłę „*upychanej*” – ultranowoczesnej formie scenicznej. W ten oto sposób lekka szekspirowska komedia stała się wręcz ciężkim kalibrem, który strzela dość przypadkowo, podobno dzięki posługiwaniu się nowatorskim językiem teatralnym i, jak piszą organizatorzy, „*widowisko to doskonale trafia w oczekiwania młodszej części publiczności*”.

Miałem nieodparte wrażenie, że realizatorem nie wystarczył sam Szekspir, ujawniający w tej sztuce swoje znakomite możliwości twórcze. Gdy obejrzałem spektakl „*Sen nocy letniej*” w wykonaniu Obwodowego Teatru Lalek z Grodna, znalazłem się w zupełnie innym świecie. Sam reżyser – Oleg Żiugzda mówi: „*Najważniejszy dla mnie w tej najbliższej sztuce Szekspira jest powiew młodości – te otumaniające opary miłości zdolne odmienić życie każdego, niezależnie od wieku. Szaleństwo, rozpacz, nadzieja, zazdrość – co jeszcze może uczynić nasze życie tak burzliwym i niepowtarzalnym jak te choroby miłości?...*”

Trzeba tylko umiejętnie wyważyć drogę do tej choroby, wówczas zarówno widz, jak i aktor mają zagwarantowaną prawdziwą zabawę. Tutaj lalki nie tylko wzruszają, one stają się nami, są naszą zabawą. Ubrane w kostiumy z epoki elżbietańskiej, subtelne – są wzruszające; można powiedzieć, że tworząc własny świat, pokazują ludzkie namiętności.

Oprócz wspomnianego powyżej Olega Żiugzda do powstania spektaklu przyczynili się także Łarysa Mikina – scenografia, Paweł Kondrusiewicz – muzyka, zaś w postaci sceniczne lalek wcielił się m.in. Tezeusz – A. Bobrowski, W. Korniew, Egeusz – J. Burakow.

Do największych przeżyć Festiwalu Szekspirowskiego należało spotkanie z wielkim reżyserem Eimuntasem Nekrošiusem. Jego Teatr Meno Fortas z Wilna przyjechał do „*Makbetem*”.

W tym przedstawieniu czuło się mistrzostwo wyobraźni, prawie programowy subiektywizm, który nie poddaje się żadnym schematom. Zgodnie ze swoim stylem, reżyser dokonał radykalnych zmian w strukturze dramatu i jego linii fabularnej: rezygnując z wielu postaci, mocno przewartościował hierarchię pozostawionych bohaterów, często przydzielił im nowe role. Pierwsze skrzypce w spektaklu Nekrošius powierzył wiedzdom. Są to atrakcyjne kobiety, prawdziwe kusicielki. Stanowią one siłę napędową akcji, kierując losem pozostałych postaci, szczególnie Makbeta i Lady Makbet. Małżonkowie w tym spektaklu są ucieleśnieniem zła. Szukając ucieczki przed samotnością, w dziwnej desperacji popełniają, jakby z konieczności, nowe zbrodnie.

Reżyser nie chce wstąpić do bohatera jednoznacznych ocen – ani etycznych, ani moralnych. Tutaj szuka się przede wszystkim tego, co nazywamy usprawiedliwieniem dla zbrodni, pytając jednocześnie o przyczyny i szukając rozwiązania w ludzkiej nadziei.

Całość utrzymana jest w bardzo ciemnej tonacji. Wszystko, co jest obecne na scenie, stwarza specyficzną aurę pograżenia, ale także tkwiącego gdzieś optymizmu. Przyczynia się do tego nie tylko gra aktorów, ale także oszczędna scenografia i bardzo głęboka emocjonalna muzyka.

Obok reżysera należy wymienić współautorów tej wybitnej inscenizacji: scenografia – Marius Nekrošius, muzyka – Faustas Latenas oraz wyznacznik tego spektaklu – Makbet – Kostas Smoriginas i Lady Makbet – Dalia Storkytė.

I oto znowu, na zasadzie emocjonalnego podobieństwa, ale jakże odmiennymi środkami uzyskanego, mamy przed sobą Obwodowy Teatr Lalek z Grodna i jego „*Tragedię Makbeta, czyli piekielne echa pewnego panowania*”, spektakl prawdziwie autorski, w realizacji Olega Żiugzda.

Ten „*Makbet*”, pogrążony w tajemnicy istnienia, zmienia się w coś, co można nazwać niewyjaśnioną, niewiadomą siłą. On jest usytuowany w każdym z nas, każdego dotyczy zło w nim tkwiące. Autor i tajemne kukły uzyskują to poprzez stwarzanie aury magii, czarów, a sam Makbet staje się niemym świadkiem, ślepym narzędziem w rękach losu. Jesteśmy trochę w magicznym lesie, gdzie nasz los zależy od przypadku.

Oczywiście nie da się porównać tych dwóch spektakli, ale ich materia, ich twórczy geniusz mają w sobie coś wspólnego, może równie wielkiego.

Kolejny spektakl „*Romeo i Julia, historia kilku dni*” przedstawił Państwowy Teatr Młodego Widza z Sankt Petersburga (Rosja) pod kierunkiem Grigorija Kozłowa.

Reżyser tego spektaklu – Natalia Łapina i aktorzy postanowili na tyle uwspółcześić Szekspira, że nieomal nie zagrali go we frakach. Nie ma tutaj typowych rekwizytów, aktorzy pozbawieni są też kostiumów historycznych, została im tylko przestrzeń i własny temperament. Właśnie ten temperament gubi czasami sens spektaklu i gdzieś glinie zasadniczy wątek. Trzeba nieraz sporego wysiłku, żeby zdążyć za potokiem zdarzeń, chociaż te przełomowe są bardzo widoczne, gdyż tutaj teatru nie da się obejść. Spektakl powstał w oparciu o najlepsze tradycje rodem z teatru szekspirowskiego, ale ja się na tym spektaklu nudziłem

HOTEL DLA LITERATÓW!

Hotel „Centralny” w Bydgoszczy posiada ciepły klimat pensjonatu. Opiekuje się swoimi gośćmi, urządza dla nich wyjazdy w atrakcyjne miejsca, jest w stanie zorganizować różne imprezy, w tym sympozja i spotkania autorskie.

Nocowali u nas:

Zofia Nałkowska, Ernest Bryll,
Adriana Szymańska, Jolanta Baziak,
Teresa Kowalska, Kazimierz Braun,
Tadeusz Lira-Słiwa, Krzysztof Bilica,
Janusz Mrzygód

Ceny od 108 zł (pokój jednoosobowy),
od 165 zł (pokój dwuosobowy),
od 260 zł (apartament) za osobę.

Przedsiębiorstwo Hotel „Centralny”
ul. Dworcowa 85, 85-010 Bydgoszcz
tel. (052) 322 88 77, 322 88 76,
fax 322 88 70



Przy hotelu kawiarnia dla niepalących z najlepszymi ciastkami w grodzie nad Brdą!

Raz na miesiąc, w trzeci wtorek,
w godz. 18.00-20.00 spotkanie
Klubu Polskiej Książki.

Organizator: Michał Krzemkowski
tel. 052/363 07 76

i chwilami mnie drażnił. Podobne przeżycie miałem podczas trans-opery „Sen nocy letniej”.

Warto przy okazji porównać dwie inscenizacje, które bardzo chciały uwspółcześić „*Romea i Julię*” i, moim zdaniem, Julia Wernio z zespołem Teatru Miejskiego w Gdyni wyszła z nich obronną ręką. Szkoda, że nie pokazano nam tego widowiska, choćby dla wyrobienia sobie opinii – myślę, że wzbogaciłoby to Festiwal Szekspirowski, a tak, zdani jesteśmy na domyśle.

Nie zabrakło również „*Hamleta*” w wykonaniu Teatru im. Eugène’a Ionesco z Kiszyniowa w Mołdawii. Byłem i poruszony, i zbudowany, w Molodoczu tego spektaklu, który inscenizacyjnie i reżysersko został przygotowany przez Iona Spadaru.

Hamlet idzie w ślad ludzkich prawideł, bo sędzi według znaków czasu i epoki. Chcąc zadać śmierć, gardzi jednocześnie tą metodą rozliczania człowieka z win. Nie znajduje żadnego usprawiedliwienia na ludzką podłość. Chcąc pomścić ojca, zmuszony jest odnieść się do prawideł świata i sędzić tylko według nich. Nie zemsta staje się jedynym dążeniem, ale dosiężenie sprawiedliwości. Reżyser umiejętnie wykorzystał tekst w tym, jakże czytelnym, przedstawieniu człowieka zagubienia. Tutaj Hamlet nie jest ponad człowieka, on jest raczej „*bardziej*” niż człowiekiem, bo wie, że człowiek nie tyle tkwi w swoim upokorzeniu, ile nic się nie zmienia od czasu Adama i Ewy.

To prawie akademicki spektakl, ale z dużą dawką liryzmu i ludzkiej rozpacz, człowiek tutaj staje obok człowieka i daje znaki, że nie wie dokąd naprawę ma iść, co czyni go najbardziej ludzkim z ludzi.

Warto wspomnieć, że scenografię i kostiumy przygotowała Tatiana Popescu, muzykę – Marian Starcea, natomiast w rolę Hamleta wcielił się Vitalie Druce.

„*Tragedia Hamleta*” w wykonaniu zespołu Theatre des Bouffes do Nord z Paryża w reżyserii Petera Brooka, była jakby drugą odsłoną VI Festiwalu, bo odbyła się 15 września 2002 roku w Teatrze Wybrzeże w Gdańsku.

Nieodłącznym elementem spektaklu Petera Brooka było motto jego autorstwa: „*Każdy wers u Szekspira jest atomem. Jeśli potrafimy go rozszczepić, energia, jaką można wyzwolić, jest nieskończona*”.

Prezentowana aktualnie w Polsce „*Tragedia Hamleta*” jest trzecią realizacją tego dramatu, przygotowaną przez słynnego Brooka. Już jako siedmioletnie dziecko zmagaliśmy się z tym dramatem, który trwał cztery godziny. Widownię stanowili wówczas rodzice. Tytuł przedstawienia brzmiał dość rezolutnie: „*Hamlet P. Brooka i W. Szekspira*”.

Potem, w 1955 roku, przygotował na scenie Phoenix Theatre na West Endzie, „*eksportową*” wersję „*Hamleta*”, z Paulem Scofieldem w roli głównej, która podbiła publiczność Moskiewskiego Teatru Artystycznego i, mimo mniej przychylnych opinii krytyki, była grana ponad sto dwadzieścia razy. Wreszcie, po eksperymentalnej próbie z Charlesem Marowitzem, którą zrealizowano na przełomie lat 1963/1964, jak i eksperymentem z roku 1955, oszczędnym, skupionym, który zyskał sobie miejsce w XXI wieku, znów po pięciu latach, 12 listopada 2000, rozległy się słynne kwestie z „*Tragedii Hamleta*” Szekspira w teatrze Bouffes du Nord, który to, z Williamem Nadyłam w roli tytułowej, przywiózł Brook w 2001 roku do Polski.

Ten czysty i prosty, w swojej wymowie formalnej, spektakl był jak źródło ożywczej wody. Także jego klarowność i prawda teatralna, uzyskana bardzo prostymi środkami, dowodził ręki mistrza. Tutaj Szekspir jest bardziej obecny na scenie, niż w innych, nawet wielkich, realizacjach. Znacząca jest kreacja Williama Nadyłama w roli Hamleta. W tym spektaklu reżyser i aktorzy grali Szekspira i myślą jego wersem. To, co zobaczyliśmy w Gdańsku, to jedno z ważniejszych wydarzeń teatralnych XXI wieku, który jeszcze się nie skończył, ale zaryzykujemy...

Sponsorami VI Festiwalu Szekspirowskiego byli: Urząd Marszałkowski Województwa Pomorskiego, The British Council, Mecenat Miasta Gdańska oraz Bank PKO SA.♦

Wiesław Kowalski

Od Belliniego do Flamenco

z Maciejem Figasem, dyrektorem Opery Nova w Bydgoszczy, rozmawia Wiesław Kowalski

– 26 kwietnia rozpocznie się kolejny Bydgoski Festiwal Operowy. Czy, powołując do życia dziesięć lat temu jego pierwszą edycję, podejrzewał pan, że doczeka jubileuszu? Biorąc pod uwagę rangę i zasięg tego przedsięwzięcia, dziesięć lat to szmat czasu?

– Bez cienia kokieterii mogę powiedzieć, że chyba nikt z organizatorów nie podejrzewał, że uda nam się ten festiwal przeprowadzić przez kolejne 10 lat. W 1994 roku zastanawialiśmy się nawet, czy nazwać go pierwszym. Potem pojawiały się głosy, by odbywał się co dwa lub nawet co trzy lata. Dlatego jestem dumny z tego, że festiwal obok funkcji promującej budowę bydgoskiej opery – a taka była geneza tego przedsięwzięcia – stał się imprezą artystyczną z prawdziwego zdarzenia. Jego kolejne edycje spełniają nie tylko nasze ambicje jako organizatorów, ale potwierdzają olbrzymie zainteresowanie publiczności, która co roku oczekuje na propozycje festiwalowe – operowe, baletowe i muzyczno-wokalne.

– Nie ukrywał pan, że zależało mu na tym, by X Bydgoski Festiwal Operowy miał charakter szczególny. Czy w obecnej sytuacji finansowej polskiej kultury było możliwe zaproszenie – tak jak pan zamierzał – tylko spektakli zagranicznych? I na ile udało się to zrealizować?

– Możliwości takie istniały, ale niestety, dzisiaj wszystko sprowadza się do sfery ekonomicznej. I nie chodzi tu wcale o brak pieniędzy, ale o to, że deklaracje i gwarancje finansowe spływają niekiedy zbyt późno. Trudno jest w takiej sytuacji, przy zaostrzonej dyscyplinie budżetowej, przyjąć na siebie tak olbrzymie ryzyko i grać wabank. Dlatego musiałem jednak spuścić z tonu w kwestii zaproszenia wyłącznie teatrów zagranicznych. Ale i tak uważam, że tegoroczny program festiwalowy można uznać za szczególny. Udało się nam zaprosić teatr z Ostrawy z „*Joanną d'Arc*” Verdiego, przyjedzie hiszpański balet flamenco z pierwszej ligi światowej – hiszpański tenor Ignacio Encinas i koreański baryton Ko Seng Hyoun. Poza tym przyjeżdża Teatr Wielki z Warszawy, który zawsze dla organizatorów jest dużym wyzwaniem, często większym, niż udział zespołu zagranicznego. Zobaczymy również spektakle Teatru Wielkiego w Łodzi i w Poznaniu. W ten sposób nawiązujemy do tradycji pierwszego festiwalu, kiedy to właśnie te trzy sceny odpowiedziały na mój apel, nawołujący do pomocy w promocji budowy bydgoskiego gmachu operowego.

– Jakie to będą przedstawienia?

– Łódź zaprezentuje „*Dialogi karmelitanek*” Poulenca, Poznań „*Normę*” Belliniego, a Opera Narodowa „*Króla Rogera*” Szymanowskiego.

– No, to wreszcie będą usatysfakcjonowani ci, którym brakowało dotychczas w repertuarowym programie przedstawień Mariusza Trelińskiego?

– „*Król Roger*” to niezwykle piękna inscenizacja i bardzo mi zależało na tym, by pojawiła się w Bydgoszczy. To, że wcześniej nie mogliśmy zaprezentować spektakli w reżyserii Mariusza Trelińskiego, nie wynikało absolutnie z mojej niechęci. Z twórcą „*Madame Butterfly*” i „*Eugeniusza Oniegina*” rozmawialiśmy wielokrotnie. Niestety, względy techniczne – obfitość przestrzennych rozwiązań, wykorzystujących ogrom sceny warszawskiego Teatru Wielkiego – uniemożliwiły przeniesienie tych inscenizacji w warunki bydgoskiej sceny.

– Festiwal operowy otworzy w tym roku operetka „*Hrabinę Maricę*” Kalmana przygotowana przez znakomity zestaw realizatorów – Laco Adamik /reżyseria/, Lucja Kossakowska /scenografia/ i Janina Nieśiowska /choreografia/.

– Rzeczywiście, trochę z przekory postanowiliśmy tegoroczny festiwal zainaugurować operetką Kalmana. Mam olbrzymie zaufanie i szacunek dla wiedzy reżysera, który dobiera sobie wszystkich solistów pod kątem swojej wizji artystycznej spektaklu. Może nie zobaczymy w nim jakichś szczególnie znanych nazwisk, ale za to na pewno – umiejętnie wykreowane wiarygodne postaci.

– Czy nie myślał pan o tym, by nadać temu festiwalowi charakter konkursu? Wszak nie ma takowego w Polsce. Czy nie sądzi pan, że wprowadziłaby taka formuła odżywczy ferment, a poprzeczkę festiwalu postawiła jeszcze wyżej?

– Skłamałbym, gdybym powiedział, że o tym nie myślałem. Ale jest to decyzja trochę niebezpieczna. Magłaby być jak kij włożony w mrowisko i spowodować narastanie antagonizmów w środowisku operowym. Bo warunki, w jakich pracują teatry muzyczne w Polsce, nie są sprawiedliwe. Istnieją instytucje, które mają dotacje bardzo duże i mogą w związku z tym „*spać*” spokojnie, ale są i takie, które z trudem wiążą koniec z końcem. Dlatego stawianie ich obok siebie i mierzenie wspólną miarą ich efektów artystycznych uważam za nieuzasadnione. Formuła konkursu może pojawić się tylko wtedy, kiedy kultura – zgodnie zresztą z deklaracjami kolejnych ministrów – stanie na solidnych fundamentach jej finansowania.♦



Fot. Juliusz Multarzyński

Tadeusz Chróścielewski

O zjazdach poetyckich w Poznaniu i w Łodzi

Jeszcze w okresie późnego Bieruta pojawił się, i zdobył wysoką rangę, Poznański Listopad, czyli Festiwal Młodej Poezji. Z czasem przestał być tylko prestiżową młodzieżówką. W tym pierwszym okresie, na jednym z najwcześniejszych festiwali, zdobył prestiżową nagrodę „średniolody” wówczas poeta łódzki, nazwijmy go – autor „Wina półsłodkiego”. Poeta był posiadaczem skarbu – niezwykle ciekawej, bliskiej – zakazanemu do niedawna – nadrealizmowi wyobraźni, co sprawiło, że był poetą niezmiernie interesującym, poza tym uprawiał tematykę – również w krótkiej prozie – w sposób odkrywczy i budzący fascynację. Niestety, skarbowi wyobraźni towarzyszyła również pewna, daleko posunięta nietypowość usposobienia. I tak, poeta, po otrzymaniu wspomnianej nagrody, doszedł do przekonania, że obowiązkiem wyposażonego w bardzo wielkie nazwiska jury poznańskiego jest przyznawanie mu nagrody co roku. Gdy na następnym festiwalu fakt ten nie nastąpił, urażony poeta rzucił się podobno z nożem na przewodniczącego jury – Jastruna.

Urządzanie w określone dni spotkań literackich ze sobą i z mieszkańcami poszczególnych regionów było, przynajmniej do wydarzeń gdańskich, tak powszechne, jak Polska długa i szeroka. Organizowały je Kielce, co dopomogło walnie do założenia w tym mieście z wielkimi tradycjami najpierw utalentowanej grupy poetyckiej „Ponidzie”, a z czasem przyspieszyło powstanie silnego i pełnego inicjatywy świętokrzyskiego oddziału ZLP. Nieduże, ale ambitne i nie mniej utalentowane, środowisko Piotrkowa Trybunalskiego, co roku urządało zjazdy młodych poetów, poprzedzane konkursami, pod nazwą „Rubinowa Hortensja” (znajdowały one we mnie czynnego entuzjastę). W Łasku powstała grupa poetycka „Grabia”. Życie literackie na Sieradczyźnie rozwijał i od tej strony przybliżał region jego mieszkańcom, genialny i ofiarny organizator, człowiek absolutnej bezinteresowności – poeta Feliks Rajczak ze Zduńskiej Woli. Jego nagła śmierć stanowi niezwykłą, bolesną i niezastąpioną nie tylko dla literatury tego regionu. Rozległy kościół w Zduńskiej Woli ledwie pomieścił żegnających poetę, składających jednocześnie hołd jego poezji i pracy społecznej.

Zbliżam się wyraźnie do Łodzi. Ale jeszcze przedtem wyruszamy na chwilę na Rzeszowszczyznę. Zjazd duży, ciekawy, przy tym kontrolerski zagajający wykład Berez. Swój kult literatury plebejskiej, jako jedynie prawdziwej w odróżnieniu od inteligentkich przygód intelektualnych, podkreślił niebawem na obiedzie w sali jadalnej pałacu w Łańcucie pocałowaniem chłopco-robotniko-pisarza Worcella. Wieczysty członek prezydium Zarządu Głównego (ten od roboty), Jan Maria Gisges, poeta – zaprzysiężony regionalista, a mój najserdeczniejszy przyjaciel, przeniósł następnie obrady do drewnianego myśliwskiego pałacyku w Julinie. Posłużyło mu to do stworzenia zakonu pisarsko-rycerskiego, poświęconego kultywowaniu tematyki regionalnej, zwłaszcza regionów zapomnianych przez Boga i ludzi. Urzą-

dził tę inaugurację nader widowiskowo. Klękaliśmy kolejno (w tym, o dziwo, moja żona, autorka „Córki tego co tramwaje jego”, którą jeden, jedyny raz w życiu, przed ołtarzem, skłoniłem jakoś do zgięcia kolan) i składaliśmy na ręce „mięstrza” przysięgę na wierność sprawie. Otrzymaliśmy wysoki tytuł „brata”, w kilku wypadkach „siostry” za pomocą ni to uderzenia, ni dotknięcia w okolicę serca dzbanuszkim wiejskim, właściwym dla rzeszowskiej kultury ludowej, który następnie otrzymywaliśmy ku pamięci i przestrodze.

Teraz już Łódź. Najpierw (1959 r.) Józef Maciej Kononowicz zorganizował coroczną PAX-owską Wiosnę Poezji. Jej adresata stanowiła młodzież poetycka, w znacznej mierze spoza Łodzi i województwa, gdyż uczestniczyli w niej laureaci konkursu poetyckiego. Była to, wraz ze wspólnym obiadem, rozmowa społeczno-warsztatowa znanych krytyków, naukowców i poetów o odpowiedniej randze i darze słowa mówionego. Potem zaimprovizowany został turniej jednego wiersza (w grę wchodziły świeżo napisane utwory młodych), który dodał dyskusji nowy impuls. Na zakończenie rozdano nagrody za konkurs właściwy, omówiony już w pierwszej części, oraz ten żywiołowy. Spośród starych „wyg” poetyckich i „arystarchów” krytyki zapamiętałem: profesor Stefanię Skwarczyńską, Jalu Kureka, Aleksandra Rymkiewicz, Bogdana Ostromęckiego. Pamiętam ogólną atmosferę. Była prawie rodzinna, zwłaszcza, że „wygi” i „arystarchy” byli ze sobą życzliwi, pogodni. Tym się wyróżniali w ogóle ze środowiska. Jedyna pisarka posiadająca wszelkie cechy typowe dla wielkość zaangażowanych politycznie inaczej, czyli blisko Komitetu (zarozumiałeść i prawo do sądenia wszystkich i wszystkiego z tytułu jednej dość śmiało, jak na czasy, napisanej powieści obyczajowej), Anka Kowalska, nie była zapraszana, względnie była za wielką, by takie zaproszenie przyjąć. Profesor Skwarczyńska, choć była autorytetem w dziedzinie form poetyckich w skali światowej i miała za sobą wyjątkowo tragiczne przeżycia, była zawsze pogodna i skromna; uważała udział w tego typu zjazdach, jak i wszelkie działania popularyzujące poezję, za społeczny obowiązek. Promieniowała od niej dobroć i życzliwość wobec każdego...

Kiedy Komitet PZPR zorientował się, że PAX-owskie „Wiosny” odnoszą spory sukces, odebrał to jako wyraźną klęskę partii. Wystarał się o wcale znaczne fundusze i nakazał prezesowi Związku Literatów Polskich organizować od tego roku na bardzo dużą skalę Ogólnopolski Festiwal Poezji w Łodzi. Impreza miała trwać trzy dni, podczas których miały odbywać się dyskusje oraz spotkania autorskie w Łodzi i województwie. Festiwal przyznawał również wysoce prestiżowe nagrody za całokształt dorobku, najlepszy w danym roku tom oraz za estetykę poetycką. Brała w nim udział przeszło setka notowanych i wysoko notowanych poetów i krytyków, a także poeci łódzcy – z dopuszczeniem niższych szczebli. Zaproszeni goście „z nazwiskami” prezentowali dość różnorodny styl bycia: od sfinksowej powagi Jastruna i Błońskiego, po wieszczów w strojach łąpserskich, którzy częściej niż na sali obrad rezydowali, uzbrojeni w butelki, po skwerach, dworcach, i których do niedawna jeszcze z rozrzewaniem wspominali „przyjaciele” izby wytrzeźwień. Nazwiska pomnę, zwłaszcza że dziś przebywają, często utytułowani, w piwnicach niebieskich. Były to imprezy bardzo pożyteczne tak dla samych poetów (dyskusje, znajomości, „gięta”), jak i dla setek słuchaczy i autorytetów poezji.

Festiwal działał obok „Wiosny”; obie imprezy gościły w większości tych samych ludzi, poświęcone były temu samemu – podnoszeniu wiedzy, kultury literackiej, wyklócaniu się, co bywa też pożyteczne, szerzeniu wiedzy o literaturze, której czasem się zdarzy przemienienie jakiegoś

zjadacza chleba nie tyle może w anioła, co we wrażliwszego, w tym na piękno etyczne – człowieka. Sandauer miotał na zapchaną salę pociski w rodzaju stwierdzenia, że poezja w pełnym tego słowa znaczeniu jest słowem odkrytym i szerszym od sloganów – powiedzmy – młodego Tuwima, Leśmiana, Gombrowicza, Witkiewicza, a cała reszta to mniej lub bardziej czy nadzwyczaj sprawne wiersze. Wywołał burzę. Innego roku sala klęczała się o poezję lingwistyczną. Na kolejnej imprezie Stefan Flukowski, ongiś twórca podstawowego hasła Kwadrugi w okresie głodu mechanizacji – „Daj piękne imię sobie i maszynie” – hasło to (bez praktycznych zresztą skutków) uroczystie odwołał, bo spostrzegł, że ma się ku dominacji maszyny nad samym człowiekiem i giełdy nad chlebem naszym powszednim.

Wśród łódzkiej młodzieży poetyckiej wybiła się od pierwszej Wiosny Poezji i pierwszego Ogólnopolskiego Festiwalu moja córka Dorota. Grono zdolnej młodzieży (m.in.: Mirosława Kuźniak, Tadeusz Chudy, Rafał Orlewski, Feliks Rajczak, Ryszard Marian Wójcik, Bohdan Zadura, Ziemowit Skibiński, Kazimierz Świegocki i wspomniana moja córka) trzymało się razem, myślało też o zawojowaniu poezji, ale, w odróżnieniu od Ożoga (z pokolenia starszego niż moje), konspirowała się z tym zadaniem. Był rok 1976. Autorka „Epitalamii” w białej bluzce i granatowej spódnicy, jakby jeszcze była uczennicą. Śmiała się w gronie kolegów, jaśniała swymi dużymi, zielonymi oczyma. Nie zwracała uwagi, że właśnie jury, której przewodniczyli profesorowie Skwarczyńska i Błoński, wymienia jej nazwisko. Nie od razu doszło do niej, a i do mnie, że padło jej imię i nazwisko. Wreszcie, stawiając kropkę na zakońzonej jakiejś anegdocie, podchodzi do prezydium i otrzymuje z rąk tych obojga pierwszą w jej życiu nagrodę poetycką Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji. Przyjęła z wdziękiem, odrzuciła do swoich. Z czasem otrzymała Nagrodę Wiosny, Czerwonej Róży, Nike Warszawskiej, na niedługo przed odejściem w nieznane Nagrodę Imienia Juliusza Słowackiego (a to duża nagroda, bardzo się licząca, traktowana w niektórych kołach jak „polski Nobel”). Ale tamta była pierwsza na oczach największych poetów polskich kilku pokoleń. Czy była wtedy tamtego dnia na Ogólnopolskim Festiwalu Poezji wzruszona? Nie wiem. Młodzież dziwnie reaguje na wyróżnienia. A może była, ale jej pokolenie chyba nie gorzej konspirowało się niż młodzież mojego pokolenia – akowska, tajnego nauczania. Myśmy nie zdawali sobie sprawy z niebezpieczeństwa, oni z faworów Losu. Za to ja wtedy – pamiętam – jak, splątany w tłumie, przypominałem sobie, nie wiadomo czemu, bo bezsensownie właściwie, zapomnianą kołysankę z jej wczesnego dzieciństwa, kołysankę, pod której wpływem szybko zasypiała, a ja się na pewno wzruszałem:

„...Tylko kochaj mnie, Dorotko,
Tylko kochaj mnie!”

Bywa, że powtarzam to sobie dziś, kiedy jest późno i bardzo też późno... na mnie, jak wynika z metryki. Kiedyś tam, w czasach konspiracji, byłem jednak znacznie odważniejszy, a i było nierównie więcej osób tworzących moją rodzinę i kochających mnie głębią serca... Kochaj mnie wtedy... jeśli się spotkamy...*


EXPRESOWE DORABIANIE KLUCZY
OSTRZENIE NARZĘDZI

MARIAN TARKOWSKI

Bydgoszcz, ul. Śniadeckich 3 (w bramie)
tel. 328 68 46

czynne: 10.00-18.00, sobota 10.00-14.00

Dorabianie kluczy wszelkich typów:
mieszaniowe i samochodowe,

Gerda, Lob, Abloy,
MCM, Abus, Kasta, Mile,
Lider, Zasuw...


SZYBKOŚĆ
I MIŁA ATMOSFERA

Uratuje każde auto
szybko • uczciwie • elegancko

FIRMA USŁUGOWO-HANDLOWA

Jerzy Szreder

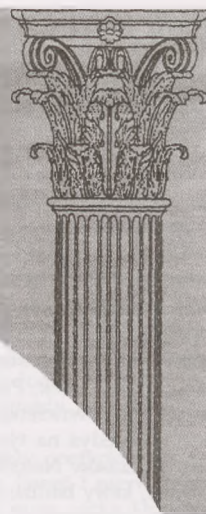
- blacharstwo samochodowe
- mechanika samochodowa
- sprzedaż części
do różnych typów samochodów
- elektrotechnika

ul. Szajnochy 14, 85-738 Bydgoszcz
tel. (052) 342 02 16



*Laureaci
Trzeciego Agentu Politycznego
„O Wienie Akantu”*

*„Jest człowiek i jest Bóg;
a może inaczej”*



Dagmara Hajduk

(...)

4.

Czy dźwięk przybywającego statku brzmi tak samo dla mnie i dla niej?
Mama nie odwraca głowy ledwo dostrzegalne drgnięcie skóry
to krzyk mammo?
Ja stoję w oknie nogi mając zanurzone w ogrodzie tłukę
kolanami o chropowatą skórę domu do krwi
wrzeszczę, jestem jak szerszeń, kłuję ci mózg.
Uśmiechasz się.
Synku czy wyjdiesz po niego na drogę?
Chodź, obejrzę ci kolana.
Pij wodę z miętą i cytryną, wrzucę ci kostki lodu
przyjemnie jest trzymać taką zimną szklankę w gorących rękach.
Tak, mammo, niewątpliwie jesteś aniołem
a ojciec śliską przebiegłą rybą wymykającą się wszystkim wrogom.
Nawet Bogu

Wyróżnienie, godło „Mru-Mru”

Wojciech Brzoska

Izie

cztery zgrabne foki kreślą swe ósemki
w rytm buddyjskiej muzyki,
dziwimy się ciszy
rodzącej się wokół
każdego ich płasu,
i tak już stoimy
zastygając w posąg.

tak chce nam się milczeć,
kiedy wciąż ci ludzie
gadają bez przerwy
zamiast tylko patrzeć

jak cztery zgrabne foki kreślą swe ósemki
w rytm boskiej muzyki,
przemienieni w posąg dziwimy się głosom:
człowiek jest na Ziemi
najwyższą istotą?

Hel, sierpień 2002

Wyróżnienie, godło „Hel”

Marta Otrębska

modłę się świecie
a proszę cię o to
abym uważnie stąpała
i w głąb

o w mojej duszy
Dziecka zmartwychwstanie.

i dziękuję.
Amen.

Jesień 2002

Wyróżnienie, godło „Kropka”

Piotr Paschke

Młoda śmierć umiera

Przymierzylem wiele pustych linii,
znam na pamięć ich starą grę.

Stałem się dzieckiem świata –
słowa nie mają już tej siły,
z serca odszedł znużony strach.

Nie pragnę miejsc gdzie udziela się ratunku,
są zbyt wysokie
by wchodzić w nie z kijem,
tworzyć fale kamieniami na wodzie;
takie linie nie obchodzą już ojców,
ich łzy obsychają w zbyt dalekich krajach.

Moje ciało znika,
nawet wtedy, kiedy śpię,
uczucia wyciągają szyje;
wchodzę ponownie w łono matki –
nie chcę znowu w niej spać
ale jej sztormowych obietnic.
Nie potrafi dać mi więcej życia –
a komfort zupełnie mnie nie interesuje.

Linia, pełna ciemności,
nigdy się nie kończy.

Wrocław, 2001

Wyróżnienie, godło „Chrzest bojowy”

Zbigniew Banaszak

Manggha redivivus po stu latach...

Nie, to nie jest tylko znak, jakiego w formie pytańnika „odwróconego” używają Hiszpanie na początku zdania pytającego, lecz po prostu z powodu faktu, o którym chcę rzec parę słów. A zaczęło się to tak: telefon, głos w słuchawce...

O Jezu! Znowu ten profesor... Jerzy Świdziński! Co on znowu wymyślił... do czego teraz człowieka przymusi? Już z góry jestem nastroszony.

Na razie jednak nic szczególnego się nie zdarzyło, choć wszystko zapachniało zagadką: „Przyszedłszy do Teatru Animacji w Zamku. Zgoda?”

Chyba nic specjalnego, raczej radość ze spotkania, z gawędy z profesorem, tak zawsze wzbogacającej... Ale ta zagadkowość każe mi mieć się na baczności. Ano zobaczymy. Nie dam się! Już nadosyć moich mąk nad przemyśleniami rozmaitych kwestii, rozwiązywaniem mniej lub bardziej złożonych problemów, tematów niby mimochodem „podrzucanych” przez profesora; dość lamigłówek przy przetwarzaniu myśli w teksty pisma maszynowego... Dość tego!

A tu niespodzianka. Miłe powitanie w Poznaniu. Tym miłsze, iż odbyło się w szacownym gronie ludzi pióra: poetek i poetów, pracowników naukowych i ludzi teatru. Idziemy. Profesor prowadzi nas dokądś poprzez labiryntowe pomieszczenia Zamku. Wchodzimy do sali widowiskowej. Pełno w niej młodzieży licealnej. Dostają do ręki program spektaklu, ale w tym momencie okazuje się on nieprzydatny, gdyż na sali zapanała ciemność.

Powoli jaśnieje scena, zaczynają się, przechodzące w *crescendo* kołatkowe stuki drewnianej rytmiczności, *glissando* płacznego instrumentu. Hm... to coś japońskiego! Już się domyślę, któryś z japońskich doktorantów profesora coś tu „pitrasł”! Ale w mroku nikogo nie dostrzegam... Nie widzę nawet znanego mi pana Koichi Kuyamy... Więc na co się tutaj zanosi!

W czasie trwania tej uwertury pojawiają się na scenie wypunktowani światłem aktorzy w szatach uniemożliwiających rozróżnienie postaci, zakładają maski i z wolna zaczynają poruszać się po scenie nietypowym krokiem. Istna „chirszczyzna”, pomyślałem. Ale dlaczego? Czyżby znowu profesor Świdziński wymyślił coś nowego? Od tego momentu wszystko, co zaczęło się pojawiać na scenie, a więc dekoracje, aktorzy w maskach, dziwnie szare światło, muzyka, zapowiadała jakąś sztukę japońską... ni to teatr *No*¹, ni to teatr *Kabuki*².

Po kilkunastu minutach zaczynam już orientować się w treści dramatu, gdyż z wypowiedzianych ładną polszczyzną krótkich kwestii, przy współgraniu oszczędnych ruchów i gestów aktorów, zaczął powoli wyłaniać się obraz odwiecznej walki dobra ze złem, czy też na odwrót. Pewności jednak o całości sztuki wciąż nie miałem. Jedyne systematyczne osławianie się ze sztafażem japońszczyzny, orientalności przynosiło konkretne wyniki.

Wciąż jednak zdezorientowany, poszukuję sensu treściowego, który – jak się domyślę – prędzej czy później wyłoni się z ułamków tekstu, z umowności masek i postaci, mało czytelnych dla Europejczyków scen, z powodu braku wiedzy o kulturze Kraju Kwitnącej Wiśni. Ale mimo tego, w miarę upływu czasu, wzmaga się we mnie i w obecnej na sali młodzieży, ciekawość i intensywnie śledzenie akcji, wciąż raczej odgadwanej niż pojętej.

Jak się później okazało, główną bohaterką sztuki jest nieszczęśliwa dziewczyna nosząca imię Yuki, osierocona przez Matkę i do tego niewidoma, którą nie zawsze troskliwie opiekował się Ojciec. W sztuce tej równie ważną postacią jest Diabeł, podobnie jak Yuki nieszczęśliwy, ale z powodu okropnej brzydoty, która sprawia, iż jest on przedmiotem szykan ze strony swoich kamratów. Przywrócenie dziewczynie wzroku przez Diabła staje się przyczyną ich miłości i tragedii zarazem. Pechowy Diabeł ginie z rąk Ojca Yuki, który oskarżył go o porwanie córki.

Sztuka ta przypomina po trosze europejski motyw wędrowny „Pięknej i Bestii”, w którym prawdziwa miłość potwora do pięknej dziewczyny zostaje unicestwiona przez zawistnych ludzi. Podobnie jak w europejskim motywie, tak i w utworze pisarza japońskiego postawione jest pytanie o granicę poświęcenia i człowieczeństwa. Ale ani autor, ani tłumacze, ani aktorzy i reżyser nie wskazali tej granicy; widz musi ją sam odnaleźć.

Kiedy tak rozmyślałem o sztuce w czasie jej grania, nastąpiła w spektaklu przerwa, normalny antrakt, chociaż co niektórzy sądzili, że to już koniec przedstawienia. Początkowo zapanowała cisza na widowni, zapaliło się światło i widzowie zaczęli powoli odrywać się od krzeseł, ani jednego okłasku..., wszyscy wychodzą.

Szybko rozchyliłam niby wachlarz, program. No tak: współcześnie napisana przez ASAYA FUJITA, oparta na szesnastowiecznym motywie, sztuka pt. *Oni – Bekkando*³. Na polski przełożyli Koichi Kuyama i... Jerzy Świdziński! A – teraz już wiem – to dlatego profesor wojażował niedawno po Dalekim Wschodzie (Korea, Japonia), by „wgrzyźć się” w tamtejszą kulturę, która jest nam jeszcze wciąż bardzo, bardzo odległa... Tu muszę powiedzieć, że profesor Świdziński wyjątkowo wnikliwie i dogłębnie „wgrzyźł się” w tę

kulturę i zapewne może stać się specjalistą od spraw Dalekiego Wschodu.

A swoją drogą, co to za osobowość z tego Świdzińskiego; polonista, rusycysta, sławista, historyk i teoretyk literatury, zasłużony działacz Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, twórca sławistyki poznańskiej, inicjator rekonstrukcji pomnika Mickiewicza dłuta Władysława Oleszczyńskiego odrestaurowanego w 1904 roku przez Władysława Leszczyńskiego i zniszczonego w czasie II wojny światowej przez Niemców, organizator kilku międzynarodowych konferencji naukowych, poświęconych polskim wieszcom narodowym: Mickiewiczowi, Słowackiemu i Krasińskiemu, redagujący własne i obce dzieła naukowe, uprawiający twórczość poetycką, członek Związku Literatów Polskich, wieloletni współuczestnik Międzynarodowych Festiwali *Musica Antiqua Europea Orientalis* w Bydgoszczy, promotor polskich i zagranicznych magistrantów i doktorantów na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, gdzie pracuje. Słowem – człowiek renesansu.

Tak, powyższe rozważania o współtłumaczu sztuki japońskiej – profesorze Świdzińskim – spowodowały, że uciekła mi przerwa i nie zdążyłem wyczytać się w wystylizowany na modłę japońską program. I znów przyjdzie mi brnąć w domysłach, transponując grę aktorską w treść sztuki. Zresztą, czy w tym przypadku to tak ważne? Czy nie istotniejsze jest uczestniczenie w misterium orientalnym? Przecież walka dobra ze złem, tak odwieczna w myśli filozoficznej ludzkości, ujawnia się tutaj poprzez czytelną symbolikę: masek, kostiumów, muzyki, specyficznej gry aktorów, a więc przez typowy dla teatru japońskiego sztafaż. Kiedy wybrzmiał spektakl, cała sala, tzn. my dorośli i młodzież, biliśmy na stojąco długie brawa.

Ale tu muszę dodać, iż nie była to zasługa tylko inscenizatora i aktorów, co jest oczywiste, lecz także współtłumacza, profesora Jerzego Świdzińskiego, który dzięki swym nieskończonym różnorodnym działaniom zafundował nam wspaniałe widowisko, bajeczny moralitet wschodni, nad którym długo będziemy się zastanawiać.

I jeszcze jedno, czyż tymi działaniami profesora nie został obecnie wskrzeszony w Poznaniu duch Mangghy – krakowskiego profesora Feliksa Jasińskiego z przełomu XIX i XX wieku? Zastanówmy się nad tym!

Omówiony przed chwilą spektakl to wspaniała baśń, cudowna poezja, gra aktorska nad wyraz trudna, a wymowna zarazem, muzyka, światła, dekoracja itp. Słowem – udane przedstawienie teatralne, w którym miałem szczęście uczestniczyć dzięki profesorowi. W rewanżu dedykuję Jemu i panu Koichiemu, także wszystkim „majstrom” tego spektaklu wiersz poetki japońskiej Mineko Koyamy w tłumaczeniu Michi Tsukady:

Gdy jesteś samotny
i smutny
spójrz w lustro –
zobaczysz uśmiech
Weź więc głęboki oddech
i zaśpiewaj w duecie

¹ Teatr *No* rodzaj elitarnego teatru japońskiego z XIV – XVII w. Narodził się z tańców narodowych. Najczęstszą formą teatru *No* są dialogizowane poematy przeplatane muzyką. W teatrze *No* dominującą rolę pełni gra aktorska.

² Teatr *Kabuki* – rodzaj ludowego teatru japońskiego z XVII w. z powodzeniem uprawiany do dziś. Jest przeciwstawny przez swój realizm teatrowi *No*.

³ Asaya Fujita, *Oni (Bekkando-Oni, Pechowy Diabeł)*, tłumaczenie – Koichi Kuyama i Jerzy Świdziński. Poznań 2002. Opracowanie tekstu i reżyseria – Lech Chojnacki, scenografia – Dariusz Panas, muzyka – Krzesimir Dębski, choreografia – Władysław Janicki, asystent reżysera – Krzysztof Dutkiewicz, obsada: Yuki – Sylwia Koronczevska, Diabeł – Marek A. Cyris, Ojciec – Piotr Grabowski, Matka gór – Elżbieta Węgrzyn, Dziecko I – Piotr Grabowski, Dziecko II – Krzysztof Dutkiewicz, Chór – Sylwia Koronczevska, Elżbieta Węgrzyn, Marek A. Cyris, Krzysztof Dutkiewicz, Piotr Grabowski. Premiera: 17 marca 2002 r.



Wszystkim pisarzom i bibliotekarzom, którzy chcieliby podarować książki Klubom Polskiej Książki, podajemy adresy tych placówek. Zapewniamy, że tam wszystkie książki czyta się i analizuje:

- KPK, Hotel „Centralny”, ul. Dworcowa 85, 85-010 Bydgoszcz, tel. (052) 322 88 77
- KPK, Klub Nauczyciela, ul. J. Słowackiego 58/60, 60-521 Poznań, tel. (061) 852 10 85
- KPK, Pub „Żubr”, ul. Magdzińskiego 6, 85-005 Bydgoszcz
- KPK, Klub Nauczyciela, ul. Wojska Polskiego 3, 56-306 Milicz, woj. dolnośląskie
- KPK Podbrodzie, Pabrades Internatienia Mokykla, 4710 Pabrade, Mokyklos gatve 5, Litwa – Lietuva, tel. 0037038754402
- KPK, Wacław Ratyński, Kuźnica Czeszycka 29, 50-320 Krośnice, woj. dolnośląskie
- KPK, Pub „Parnasik”, Bydgoszcz, ul. Parkowa 2
- KPK Wielony, Felicja Leszczyńska, LV 4550 Vilani, Nakotnes iela 2/3, tel. 003714662598, Łotwa – Latvija
- KPK Mała, Jadwiga Okuniewicz, Malta, Rezeknes rajon, Jaunatnes iela 11, tel. 003714641921, Łotwa – Latvija
- KPK Rzeżyca, Rezeknes polu vidusskola, Lubanas iela 49, LV – 4600 Rezekne, tel. 003714023552, Łotwa – Latvija
- KPK Łohiszyn, Janina Łukaszewicz 225740 Łohiszyn, Pinski rajon, Biestskaja oblast, Białoruś

Jerzy Hłond

Na przekór losowi

Literatura pamiętnikarska i wspomnieniowa przeżywa bujny rozkwit. Na księgarskich półkach pojawiają się coraz to nowe pozycje. Częstość decydującą podjętą do wydania własnych wspomnień stanowi wewnętrzna potrzeba zaistnienia i intencja uchronienia swojego żywota od zapomnienia.

Wiele tego gatunku literatury zasługuje na udostępnienie czytelnikowi i zachowanie w pamięci. Należy zgodzić się ze spostrzeżeniem Stefana Pastuszewskiego, który recenzując wspomnienia Barbary Tesse, „*Idę do moich miłości*”... („*Akant*”, nr 3/2002) napisał: „*Czytając sprawozdanie z czyjegoś życia próbujemy utożsamiać się z autorem – bohaterem. Porównujemy swoją pamięć z pamięcią bohatera, a zamykając oczy, dzięki opisanym impoderabiliom, śnimy film ze swego dzieciństwa, młodości, dojrzałości wreszcie*”.

W jakim stopniu te spostrzeżenia przystają do niezwykle wstrząsającej publikacji książkowej zielonogórskiego pisarza JANUSZA KONIUSZA pt. „*Na przekór losowi*”, na którą składają się fragmenty pamiętników i wspomnienia osób niepełnosprawnych? Autorzy ich, dzięki własnym wyrzeczeniom i nie poddawaniu się nieszczęściu powracali do normalnego życia i pracy. Przypomnienie tej pozycji jest również na czasie, gdyż rok 2003 został ogłoszony Rokiem Niepełnosprawnych!

Pierwsze wydanie zbioru spotkało się z żywym zainteresowaniem. Nakład został całkowicie wyczerpany. Drugie wydanie wzbogacono o fotografie młodego zielonogórskiego artysty fotografa Marka Lalko. W sumie znalazło się 28 tekstów, z których dowiadujemy się o dramatycznych losach ludzkich, cierpieniach, upokorzeniach, ale także o radościach, osobistych dokonaniach i sukcesach. Wypowiadają się osoby o różnym stopniu i rodzaju kalectwa, mniej lub bardziej fizycznie sprawne. Wszystkich łączy jakaś mało określona więź z tymi osobami, które mimo kalectwa czy przewlekłej choroby nie tylko nie załamały się, ale wręcz przeciwnie, wykazują

niemały hart woli i odporności, zaznaczyły swoją obecność w twórczości, pracy zawodowej czy działalności społecznej.

Zapisy tchną autentyczną prawdą, nieraz autorzy są wobec siebie surowi i szczerzy aż do bólu. Często piszą o sprawach intymnych, ale nie przekraczają granicy ekshibicjonizmu. Każdy bowiem tekst dotyczy opisu konkretnego człowieka czy jego najbliższej rodziny. Utwory te są plonem ogólnopolskich konkursów na wspomnienia i pamiętniki osób niepełnosprawnych.

Geografia autorów obejmuje prawie cały kraj. Wiek autorów nie przekroczył siedemdziesięciu lat, a najmłodszy w czasie pisania miał lat dwadzieścia.

Odwołajmy się do zwierzeń niektórych autorów, a przekonamy się, iż z kalectwem nie tylko się nie godzą, ale nie poddając się, starają się powracać do ludzi pełnosprawnych. Paweł Śliwka („*Bez auroli*”) nie zamyka się „*jak ślimak w skorupie*” po trwałym uszkodzeniu nerwów i porażeniu prawej i lewej ręki. Ukończył Studium Nauczycielskie Rysunku i Malarstwa w Katowicach. Był kierownikiem szkół wiejskich i wypromował wielu ludowych twórców. Kazimierz Skrzypek z Gorzowa Wielkopolskiego został porażony prądem, amputowano mu prawe ramię, przedramię, udo i leczono rozległe poparzenia. Jeden z kolegów odważył się powiedzieć mu wprost: „*Z ciebie to tylko kupa gnoju została, co ty będziesz robił w życiu, lepiej skończ z sobą*”. A tenże ukończył Wyższą Szkołę Ekonomiczną, kurs na prawo jazdy, kurs przedsiębiorczości i posługiwania się komputerem. Przepracował w spółdzielni inwalidzkiej 32 lata. Stanisław Marko z Zakopanego z protezą jednej ręki zbudował tratwę z 600 plastikowych butelek i postanowił zmierzyć się z Sanem i Wisłą. Rejs ten dedykował Ojcu Świętemu. Jadwiga Gajlun-Markur już urodziła się kaleką, bez ręki, i nikt nie chciał przyjąć jej do pracy. Później miała udar mózgu. Sąsiadka – malarzka – zdradziła jej tajniki warsztatu. Podczas pleneru nad morzem w Niechorzu namalowała dwa obrazy, które wzbudziły zainteresowanie. Życie przybrało inne barwy. Jeździ na spotkania z artystami, którzy malują ustami i stopami.

Dystans do swojej choroby bywa często samookreśleniem się i pogodzeniem się z własnym losem. Barbara Dziecielewska twierdzi, że „*w życiu nie da się uniknąć rozczarowań, rozpacz i bólu*”.

ponieważ dzięki niemu właśnie „*ruch nie zamiera*” i świata nie ogarnia destrukcyjna martwość. Tytułowy pigment okazuje się przeto życiodajnym pierwiastkiem w naturze wszechrzeczy, a artyzm – apoteozą witalizmu i radosnej, codziennej egzystencji. Egzystencji, alegorycznie przedstawionej w zamykającym książkę poemacie o barwach *Odyseja plamki*.

Mimo niewielkich, wklajających nieco fabułę usterek narracji, zadziwia powieść Strumyka świeżością spojrzenia na temat zdawałoby się już w literaturze gruntownie wyzyskany. Pojawiające się w utworze odniesienia intertekstualne, wśród których odnaleźć można nawiązania zarówno do W. Gombrowicza, jak i J. A. Rimbauda, nie mają charakteru postmodernistycznych fajerwerków, lecz są subtelny, ledwie dostrzegalnymi aluzjami, świadczącymi o intelektualnej kulturze autora. Na szczególną uwagę zasługuje również niewątpliwie psychologiczne prawdopodobieństwo, z jakim ukazana została wewnętrzna ewolucja bohatera, od krańcowego zwątpienia w sztukę, po afirmujące dostrzeżenie w niej esencjonalnej substancji życia. I chociaż nie jest *Pigment* z pewnością arcydziełem – o te w ogóle dziś trudno – to jednak stanowi kolejne potwierdzenie faktu, że książki mniej znanych, „*niszowych*” pisarzy, przewyższają często znacznie literacką produkcję przereklamowanych Pilchów i innych laureatów prestiżowych nagród.

Grzegorz Strumyk, *Pigment*, Wydawnictwo „Ruta”, Wałbrzych 2002, ss. 120

Wiem, że każdy z nas ma obowiązek zmieniać siebie, doskonalić się, pozostając zawsze sobą. Nadawać nowy smak życiu, obojętnie jak trudne by ono nie było”.

W publikacji tej zamieszczono wspomnienia autorów, którzy piszą i ogłaszają drukiem swoje utwory. Mają już na koncie niemały dorobek zarówno literacki, jak i dziennikarski. Wśród zaprezentowanych wyróżnić należy Michała Kaziowa (zmarł w 2001 roku), który był postacią wyjątkową. W 1945 roku po wyzwoleniu Wrocławia pełniąc służbę wartowniczą stracił rękę i wzrok. Pewnego dnia zainteresowała się nim aktorka z Poznania Halina Lubicz, społecznie prowadząca zespół teatralny niewidomych. Pod jej opieką ukończył w Poznaniu szkołę średnią, Uniwersytet Adama Mickiewicza, obronił pracę doktorską na temat estetyki słuchowiska radiowego i stał się w tej dziedzinie cenionym krytykiem. Napisał autobiograficzną powieść „*Gdy moim oczom*”, wydał wiele zbiorów opowiadań i felietonów radiowych oraz setki szkiców. Swoje wspomnienie zamieszcza też znany czytelnikom „*Akantu*”, Maksymilian Bart-Kozłowski. Opublikował wiele zbiorów poezji i opowiadań. Powieść pt. „*W drodze do Efezu*” została wyróżniona w ogólnopolskim konkursie literackim im. Mikołaja Reja. Niewidomy Stanisław L. Machowiak urodzony we wsi Luboni pod Leszmem ukończył filologię polską na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu. Jest nauczycielem w Ośrodku Szkolno-Wychowawczym dla Dzieci Niewidomych w Owirskich. Wyróżniony został Orderem Uśmiechu. Pisze utwory dla dzieci, które zamieszcza w „*Świerszyczku*” i „*Płomyczku*” oraz dla dzieci niewidomych w „*Świąteczku*” i w „*Promyczku*”. Jest autorem 18 tomików poezji. Wyznaje: „*Twórczość jest moją magiczną siłą. (...) Doszedłem do wniosku, że to właśnie pisanie, szczególnie poezji, czyni nas wolnym, pozwala kształtować nasze wnętrza*”. (sic!). A kim jest żona? Napisała: „*Na mojej drodze jest ona gwiazdą, światłem, semaforem bezpieczeństwa*”.

Ewa Soroko pragnie wyrazić siebie poprzez poezję, która jest remedium na ból i cierpienie. Nie zamierza zamykać się w kokonie bólu. W wierszu bez tytułu z tomiku „*Światło ze snu*” wyznaje:

zastygam w bólu
jak motyl w burzynie
bez prawa lotu
w ukwiecone światy
cokolwiek się zdarza
trwam

Poetka Regina Schönborn z Rzeszowa po przebyciu cukrzycy i wynikłych powikłań utraciła wzrok. Wychowała dzieci i doczekała się wnuczków. Wydała trzy tomiki poezji i uhonorowana została Nagrodą Prezydenta Miasta Rzeszowa za całokształt twórczości literackiej. Kiedy utraciła wzrok napisała wiersz „*Dylemat*”, w którym niejako pożegnała się ze światem barw i kolorów:

Nie widzę w lustrze własnego odbicia
A więc jestem, czy mnie nie ma?
To tak, jakby człowiek idąc w słońcu
Nie miał własnego cienia.

Jako poetka i matka w jednej osobie głęboko wierzy w miłość, która nigdy człowieka nie zawiedzie. Chociaż są źli ludzie, należy im wybaczyć, bo nie wiedzą, co czynią.

Książka ta może być zwierciadłem, w którym w ostrych konturach zarysowane są ludzkie losy pełne bólu i cierpienia. Nie każdy wybiera własny los, a ten niekiedy bywa okrutny i nie można przed nim uciec. Na ból, cierpienie i samotnienie człowieka lekarstwem może być przyjazna ręka najbliższej osoby. Dlatego wybór pamiętników i wspomnień osób niepełnosprawnych winien przypominać, iż obok nas również żyją ludzie przeżywający własny dramat.

Na przekór losowi. Pamiętniki i wspomnienia osób niepełnosprawnych. Redakcja Janusz Koniusz, Polskie Towarzystwo Walki z Kalectwem, Oddział w Zielonej Górze, 2001, ss. 292

Mateusz Bourkane

Pochwała życia i koloru

Pigment Grzegorza Strumyka to książka, którą genologicznie zaklasyfikować wypada jako klasyczną powieść o artyście. Gatunek ten, realizowany w przeszłości przez dzieła rangi *Doktora Faustusa* Tomasza Manna, ostatnio uprawiany jest raczej rzadko, a jeśli już, to zwykle z nie najlepszym skutkiem. Tym dokładniej przyglądać się zatem należy tekstom kontynuującym tradycję ową w sposób, w jaki czyni to utwór G. Strumyka – oryginalnie, bezpretensjonalnie i co ważne, intrygująco.

Podstawowym zagadnieniem, wokół którego ogniskuje się fabuła *Pigmentu*, jest odwieczna kwestia granic i sensu indywidualnego aktu twórczego. Pierwszoosobowy narrator powieści, filozofujący rzeźbiarz i malarz, rozpoczyna poszukiwanie swej artystycznej drogi od założenia, że uprawianie sztuki polega na kreowaniu nowych form. Każdy istniejący byt kształt już wszakże posiada, a poza tym forma, jako coś statycznego i zastygłego, tożsama jest ze śmiercią. Dlatego też pragnący „*oswobodzić przestrzeń*” bohater niszczy w końcu swoje rzeźby i całkowicie zwraca się ku malarstwu, będącemu według niego jedyną dziedziną sztuki, która pozwala „*nic nie dodawać do tego, co widać*”. A więc nie tworzyć formy, lecz ją przekraczać. Dzieje się tak za sprawą koloru,

Zbigniew Kresowaty

Przez Kresy do Ultima Thule

biore
kolejny ostry zakręt
biegnąc po kole
za oddalającym się marzeniem
którego jestem coraz bliższym
cieniem

Tymi słowami wybiera się doświadczony poeta JÓZEF BARAN w „Najdłuższą podróż”. Tym razem odkrywa przed czytelnikiem dzienniki z najważniejszego chyba okresu w swoim życiu. Był to czas obfity w różnorodne doświadczenia, przy jednoczesnym przeobrażeniu wewnętrznym. Książka pisana jest z ogromnym dystansem, spojrzeniem w siebie. To zapiski będące rozrachunkiem ze światem współczesnym. W drugiej części znajdujemy reportaże-dzienniki m.in. z Kresów, Cypru, Ameryki i Australii... Książkę okala liryzm, lapidarność, niecodzienne spojrzenie w szczegól, a nawet humor przetransformowany w prozaiczną rzeczywistość. Trzecia część tej książki to jakby kulminacja owej „podróży najdłuższej” – to dziennik szpitalny i przepiękne wiersze pisane z wyjątkowym wycuciem dramatu jaki toczy się w przestrzeni traumatycznej.

Poeta znajduje się w białych salach, które są białą przestrzenią jego duszy. To szpital, gdzie ma dojść do naprawy jego „fizycznej powłoki”. Dzienniki Józefa Barana, o wspaniałym warsztacie literackim, są opisami poszczególnych chwil. Wspomnienia, mające różne formy, czynią ważnym to, co ongiś było prozaiczne. Poeta stosuje w tej książce formę opowiadań relacyjnych, trochę jakby szeptał w ucho spowiednika największe, jego zdaniem, grzechy człowieka intelektualnego. Są to przede wszystkim narracyjne opisy, w jakich znajduje się „ego” poety, z dodatkiem licznych dygresji. Dzienniki zaczynają się 1 listopada 1998 roku. To znamieny dzień – szczególnie czas refleksji nad przemijaniem człowieka. Poeta tworzy się i odnajduje w napotkanych postaciach. Ukazuje, jak można uczestniczyć w duchowej uczcie egzystencjalnej. Opisuje, czym jest inne spojrzenie i jak je konfrontować w obliczu

nowego, traumatycznego świata, który pali się czerwoną lampką w nim samym.

Autor do swoich dzienników „wkłada” opowiadania swoich przyjaciół, czyni jednocześnie suplementy, a i ubarwia opowieści ciekawymi wydarzeniami artystycznymi. Pisarz chce jakby objąć najszersze obszary swojej pamięci, gdyż przytacza wspomnienia bliskich i ważnych dla niego osobowości. Czyni to i mówi: „znów mnie wyrzuca / świt na brzeg / niczym muszlę / ze skłębionego oceanu / w mojej głowie jak w muszli / całą noc szumiało / Wiecznością i Snami”...

Z dzienników Barana można wiele dowiedzieć się o innych, a jednocześnie odkrywać osobowość autora i tego, co jest dla niego ważne w życiu i w danej chwili. Pod datą 26 listopada (s. 15) czytamy: „Poeta Tadek Śliwiak w ostatnim okresie życia, gdy był chory na Alzheimera, przesiadywał całymi dniami w bufecie krakowskich dziennikarzy na Wielopolu u Marysi, która podejmowała go darmowymi obiadami. Po południu zaś – w klubie <Pod Gruszą>... Gdy przysiadawałem się do niego, uśmiechnięty ni to nieśmiało, ni to zagadkowo, oznajmiał konspiracyjnie, że wyjedzie. Nie potrafił sprecyzować dokąd. (...) Narzekał na <tamtych>, bliżej nieokreślonych, na nią (żonę), która ciągle ma do niego pretensję... na faryzeuszowski Kraków (...). W jakiś czas potem wykrał się o świcie z domu w skarpetkach i pobiegł na przystanek tramwajowy, gdzie zginął w niewyjaśnionych okolicznościach przejechany przez tramwaj. Bóg wie, może rzeczywiście wyjechał tak dokąd marzył – daleko, daleko (...)”. Powstaje pytanie: Czy poeta, znajdując się pod skalpelem własnej świadomości, zapragnął odnaleźć się w imaginacyjnych losach swoich przyjaciół? W dalszych relacjach, zapisywanych konkretnymi datami, każdy nowy dzień zaczyna się u poety prozaicznie, ale wystarczy chwilka, jakiś ruch, szczególnie a już jesteśmy w innym świecie. Tylko świat złożony z warstw nałożonych na siebie może się ujawniać spontanicznie w przenikaniu...

Bohater dziennika podejmuje rozmowy z sobą, z własnym kosmosem metafizycznej przestrzeni wewnętrznej. Nie cierpi fizycznie, a swój niepokój duchowy umieszcza w przestrzeni przeszłej. Przywołuje miejsca i osoby, odnosi się do czasu, umieszcza swój głos w konkretnej refleksji, jakby pytał w ciszy siebie: Co ze mną będzie dalej?

Poeta wybiera się w podróż namacalną egzystencjalnie – na spotkania z innymi. Radosne są podróże autora na Kresy. W zapiskach z tego czasu pod datą 30 kwietnia – 14 maja 1999 roku (s. 103) pojawia się wiersz:

pastwiska oprawne
w stawów lusterka
majowe niebo w nich ćwierka
oraz bochny chleba czarnoziemne rozkrawa
aż slinka cieknie
gdzie pięknie

Tak naprawdę artysta zawsze żegna się z tym, co widzi. W cyklu „Moje odkrywanie Ameryki” (5 maja-21 czerwca 2000 roku) zamieszcza takie oto wspomnienie: „(...) Tu ludzie jak odrzurowce. Zagapisz się na drapacze chmur i już cię porwą nowojorskie anioły. Musisz się potem długo odnajdywać. (...) Wieża Babel – 140 języków! 2 najwyższe drapacze chmur połączone ze sobą w syjamskim uścisku, to Światowe Centrum Handlu liczące 110 pięter! 50 tysięcy zatrudnionych ludzi, którzy dojeżdżają codziennie windami do swoich stanowisk pracy! (...) Zastanawiam się, czy giganty-drapacze chmur przytaczają ludzi czy uskrzydlają? (...)” Autor czuje się w tym ogromnym wszechświecie nic nie znaczącą mrówką, a przecież, niespełna 1,5 roku później, z ogromnych budynków pozostaną gru-

zy napelnione ogniem i dymem... Tak staje się czas!

Bardzo cenny wydaje się rozdział „Szpitalna podróż”, poprzedzony wierszami „szpitalnymi”. To część kulminacyjna książki: oto Odys przybywa do Itaki najbielszej, gdzie powita go operacyjny stół-brzeg, gdzie będzie musiał złożyć zeżnanie z całej podróży:

nawet nie wiedziałem kiedy
zapakowano mnie w białą kapsułę
przeciągnięto z łóżkiem
przez pasy startowe
szpitalnych korytarzy
nadmuchano narkozą
rozpędzono
puszczono
lecę
pikuję
na podobieństwo rakiety
w kosmos w nicość w diabli wiedzą co
z otwartym brzuchem
w którym sępy skalpeli
w białych kitlach kosmitów
wydziobują wnętrzości
lecę
pikuję
wokół ni Boga
ni diabła
ni nic
tną mnie choć nie ma mnie
na ziemi niebie
ni żadnej gwiazdy
godzinę (...)
(Lot, s. 193)

I już na koniec sekwencja ze „Szpitalnej spowiedzi” (dzienników): „Co świt pojawia mi się – jak wszelki duch pana Boga chwali – gruby książd z komunikantami, który z początku wygląda mi na zjawę. Obraz trochę dramatyczny, trochę komiczny, trochę mój wyrzut sumienia, bo dawno nie przystępowałem do komunii, nie spowiadałem się. (...)”

Nastąpił cud przeobrażenia. Myślę, że czytelnicy też poczują pewien niedosyt. Znaczy to, że spełnione jest dzieło. Że książka jest dobra, a podróż najdłuższa najcenniejszą w odnajdywaniu własnego „ego”.

W książce Józefa Barana nie pozbawieni jesteśmy sacrum. Poeta dostarcza nam refleksji duchowej przede wszystkim! Uczy, jak przygotować się do takiej podróży, co zabrać i czego nie można pominąć. Jest wspaniałą poetycką eskapadą, szczerą relacją z własnego sanktuarium, która ocala przede wszystkim wewnętrzną. Udajmy się zatem i my w „najdłuższą podróż” poprzez tę książkę, która jest nie tylko dekalogiem poetyckim, ale może doprowadzić nas skrzydeł w ciekawej podróży w głąb siebie, na Kresy, do Ultima Thule.✶

Józef Baran, Najdłuższa podróż, Wydawnictwo „Nowy Świat”, Warszawa 2002, ss. 240

Rama też jest dziełem sztuki
PRACOWNIA PLASTYCZNA
„DEKORA”

Bydgoszcz, ul. Gdańska 9,
tel. 322 19 88

Służy artystom i miłośnikom sztuki
od 1945 roku.

Oprócz artystycznej oprawy obrazów
prowadzi sklep z artykułami malarskimi.

Najnowsze techniki i technologie.
Najlepsi fachowcy, artyści bez mała

Zapraszamy
w godz. 10.00-17.00



Lekcje rysunku i malarstwa. Przygotowanie
do egzaminów wstępnych, tel. 0604194930

INSTYTUT
WYDAWNICZY

„Świadectwo”

świadczy usługi w zakresie
edycji i kolportażu:

- ◆ książek
- ◆ broszur
- ◆ czasopism
- ◆ prospektów i ulotek
- ◆ plakatów

85-009 Bydgoszcz, ul. Dworcowa 51B/4
tel. (052) 321 33 71, fax (052) 371 40 90
e-mail: akant@akant.telvintet.pl

Halina W. Dobrucka

DRAMATY

Daidalos

I

Niepoczytalny smarkacz! Mówiłem mu, ostrzegałem
By nie przekraczał granic, przez bogów nam wyznaczonych,
By nie unosił się tam, gdzie nieśmiertelni
Pragną być sami.

Gdyż oni nam, jednodniowcom – tak nazywają ludzi –
Wzbraniają wyrastać nad miarę, zaś niebo chcą mieć dla siebie.

- Trzymaj się własnej miary! – mówiłem – wyżej nie sięgaj,
Nie wlatuj! Bądźże rozsądny!
Odrzekł: - Posłucham cię ojciec –

Lecz oczy miał nieobecne, wzrokiem wybiegał w górę,
Usta mu drżały.

(...)

III

Przez wiele lat wędrowałem po górach słonecznej Hellady
Wspinałem się, trudu nie oszczędzając, na zerwy grozę budzące
Żeby podpatrzeć ptaki na ich napowietrznych szlakach,
Ich zryw, ruchy ich ciał, pracę mięśni, gwar piór,
Ażeby wyrwać im tajemnicę lotu.

Schwytalem ich setki. Podniebne orły, mocne jastrzębie,
Sokoły drapieżne – chciałem wydzierałem im pióra,
Przemysłne dzieła sztuki latania – kto je wymyślił,
Którego z bogów to dzieło, nie wiem.

(...)

IV

Pragnąłem sławy, tak. Czyż nie należy się chwała
Mnie, rzeźbiarzowi, który posągi nauczył patrzeć
I kazał chodzić statuom?

Umiałem pracować w białym pentelikońskim marmurze
I w tym zielonym z Hymetos i w półprzezroczystym z Paros.
Z kamiennych bloków tworzyć postacie bogów i ludzi
Życie im nadać – tak potrafiłem.

Ale dorastał młodzieńcy Talos, syn mojej siostry,
On także potrafił rzeźbić. Udatnie. I coraz sprawniej.
Tego nie mogłem znieść.
Zabiłem.

Brama Morawska

I

Tędy. Od wschodu słońca potężne piętrzą się góry
Nie przejdą tamtędy ludzie z sakwami na plecach
Ni konie – a w jukach szeleszczą bryłki bursztynu,
O trudach podróży szepczą i o bogactwie na końcu drogi.
Po stronie zachodu także dzikie podnoszą się lasy,
Tam hordy zbójców czekają, łuk trzeba mieć stale napięty,
Nie spuszczać baczego wzroku z gęstwiny, i nasłuchiwać.
Tędy więc, gdzie szeroka dolina, choć droga tu wyboista,
Woły stąpają ciężko, powoli toczy się wóz.
Mozolnie ciągniemy miłą za miłą i dzień po dniu,
Mijają niedziele, odmienia się miesiąc na niebie,
A koniec podróży daleki.

II

Więc na południe, do krain kultury wina,
Na północ, szukając niezamieszkanymi ziem.
Z misją. Z posłaniem do kogoś. Albo na rozbój.
Z towarem, po towar. Uciekinierzy, szpiedzy.
I całe armie na podbój. I król po królową.
A pierwszy pójdzie taki, co oczy ma czujne,
Chciwy nowego, ciekawy nowych dróg.

Hanna Mierzwa**Noc czarna jak otchłań**

przeraziłam się tej czerni
aż zobaczyłam światelko
w oknie naprzeciw
doznałam nagłej ulgi
ale powiało chłodem
więc zamykam okno
jakkbym chciała ocalić życie

Chyba że tango

po cichutku chodzone
choć muzyka grzmi
jest cisza niezwykła
a muśnięcie policzka
a ciało (ach Boże wcale nie takie mizerne)
jak struna
a oczy
– otwarte
nie Berlin, nie walc
i list był znów
i nie ma mnie

DO 2

Nie widziałas mnie
w tej sukience.
Nie zdążyłam ci powiedzieć
że mój pies za tobą tęsknił
rówieśniczko koleżanko
ciociu
pańciu
samotna
nagle
szczęśliwie
umarłaś
dość strachów
dość nerwów
dość
może jeszcze za mało
ale za to bez upokorzenia

Dariusz Adam Zeller**wiersz marnotrawny**

przez niedomknięte drzwi
roznoślił się z wolna zapach zębów

ciszę rozpraszał skrzyp świerków
pośród której staruszka
z garbem chrustu
nosiła dzień powszedni
jak dobrą nowinę

na ławce w sieni
źle uskrzydłony
siedział syn
czekał.

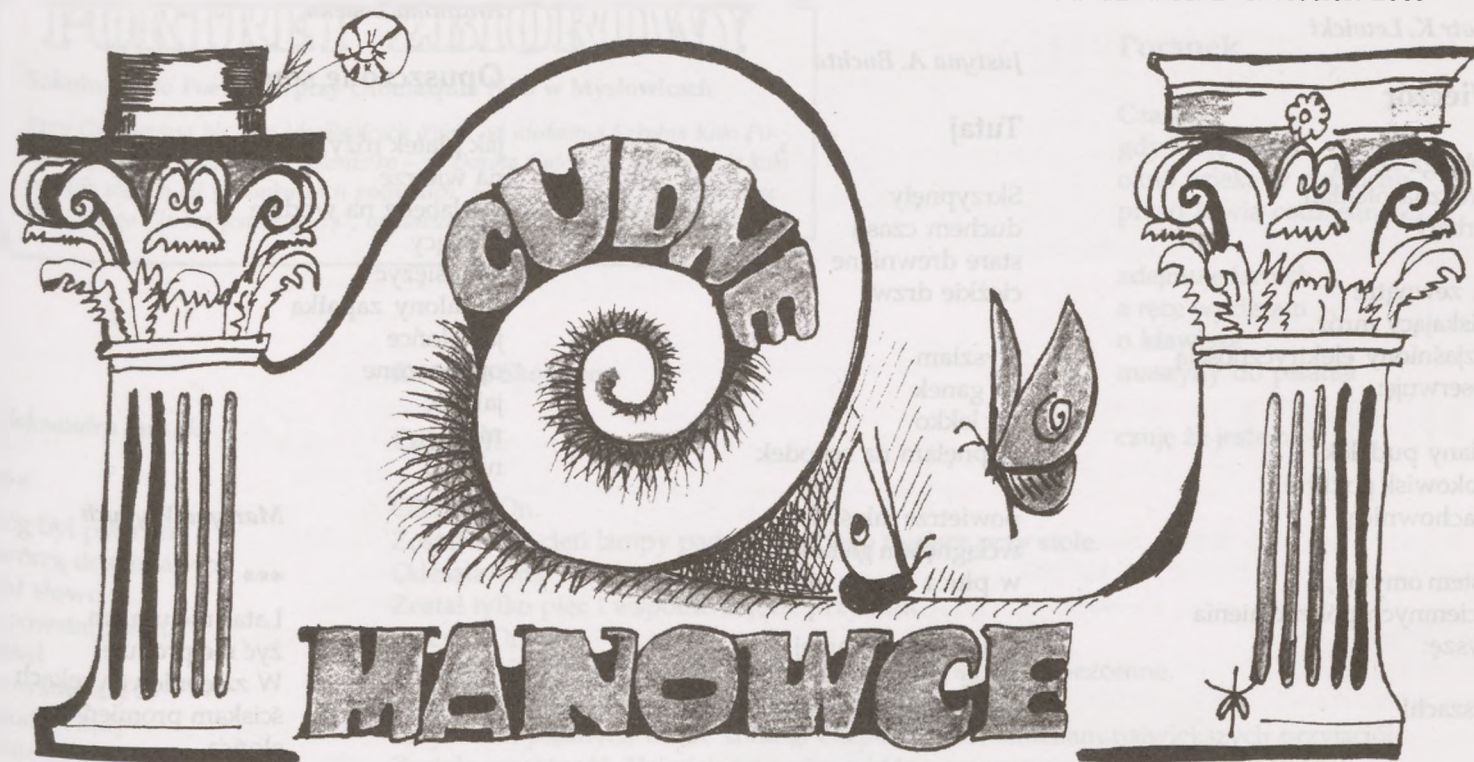
Małgorzata Lewicka**Fraszki na poetę**

– Poeta – cierpi za miliony każdego dnia...
A milionów nie ma!

– O radości, iskro bogów!
Jam jest wolny od nałogów!

– Cicho wszędzie, głucho wszędzie...
Wiersza nie ma i nie będzie!

– Daremne żale i próżny trud
Długopis jeden, a kartek w bród.



Parę słów na dobry początek

„Cudne Manowce” mają już rok! W kwietniu 2002 r. ukazał się bowiem ich pierwszy numer, a tym samym zaczęła się nasza wspólna przygoda literacka. Wiele się wydarzyło w ciągu tego roku: dotarliśmy do dużych miast i małych miasteczek, powstał ciągle poszerzający się zespół stałych korespondentów nadsyłających teksty z różnych stron Polski. Niezawodnych, twórczych, pewnych. Zaprzyjaźniło się z nami wielu wspierających nas duchowo dorosłych. Wreszcie – przyjęły się „Cudne Manowce” w środowisku „Akantu”. Szkoda tylko, że ciągle niepewna jest nasza egzystencja finansowa. A może rocznica jest dobrą okazją, by raz jeszcze zaapelować o pomoc w tym względzie. Czytajcie zatem „Cudne Manowce”, prenumerujcie je, wspierajcie nas, nie tylko duchowo! Mamy już rok – a to jest naprawdę coś.

D. D. L.

Natalia Drozdalska

Psy

Zazdrozczę psom błogiej nieświadomości
która pozwala im
przetrwąć
niezależnie od wszystkiego
co przychodzi z zewnątrz

Zazdrozczę im
ufnego wzroku
i wiary
że pan wróci
za chwilę stanie w drzwiach
dając powód
dla machania na oślepe
ogonem

zazdrozczę psom
że nie wierzą w przeznaczenie
(proste – nie wiedzą o jego istnieniu)

choć przecież
uzależniają się od nas

Nie potrafię być jak pies
włulający pysk
w jestestwo człowieka



fot. Paweł Lisiecki

Jagoda Góralska

przestanę oddychać

na biurku kubek
wypełniony dobrą myślą
na talerzu obok
pustka
wolność
owinięta kolorowym papierem
jak towar w sklepie

Marlena Augustyniuk

z pewnością
łatwo wypowiedzieć wojnę
świata
jeśli jest się
mądrym prezydentem
z globusikiem w rękę
oglądającym nieczytelne
transmisje z pola walki
trudniej pochować
rodziców obok
domu którego nie ma
i utrzymać w rękę
karabin
gdy ma się niecałe
dziesięć lat ...

Piotr K. Lewicki

Wieczór

dobiega końca
mroczna otchłań
herbaty

na zewnątrz
ściskający mróz,
rozjaśniony elektrycznością
obserwuję:

ściany pudełek
blokowisk pokryte
szachownicą

jestem omylny,
z ciemnych pól zaćmienia
słyszę:

– szach!

Maria Zięciak

anioły nie potrzebują
skrzydeł
by latać

anioły
są ludźmi, którzy odeszli
każdy z nas
staje się aniołem
po śmierci

one uczą nas pięknie śnić
i tańczyć piosenkę życia
między niebem a piekłem

śmierć jest tylko drogą
do doskonałości aniołów
jaką posiadają tylko
wiatr i księżyc
i nasze zapomniane sny

deszcz za oknem
upewnia mnie
że one też płaczą

Justyna Rożko

To, co widzisz

Spójrz mi w oczy
Spójrz mi w oczy!
Nie mam już oczu --
Przestraszyłeś się
Zajrzyj w ciemne oczodoły
Opisz to, co widzisz
może widzisz piekło
może przerażającą pustkę
może mnie bez oczu
może nas bez oczu
może...

Justyna A. Buchta

Tutaj

Skrzypnęły
duchem czasu
stare drewniane
ciężkie drzwi

wysłałam
na ganek
tak lekko
stąpnęłam na schodek

powietrze tak świeże
wciągnęłam głęboko
w płuca

i nie wierząc samej
sobie
spojrzałam na Sosny

pomyślałam
jakie to szczęście
że nie czas jeszcze
dla mnie na umieranie

będę żyć wiecznie

Karolina Hau

Umieranie

Jeszcze wczoraj tutaj była...

Karmiła gołębce okruchami chleba,
Okruchami swojego życia.

Dziś już jej nie ma,
Umarła.

To takie proste:

Wczoraj była, dziś jej nie ma,
Wczoraj żyła, dziś odeszła.

To takie proste,

... zbyt proste.

Antonina Lisieka

Opuszczone serca

jak płatek róży
na wietrze
jak labędź na wodzie
płynący
jak księżyc
zapalony zapałką
jak słońce
opuszczone
jak nic
nic
nic!

Martyna Wypych

Latać nie umiem,
żyć nie próbuję.
W zziębniętych rękach
ściskam promień
słońca

Paweł Wacek

Ślub codzienny

Nie chcę iść spać
nie chcę stracić duszy nawet na chwilę
Rano gdy się obudzę
znów stanę przed ołtarzem
światła
i będę brał ślub codzienny
ze słońcem
i tańczył szaleńczo z jego promieniami
tańczył do upadłego

Nasza miłość jest jasna
jej blask potrafi oślepić
potrafi przesiąknąć duszę
i rzucić blade ciało
na blade łożo
na bladą wieczność
na całą wieczność
na każdą chwilę snu
przez sen
co nas odnawia i szykuje
na ślub codzienny
by tańczyć
by żyć chwiać się upadać i wstawać
by wirować w smgach światła

ARS POETICA *Młodzi o swojej twórczości*

Jagoda Górska: Dlaczego zaczęłam pisać? Jeśli mam być szczerą to nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Pisanie przychodzi mi z łatwością. Uwielbiam czytać. Lubię przyrodę. Lubię obserwować – wszystko! Mam duszę, kolorową wyobraźnię. Przede wszystkim nie piszę wyłącznie dla siebie. Jednak na pytanie, skąd mi się to wzięło, odpowiedzieć nie potrafię.

PORTRET ZBIOROWY

Szkolne Koło Poetyckie przy Gimnazjum Nr 3 w Mysłowicach

Przy Gimnazjum Nr 3 w Mysłowicach działa od niedawna Szkolne Koło Poetyckie, którym opiekuje się polonistka – p. Dorota Gajewska. Członkowie koła próbują swoich sił w konkursach poetyckich, są laureatami m. in. Konkursu Poetyckiego "Ja też jestem poetą", organizowanego przez myśłowickie MCK.

Aleksandra Spisak

Bóg był pisarzem
twórcą doskonałym
dał słowo
i powstał świat
pisał
powstawały
wody i lądy
dnie i noce
zwierzęta i ...

przy słowie
człowiek
zawahał się
atrament
popłynął
w tysiące słów:
zły
podły
bezduszny
okrutny
pełen nadziei
litościwy
szukający...

przy słowie
miłość
zawahał się

Katarzyna Jajko

nie zapomniałam
o niej
w klatce

o jej uczuciach
na sznurze
od bielizny
i resztkach wiary
we własne siły

okradziona
zamknięta
w pustym pudełku
obojętności

Miłość

Karolina Skowron

Odeszli

Odszedł On.
Został tylko cień lampy padający na jego miejsce przy stole.
Odeszła Ona.
Został tylko piec i wspólne zdjęcie przy nim.
Odeszli Oni.
Zostały tylko wspomnienia, które teraz wydają się takie bezcenne.
Odeszli Rodzice.
Cały świat pięknych uczuć zniknął bezpowrotnie, straciłam największych przyjaciół
Została samotność. Największy wróg, z którym muszę walczyć do końca życia.

Agnieszka Jurczyga

nie
dopita kawa na stole
kilka niedopałków
w popielnicze
stos rachunków do zapłacenia
i twarz ukryta w dłoniach

dlatego chcę być ptakiem

Katarzyna Jajko

uczę się Ciebie
a Ty
wystawiasz mnie
na czas

próbujesz mnie

wygrywam
przegrywam

nigdy
do końca

Agnieszka Jurczyga

Sen

Usnęłam snem świeżym
jak noc
przykrywszy się gwiazdami
lecz po ćwierćdobie
błękit jaskrawy
rozdzielił rzęsy poziomo
i sen zawarzył się
jak mleko

Agnieszka Jurczyga

Poranek

Czasem
gdy kroję chleb
okno ucieka w popłochu
przed krwią codzienności

zdejmuję fartuch
a ręce wycieram
o klawisze
maszyny do pisania

czuję że jestem

Karolina Orlikowska

Widzę mam

Mam na wyciągnięcie ręki
Nie
Mogę dotknąć poczuć
Nie
W oczach ta twarz

Jestem
Ślepa

Kocham
Tęsknię
Żałuję

Połowy
Zawsze puste
Chcę rozmawiać

Jestem
Niema

Smutek
Za przeszłym
Za teraźniejszym
Za przyszłym

W STRONĘ PROZY

Opowiadanie Moniki A. Frąckiewicz jest okrutnym studium samotności, problemu, jak się okazuje, w naszym świecie podstawowego, który być może trzeba drastycznie wyjaskrawić, by można dostrzec je jako problem.

Monika A. Frąckiewicz

DE ŁOŁ

Wyszli i zamknęli drzwi. Słyszałam tylko odgłos przekręcania klucza. Zamknęli mnie. A może sama się zamknęłam? Nieważne. I tak chcę tu zostać. Nie słyszeć, nie widzieć, nie czuć. Kazali mi się nie ruszać, więc się nie ruszam. Milczę, chociaż tego nie kazali. Oddycham, bo tego nie zabronili. Siedzę pośrodku nicości i głaszczę kota. Jest martwy i zimny, ale ma delikatną sierść.

Ludzie nie słuchają, szczególnie, gdy się mówi coś ważnego. Jeśli słuchają, to i tak nie rozumieją. Kiedy im mówiłam, że mam wszystkiego dosyć, dawali tabletkę od bólu głowy i kazali się nie martwić. Teraz milczę i się uśmiecham – zazdroszczą szczęścia.

Czekam, tylko nie wiem, na co. Tu nie ma zachodów ani wschodów. Nie ma słońca. Jest tylko półmrok i krew na ścianach. Kto był tu przede mną? Kto będzie po mnie?

Obudziłam się i zdałam sobie sprawę, że wcale nie zasypiałam. Jednak śnił mi się krzyk. A może sny to rzeczywistość, a rzeczywistość to sny? Wydawało mi się, że już nie ma kota. Ale on jest moją poduszką. Nie mam prawdziwej, a beton jest twardy. Dopóki kot się nie rozłoży, będę go używała.

W powietrzu nie ma wilgoci. Oddycham stęchlizną. Przyzwyczyłam się. Na podłodze jest krew. Płynie strumieniem od ściany do ściany. Mnie chce się pić. Krew ma dziwny smak. Pewnie jest przeterminowana. Nigdzie nie ma opakowania z datą ważności. Czyja jest ta krew?

Nie jestem sama – mam kota. Kot jest przyjacielem. Jest sztywny, zimny, nie oddycha, ale naprawdę liczy się wewnątrz.

Co jest we wnętrzu kota?

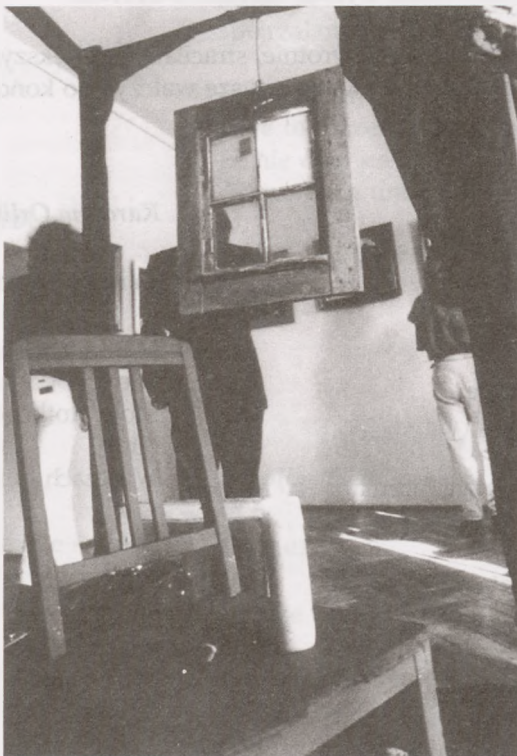
Już wiem. Kot ma w środku flaki. Takie zwyczajne. Straciłam do niego sympatię. Teraz nie ma w nim żadnej tajemnicy. Mam ręce we krwi i kota w kawałkach.

Przyjaźń wymyślili pisarze, a miłość poeci. Nie ma miłości, nie ma przyjaźni, nie ma dobra, nie ma sztuki. Jest tylko egoizm, pożądanie, pozory i słowa. Słowa są piękne i puste, dlatego ładnie brzmią.

Gdzie jestem? Jestem w pudełku. Pudełko nie ma okien. Pudełko ma drzwi: wejściowe i wyjściowe. Nie można wyjść wejściowymi.

Słyszałam, że za drugimi drzwiami jest korytarz. Korytarz prowadzi. Nikt nie wie, dokąd. Jestem ciekawa. Mam klucz. Mogę sprawdzić. Nie sprawdzam, bo wtedy już nie będę mogła wrócić.

Pudełko ma ściany. Dotykam jednej. Jest zimna, sucha, nierówna. Uderzam w nią pięściami, aż się zmęczone i zabraknie mi powietrza. Uderzam głową. Mur jest twardszy. Dopiero wtedy zauważam, że sływa po mnie krew. Pod ścianą jest kałuża. Nie czuję bólu, niczego nie czuję. Niczego się nie boję, nie mam nadziei. Umrę i rozłożę się razem z kotem.



fot. Aleksander Jensko

Anna Rogozińska

żyję tam gdzie nikt nie chce takiego życia tworzę historię zostawili mnie mężem i żoną sama dla siebie pieska i kotka i wszy mam nie pracuję nie uczę się luksus sama od świtu do świtu wciąż znajdując przygody na śmietniku i mam dziurawe rękawiczki ha znajdą mnie kiedyś wystąpię na czarno w telewizji i pochowają z tabliczką NN 2003

Alicja Wątroba

Koniec

Trzymam w ręku czas cyk – cyk –cyk odmierza chwile

Trzymam w ręku czas bombę która musi wybuchnąć

Michał Kučka

stałam przed przyciskiem z napisem: A. Malanowicz domofon warknął na przechodnia zaszczekały schody stałam przed drzwiami numer osiem tam mieszka A. Malanowicz z zawodu babcia Moniki stałam w przedpokoju stanęła w oknie wyfrunęła na dachy bloków na trawnik stałam w kałuży przed klatką gdzie w zamknięciu do dzisiaj więziono Anielę M.

Monika A. Frąckiewicz

MYŚLI Z DROGI

Otwieramy nowy cykl autorski, który zaproponowała Aleksandra Liszka. „Myśli z Drogi” mają w założeniu być zbiorem rozważań na różne, przychodzące do autorki niejako po drodze, tematy. Na początek Aleksandra proponuje garść rozważań o micie Narcyza i istocie narcyzmu.

Aleksandra Liszka

Szczyście Narcyza

Poczucie własnej piękności spłynęło nań
niczym objawienie.
Nigdy przedtem tego nie odczuwał.
O. Wilde „Portret Doriana Graya”

Echa Narcyza

Motyw Narcyza jest nieśmiertelny – chociaż minęło tyle lat od czasów świetności bogów Olimpu – motyw ów trwa, począwszy od „Metamorfoz” Owidiusza, na piosence popularnego zespołu „Łzy” kończąc...

Jakiegoż zamieszania narobiła Afrodyta stwarzając nam wciąż odradzający się biały kwiatek!

Dlaczego właściwie tak jest? Czemu ów niezduły młodzieniec stał się jednym z najpopularniejszych bohaterów greckiej mitologii? O kogo i o co tyle hałasu?

Poczucie własnej wartości

Wszyscy przechodzimy, przechodziliśmy lub będziemy przechodzić piekło, jakim jest autoanaliza, a następnie coś jeszcze gorszego – wyciąganie wniosków, bolesne formowanie się świadomości samego siebie. Większość z nas nie jest genialna, nie legitymuje się wybitnymi osiągnięciami, posiada natomiast przeważnie jakieś wady, czy kompleksy, które nie dają spokoju nie spać po nocach. Zawsze bowiem znajduje się ktoś lepszy od nas, przygniatający swoją wielkością, doprowadzający do rozpacz, wyzwalający zazdrość.

Autoanaliza – to sam na sam z bolesną prawdą o sobie – może zakończyć się:

- rekrutacją do obozu przestępczego (nihilizm w praktyce, prawo pięści)
- ciężką depresją, samobójstwem
- lub zbudowaniem sobie poczucia własnej wartości przez porównanie się ze słabszymi od siebie

Oto siła napędowa istoty ludzkiej, jej wewnętrzna przystań, azyl, zbroja jednocześnie i tarcza.

A gdyby tak pomyśleć, że jest się strategiem lepszym niż Napoleon, ma się witalność Che Guevary, umie się śpiewać lepiej niż Maria Callas... i uwierzyć... wtedy narodzi się istota ucieczna, fascynująca i denerwująca zarazem, nasz Narcyz.

W ujęciu psychologicznym

Niemiecki psychiatra, twórca teorii libido i psychoanalizy, Zygmunta Freud, był zdania, że każdy człowiek do pewnego stopnia jest narcyzem, gdyż to naturalna reakcja obronna i manifestacja woli życia.

Narcyzami są małe dzieci, ale w miarę zacieśniania więzi ze światem zewnętrznym, narcyzm znika. Może powrócić do osoby dorosłej pod wpływem specyficznych okoliczności lub wadliwego rozwoju. Następuje wtedy znaczne przerysowanie granic oddzielających taką osobę od świata.

Jak pisze Erich Fromm: „(...) jedynie ona sama oraz to, co z nią związane mają sens, reszta świata jest w mniejszym lub większym stopniu pozbawiona znaczenia. (...) Osoba narcystyczna cierpi na poważne defekty sądu i zdolności obiektywizacji.” Wpatrzona w siebie „osiąga poczucie bezpieczeństwa, wytwarzając sobie całkowicie subiektywne przekonanie o własnej doskonałości, wyższości nad innymi, nadzwyczajnych cechach własnych.”

Na zbyt krytyczne oceny swojego postępowania, Narcyz reaguje słusznym gniewem, może nawet dotkliwie się zemścić – przeciw fortyfikacje nie mogą runąć, skoro tak pieczołowicie były wznoszone...

Człowiek, który uzna, że sam w sobie niewiele znaczy, także może zostać Narcyzem. Jak to możliwe?

Otóż, może on pomyśleć sobie: „nic teraz nie znaczę, więc będę znaczył przez przynależność” i rzucić się w wir wojny, rewolucji, zacząć walczyć w partii politycznej, kościele, jakiegokolwiek organizacji.

Znakomitym przykładem narcyzmu grupowego jest obecny hurratriotyzm amerykański, a także dawniej postawa ludności nazistowskich Niemiec, która rządzona przez wybitnego demagoga i osobę skrajnie narcystyczną (odczuwającą, jak wszyscy ludzie tego typu, wewnętrzny przymus zdobycia władzy, balansującą na granicy szaleństwa) uwierzyła w swoją nadzwyczajność i wielkość.

Podobne mechanizmy rodzą fanatyzm religijny, od wieków bardzo groźny przejaw grupowego narcyzmu.

Kompleks Wolanda

Bardzo modny obecnie model człowieka sukcesu – pewnego siebie i obrotnego pracoholika – rozpozszechniany przez wielkie korporacje jako ideał, to po prostu promocja narcyzmu, to frommowski „człowiek monokorowy” – czysto racjonalny. Człowiek taki ma stępione emocje, jego pasją są pieniądze, drogie zabawki, prymitywne, aczkolwiek „w nowej aranżacji” przyjemności... Wielbi on samego siebie jako skuteczne narzędzie do zdobywania coraz wyższej pozycji społecznej, coraz większego sukcesu... STOP.

Aczkolwiek cierpi on na deficyt sumienia, jest jednak pod pewnymi względami niesamowity; przez pracę, wytrwałość, pewność siebie. Możemy go swobodnie nienawidzić, ale czy ta nienawiść nie będzie przyznaniem się do własnych nieprzewidywanych słabości?

Ten współczesny ideał korporacji ma w sobie pasję, jest silny, pchają go naprzód nauki Zaratustry z „alternatywnej biblii” Nietschego. Bezwzględny, pragnie jedynie MOCY, znaczenia, chce być Wolandem, wyjść poza bylejąkość, która go otacza. Mamy pełne prawo nim pogardzać, ale... Nigdy nie uczynimy tego z całkowicie czystym sumieniem, bo w głębi duszy każdy pragnie potęgi dla siebie, a to czy ją zdobędzie zależy w dużej mierze od stopnia jego amoralności.

Wszyscy mamy prawo

Świat jest pełen ludzi, którzy stanowią dla samych siebie najwyższą wartość, niezależnie od tego kim są. Może się zdarzyć zarówno narcystyczna fryzjerka, jak i narcystyczna pani profesor. Zapewne zastanawiałeś się nie raz, co jest tak niezwykłego w znajomym, który nie jest ani mądry, ani przystojny, ani nic szczególnego nie potrafi.

Przyjrzyj się jego niezwykłej pewności siebie... Już wiesz.

Rodzimy się z określonymi możliwościami. Nie jest naszą winą to, że nie jesteśmy w stanie skończyć szkoły.

Nie ma też naszej winy, ani zasługi w tym, że mamy jakieś zdolności. Naszą winą, bądź zasługą jest natomiast to, jak wykorzystaliśmy to, z czym się urodziliśmy. Życie nabierze barw, jeśli pokochamy samych siebie, będziemy w stanie więcej zrobić, więcej doświadczyć... dobrze być Narcyzem, on naprawdę jest szczęśliwy – przynajmniej często tak jest. Tylko... Czy leży to w możliwościach wszystkich ludzi? Obawiam się, że większość z nas stworzona jest na publiczność dla Narcyzów...

W każdym razie: spieszymy się kochać samych siebie, tak szybko odchodzimy...

Per aspera ad astra.

Aleksandra Liszka

Maria Zięciak

udawał że jej nie widzi
później uczył ją
taniec był modlitwą
krążyli coraz szybciej
zatracali świat
był tylko on
i taniec
nagle wszystko się skończyło
została w sali bez drzwi
na ścianie był neon
to było twoje życie
wyszeptala
szybciej tańczyć nie umiem

Marlena Augustyniuk

skąd mogli wiedzieć
że labędzie
odpłyną...

a gdyby wiedzieli?
czy zamieniliby ten taniec
w pożeganie?

między nimi
po prostu grał Myslovitz
a teraz brzęczy
nieznośnie do widzenia
którego żadne
nie odważyło się wypowiedzieć
kiedy znaleźli
pogubione pióra

nad brzegiem
przyjaźni

Aleksandra Liszka

Stwarzanie morza

Poskładałam ich cienie
W bezgwiezdną noc
I ciężki monsun
zdyszanych oddechów
– gdy biegli, by doścignąć dzień,
co przed oczyma się skończył

Obrócę palemki ich rąk,
co wyciągają się ku niebu
W purpurę nowych
zachodów słońca

Wezmę ślady ich stóp
Na wątłym piasku
Odcisnę ich kształty
I lzy powstaną solą
Chłodnych bryz
A bicia ich serc
Stłumiony akord
Pulsowaniem fal
Na oceanie

Zużyte ciała rozedmie wiatr
Na krzyk i białe ptaki

Debiuty – Sławomir Klimkowski

Sławomir Klimkowski ma 16 lat, jest licealistą. Mieszka w Ciachcinie k. Płocka. Jest laureatem m.in. VI Ogólnopolskiego Przeglądu Dziecięcej i Młodzieżowej Twórczości Literackiej LIPA 2002 (Bielsko-Biała) i V Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. Leopolda Staffa (Skarżysko Kamienna, 2002).

Sen 1 – 17. 04. 2001

Myłem się

czarna woda
płynęła z kranu
zalewając podarte stronicę
z pisma świętego

Sen 2-27. 04.2001

Malowanie

malujemy ściany korytarza
(czekając na brata)
magicznymi farbami

ostrzegła nas mama
(by magia nas nie zwyciężyła)
ona też potrafi czarować

nagle
zmiana scenerii
sposobem iście bajkowym

piwnica

ściany się śmieją



fot. Aleksander Jensko

Sen 3- 19. 02. 2002

Impreza rodzinna
z niewielką liczbą gości

spotykam się z dziadkiem
w salonowej łazience
samodzielnie urządzonej

później
dostaję samochód
w prezencie
tylko po to
by stłuc reflektor
(w końcu jest
jeszcze jeden)

przy stole
czekamy
nie wiedząc
na co

czy można
zapalić

Sen 5- 27. 03. 2002

starożytna grecja
z bogami i herosami
na moim podwórku

schwytalem xenę
cóż zrobić z heroską

na próbie zespołu
doradzono mi
bym ją trzymał
za nogi

bez przerwy

tylko
po
co

Sen 6 – 18. 03. 2002

Struktura nocy

film rysunkowy
z japońską kreską

jestem jednym z widzów
i bohaterem zarazem

mam piękną dziewczynę
każdy chce ją
zaciągnąć do łóżka

a ona
jak gdyby
nigdy
nic

traci i odzyskuje kolory

21. 05. 2002

✉ POCZTA POETYCKA ✉ POCZTA POETYCKA ✉ POCZTA POETYCKA ✉

Anna W., Bolechowice. Piszesz, że w konfrontacji z tekstami rówieśników publikowanymi na naszych łamach, ogarniają Cię wątpliwości, co do wartości własnych wierszy. Skoro, Anno, wątpisz, to znaczy, że jesteś na dobrej drodze, że uczysz się, nabierasz pewności, że można, a nawet trzeba coś we własnej twórczości zmienić. Myślę, że przede wszystkim w zakresie formy, bowiem to ona nie dotrzymuje kroku Twoim interesującym przemyśleniom. Odnoszę wrażenie, że Twoje myśli utkwily w cudzej skórze. A trzeba, by miały swoją postać. Pozwól im wyzwoić się z zapożyczeń, nie bój się poszukiwać w zakresie

języka i formy. Daj mówić swoim wierszom ich własnym językiem. Będzie dobrze. Powodzenia!

Anka B., Jolanta S., Katarzyna U., Agata z Raciborza. Z nadesłanych materiałów nie skorzystamy, bowiem na druk jest stanowczo za wcześnie.

Wszystkich Autorów współpracujących z „Cudnymi Manowcami” prosimy o aktualizację biogramów.

OKNO Michaliny

Michalina Pruszyńska zaproponowała nam stały cykl etiud literackich o sprawach istotnych i z powodzeniem na łamach tej rubryki realizuje swój pomysł.

Myślenie

Już od kilku godzin siedzę nad książkami, czytam, sporządzam notatki, podkreślam ważne fragmenty. Ale czy ja myślę? I jak zdobywam wiedzę?

Z jednej strony mogę powiedzieć, że przez doświadczenie i wrażenia zmysłowe zdobywam pewne treści. Ale czy przez to, że dotykam książki lub ołówka? Oczywiście, nie. Pojmuję coraz więcej z tego, co przeczytałam dzięki mojemu rozumowi, który przyjmuje nową wiedzę, segreguje ją i dopuszcza do świadomości. Praca mojego umysłu jest jednakże uwarunkowana doświadczeniem (kiedyś trzeba było nauczyć się czytać). A zatem wiedza, którą zdobywam pochodzi zarówno ze źródła doświadczenia i zmysłów (wzrok, dotyk, zapach, smak), jak i z rozumu.

Ale czy ja myślę? Aby mogła zrozumieć siebie, potrzebuję drugiego człowieka do "włożenia" mnie w rzeczywistość – to on musi potwierdzić, że jestem. I że myślę. Proszę Cię udowodnij więc, że myślisz i że ja myślę. Możesz opowiedzieć mi o wiedzy, czy doświadczeniach, które posiadasz w umyśle. Opowiedz o mimice Twojej twarzy (to, że np. marszczysz brwi) jest także tylko zewnętrzną ekspresją myślenia, ale jeszcze mnie nie przekonałeś. Mówisz więc, że

czujesz w sobie, w środku, że myślisz, ale nie umiesz mi tego wykazać. I ja bym nie potrafiła, bowiem udowodnienie swojego wewnętrznego procesu myślenia jest niemożliwością.

I tu pojawiło się kluczowe pojęcie moich rozważań. Wiem, że myślę, to moje subiektywne odczucie. Ale wiem również, że to, co się dzieje w moim umyśle jest procesem. Proces myślenia to pewien zbiór wnioskowania, dedukowania, syntetyzowania, specjalnego oglądu rzeczywistości. Tymi właśnie narzędziami posługuje się mój proces myślenia.

Zazwyczaj dzieje się tak, że wszelkiego rodzaju narzędzia służą do czegoś, a zatem proces myślenia, który zachodzi w mojej świadomości zawsze będzie "myśleniem czegoś". Akt myślenia i przedmiot pomyślany stają się jednym w mojej świadomości, podobnie jak w teorii intencjonalności Husserla.

Nadal pozostaję przy książkach podających mi wiedzę – myślę, bo myślę o tej wiedzy, myślę, bo mam świadomość tego myślenia. I stąd już malerki krok do podstawowego faktu, który mnie warunkuje: myślę, więc jestem.

Michalina Pruszyńska

informacja o tym, jak smakuje zupa jest doświadczeniem
Husserl – filozof współczesny, twórca fenomenologii
centralny punkt filozofii Kartezjusza

Joanna Hołyńska

Słowa

Stoimy naprzeciwko siebie,
Zamyśleni głęboko.
Nie odzywamy się ani słowem.
Słyszymy tylko własne oddechy
I wiatr świszczący w uszach.
Nasze serca biją coraz szybciej,
Lecz nie rozumiemy czemu.
W głowach rodzi nam się tysiąc słów,
Ale nasze usta milczą...
Dlaczego?
Dlaczego żadne z nas się nie odezwie?
Nie potrafimy.
Nie nauczyliśmy się jeszcze słów,
Tych najprostszych.
Boimy się ich.
Stoimy...
Wpatrzeni w siebie,
Głusi na słowa naszych dusz.
Obojętni, zagubieni, nieprzytomni...
I stać tak będziemy przez całą wieczność,
Jeśli żadne z nas
Nie nauczy się mówić...

Jagoda Góralska

kiedyś
przytulimy się
do drzew
nie będziemy już walczyć
nie będzie ognia
tylko krople rosy
w oczach liści

Michał Kučka

niebo istnieje!
wchodzę do niego
na drugie piętro
pod czwórkę
otwieram okno
wpuszczam księżyc
koty
dużo zapchlonego świata
a potem na chmurze
na poddaszu
jestem całą wieczność
i jeszcze trochę

Magdalena Marczyńska

Najpiękniejsza modlitwa

Słyszałam jak klęcząc
szepotała:
Panie, niech Twoje słowo
Zamknie mi usta

MÓJ ŚWIAT

Paweł Trochimiuk proponuje rozważania o percepcji wzrokowej. Czyni to z punktu widzenia Kuby, małego chłopca, który próbuje dociec różnicy pomiędzy postrzeganiem a widzeniem. W wędrówce po sprawach skomplikowanych towarzyszą Kubie ożywione przedmioty. Jego świat pulsuje odkryciami i tajemnicami.

Paweł Trochimiuk

Tajemnica

dla J.

...nie wiecie, że patrzeć jest trudne i skomplikowane (o teraz słowa są nieposłuszne – myśli Kuba, któremu ostatni wyraz nie bardzo się podobają).

Zamykam lewe oko – widzę inaczej. Zamykam prawe – znowu coś innego. A wieczorem stoi w kącie jakiś olbrzym i dopiero mama pomaga mi zobaczyć, że to przecież szafa z ubraniami.

Nie myślcie, że patrzeć to tylko sprawa oczu.

Przecież mama zawsze upomina: *Patrz, co robisz.*

Miej oczy szeroko otwarte – mówi coś z kąta.

A stół (to chyba stół, bo ma okropnie grubą głowę) dodaje: *A kiedyś, jak wylałeś na mnie zupę, mama bardzo się rozgniewała i spytała ciebie: "Czy nie masz oczu?"*

- o, tak się tylko mówi. Ale patrzeć to znacznie więcej niż same oczy – woła Kuba – Zaraz wam coś pokażę.

Idzie do stołu, gdzie leży papier, bierze kredki i rysuje coś szybko:

- Patrzcie – i wyciąga rękę z kartką, na której widać...

- Przepraszam was – dodaje – ja nie umiem jeszcze rysować. Wychodzą mi tylko kreski i kółka. Ale nawet i to jest bardzo skomplikowane – milknie na chwilę, bo wydaje mu się, że teraz dobrze powiedział jakieś trudne słowo.

- Eee, nie bardzo – mówi krzesło. (Stoi najbliżej, więc to chyba ono).

- Kółka, kreski, kropki...

- Coś takiego – obraża się Kuba – to przecież jest auto.

- Tutaj jest kierowca. Z wąsem – dodaje po namyśle.

- Tutaj są kółka

- I potem kierownica

- Nigdy bym tego nie wymyślił – mówi grubo głosem.

- To rzeczywiście skomplikowane. Może do patrzenia wystarczy mieć oczy, ale żeby zobaczyć to wszystko, co narysowałeś trzeba jeszcze czegoś więcej...

Paweł Trochimiuk



PÓLKA Z KSIĄŻKAMI

Tym razem Justyna Anna Buchta poleca niezwykłą książkę autorstwa niezwykle nastolatki – „Dziennik” Anne Frank. Książka ta, w pełnej wersji, ukazała się u schyłku 2002r. nakładem krakowskiego SIW „Znak”.

Alicja Wątroba

Czy wolność istnieje?

Wiliam Wharton, by utrzymać rodzinę pracował w różnych zawodach. Na początku pisał tylko dla przyjemności, a czytelnikami bywali jedynie przyjaciele. W końcu jednak ulegając namowom, wysłał maszynopis do wydawcy. Była to powieść *Ptasiek* uznana za najlepszy debiut 1979 roku. Książka spodobała się krytykom i czytelnikom, a sprzedaż praw autorskich związana z przeniesieniem jej na ekran, przyniosła autorowi 525 tysięcy dolarów. Od tej pory Wharton zajął się tylko pisaniami.

Powieść *Ptasiek* opisuje dzieciństwo pary przyjaciół. Jeden z nich był chłopcem wyjątkowym. Posiadał zmysł niezależności, chroniący go przed zgubnym wpływem otoczenia. Fascynowały go ptaki. Chciał stać się jednym z nich. Pragnął choć raz wznieść się w powietrze, oderwać od ziemskich problemów. W dążeniach tych wspierał go Al. Przyjaciele wiele przeżyli razem. Z czasem jednak ich drogi się rozeszły. *Ptasiek* zamknął się w swoim ptasim świecie. Przestała go zajmować rzeczywistość. Stopniowo zaczął ulegać magii snu, w którym przeżywał różne przygody. założył wyimaginowaną rodzinę. Był ptakiem. Był szczęśliwy. Po ukończeniu szkoły został powołany do wojska. Podczas walki odniósł ciężkie obrażenia. Gdy ranny powrócił do domu, nie czuł się już człowiekiem. Zachowywał się jak ptak. W takim stanie odnalazł go w szpitalu psychiatrycznym Al. On również doświadczył koszmaru wojny. Często odwiedzał Ptasika z nadzieją, że zdoła przywrócić go życiu. W końcu zdołał nawiązać kontakt z przyjacie-

lem. Przyjaciół na nowo zbliżyło spostrzeżenie, że obydwaj tak samo postrzegają siebie i świat. Próbowali więc poznać życie od nowa. Al zwierzał się Ptasikowi ze swojej bezradności: *„Muszę się nauczyć żyć z sobą takim jakim jestem. Szkopuł w tym, że są we mnie całe wielkie obszary, których nie znam. Przez całe życie pracowałem nad obrazem samego siebie. Tylko, że ja nie budowałem od środka: budowałem od zewnątrz, tworzyłem wokół siebie warstwę ochronną. A teraz wielki płat tej szaleńczej konstrukcji został wyrwany. Muszę zacząć od nowa zaglądając do środka, żeby stwierdzić co tam naprawdę jest. Nie wiem czy temu podołam.”*

Wszyscy ludzie są w pewnym stopniu zniewoleni, uzależnieni od innych. Często nawet tego nie zauważają. Książka ta przypomina o istnieniu wolności, pomaga nam zauważyć i ocenić rozmiary własnego zniewolenia, zastanowić się nad sensem życia. Na pewno warto ją przeczytać.

Alicja Wątroba

Michalina Pruszyńska

byłam wczoraj
w swoim umyśle
tylko
nie pamiętam czy
przed snem czy po

Noty o autorach:

Natalia Drozdalska (18 lat), licealistka z Koszalina, laureatka wielu konkursów literackich

Jagoda Góralska licealistka z Lubartowa, laureatka konkursów literackich, autorka wierszy i opowiadań

Marlena Augustyniuk (18 lat), licealistka z Międzyrzecza Podl., autorka tomiku „Dziewczyna z lustrą”, laureatka konkursów literackich, szefowa Międzyrzeckiego Klubu Młodych Twórców „Pióro”

Piotr K. Lewicki (16 lat), uczeń LO nr 2 w Inowrocławiu, laureat konkursów poetyckich, ma publikację w almanachu poet. „Co raz bardziej podziwiam poetów”

Justyna Rożko (16 lat), licealistka z Białegostoku, laureatka VI Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego „Otwórzmy okna” (Aleksandrów Kuj., 2002)

Karolina Hau (12 lat), uczennica SP nr 15 w Mysłowicach, autorka wierszy i baśni, laureatka konkursów literackich

Maria Zięciak (14 lat), uczennica Gimnazjum Nr 2 w Mysłowicach, laureatka konkursu poetyckiego „Ja także jestem poetą” (Mysłowice, 2003)

Antonina Lisiecka (12 lat), uczennica SP nr 3 w Aleksandrowie Kujawskim, laureatka licznych ogólnopolskich konkursów literackich, autorka tomiku „Czuwa nade mną moja gwiazda”

Justyna Anna Buchta (18 lat), uczennica LO w Międzyrzeczu Podl., laureatka konkursów literackich, czł. Międzyrzeckiego Klubu Młodych Twórców „Pióro”, ma w przygotowaniu swój tomik autorski „Wspomnienia opuszczonego ogrodu”

Martyna Wypych (13 lat), gimnazjalistka z Nowin

Paweł Wacek (16 lat), licealista z Brzegu Dolnego, członek grupy poetyckiej „Dlaczego nie ja”, wielokrotny laureat Dolno-brzeskiego Konkursu Literackiego, laureat VI Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego „Otwórzmy okna” (Aleksandrów Kuj., 2002)

Katarzyna Jajko (14 lat), uczennica Gimnazjum Nr 3 w Mysłowicach, wielokrotna laureatka konkursu poetyckiego „Ja także jestem poetą”

Aleksandra Spisak (13 lat), uczennica Gimnazjum Nr 3 w Mysłowicach, laureatka konkursu poetyckiego „Ja także jestem poetą” (Mysłowice, 2003)

Agnieszka Jurczyga (14 lat), uczennica Gimnazjum Nr 3 w Mysłowicach, laureatka konkursu poetyckiego „Ja także jestem poetą” (Mysłowice, 2003)

Karolina Orlikowska (15 lat), uczennica Gimnazjum Nr 3 w Mysłowicach, laureatka konkursu poetyckiego „Ja także jestem poetą” (Mysłowice, 2003)

Karolina Skowron (13 lat), uczennica Gimnazjum Nr 3 w Mysłowicach, laureatka konkursu poetyckiego „Ja także jestem poetą” (Mysłowice, 2003)

Monika A. Frąckiewicz (16 lat), uczennica LO w świetlicy n/Wisła, laureatka licznych ogólnopolskich konkursów literackich

Anna Rogozińska (16 lat) uczennica LOTS w Aleksandrowie Kuj., laureatka VI Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego „Otwórzmy okna” (Aleksandrów Kuj., 2002)

Alicja Wątroba (14 lat), gimnazjalistka z Rudzicy k. Bielska-Białej, autorka tomiku wierszy „Papierowe serduszka”, laureatka wielu ogólnopolskich konkursów poetyckich

Michał Kućka (18 lat), licealista z Oświęcimia, laureat VI Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego „Otwórzmy okna” (Aleksandrów Kuj., 2002)

Aleksandra Liszka (16 lat), mieszkanka Hanuska na Śląsku, uczennica II LO w Tamowskich Górach, laureatka wielu ogólnopolskich konkursów literackich. Autorka wierszy i opowiadań

Sławomir Klimkowski (16 lat), licealista, mieszkaniec Ciachcina k. Plocka, laureat konkursów literackich 2

Michalina Pruszyńska (19 lat), mieszkanka Aleksandrowa Kuj., uczennica LO nr 10 w Toruniu, laureatka konkursów literackich i olimpiad przedmiotowych

Paweł Trochimiuk, uczeń ZSZ Nr 2 w Białej Podlaskiej., członek Klubu Literackiego „Biała”

Joanna Hołyńska (13 lat), uczennica II klasy Gimnazjum nr 20 w Bydgoszczy

Magdalena Marczyńska (17 lat), uczennica II LO w Łodzi, laureatka konkursów literackich, czł. Grupy lit. „Między innymi”

Karolina Kubik (18 lat), uczennica LO SP w Zduńskiej Woli, laureatka konkursów poetyckich, czł. Klubów poetyckich „Topola” i „Od – Nowa”, wydała arkusz poet. „Łazienka w pomarańczowe kwiaty”

Konkurs • Wydarzenia • Spotkania

IV Ogólnopolski Konkurs Poetycki – Prezentacje Ekologiczne Barcin 2003

W konkursie mogą uczestniczyć amatorzy oraz członkowie stowarzyszeń literackich bez ograniczenia wieku.

Prace konkursowe, liczące 3 nie publikowane i nie nagradzane w konkursach twory poetyckie o wątkach ekologicznych, opatrzone godłem, należy przesłać w 2 egzemplarzach do siedziby Stowarzyszenia Ekologicznego w Barcinie na adres: Janina Drajzek, ul. Pakoska 16, 88 – 190 Barcin.

Prace winny być opatrzone godłem.

Termin nadsyłania prac upływa z dniem 30 kwietnia 2003 r.

Ogłoszenie wyników nastąpi w czerwcu 2003r

„CUDNE MANOWCE” - PISMO LITERACKIE MŁODYCH

Redagują młodzi twórcy pod opieką Darii Danuty Lisieckiej (0-54/282 30 97, 87-700 Aleksandrów Kujawski, ul. Lipowa 3B/3)
Współpraca artystyczna i techniczna Ryszard Wojtkiewicz, Arkadiusz Irek, Paweł Lisiecki, Adam Radosz

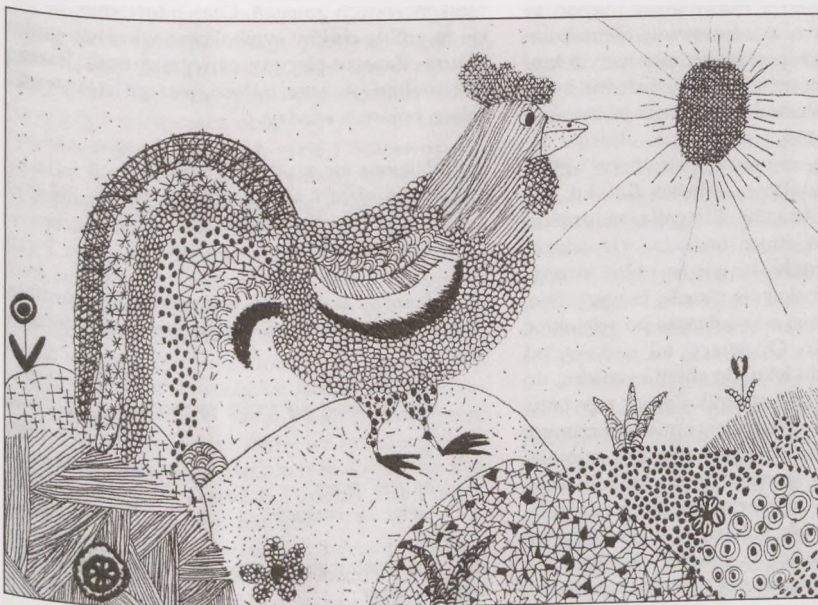
Grzegorz Iniewicz**Ortodoksja**

Ortodoksję zostawiam
starszym paniom co klepią różańce
klerykom co zawsze chodzą parami
wiejskiemu proboszczowi co ma starą kucharkę
i moim przyjaciółom co mnie już dawno opuścili

Z ogarkiem w rękę
na bagnach i moczarach
szukam tego
co we mnie ukryte

Arkadiusz Mika

Dzień przemknął mi szybko po tarczy zegara
Jakby gonił wczorajszy śladami wspomnienia
Będąc listonoszem naszych nadziei
Tych bez adresata i bez odpowiedzi
Noszonych ciągle tylko w jedną stronę...
Jutro nowy przyjdzie aura go ubierze
W żółty kolor mleczy i słońca
W zieleń drzew pierwszą w kolor trawy
Błękitem nieba odbitym w jeziorach
Czerwienią zachodzącego słońca
Będzie również nocą wśród ciemnej otchłani
Pójdzie cieniem dni innych donikąd
Kartką kalendarza zostanie wspomnieniem
W nicości chwil kolejnych

**Maciej Kuczyński****Klepsydra**

Noc wystarczająco ciężka
Zdaje się być dziurką od klucza
Obca miłość w martwych krajobrazach
Rozpruwa wszelkie nadzieje
Jeśli tylko zdołam przebić się do świtu niezauważalnie
Z uwagą przysiadę nad codziennym nieładem
Odwrócę klepsydre czułości
A wtedy już tylko nadstawić dłonie...
... wystarczy na pewno

Wrocław 14/15 listopada 2002

Lilla Latus**11 września 2001**

Tajski restaurator z Ósmej ulicy przyznaje,
że od 11 września wzrosło spożycie alkoholu.
Jest zachwycony. Najbardziej podejrzany jest
właściciel budki z hamburgerami - jako jedyny
nie przypiął nigdzie narodowej flagi.
Producenci patriotycznych gadżetów
ze łzami w oczach sprzedają Amerykanom
ich własne sny. Nowojorczycy wykupują
maski gazowe i przepowiednie Nostradamusa.
Matka bliźniaków w śmietniku znajduje
nietkniętą puszkę coca-coli. To jest to.
Bardziej niż węglika boi się koperty z rachunkami.

God bless America!

Galatea

usłyszałeś mój głos
dobywający się ze środka

tak długo spadałam ci
z serca
aż uwierzyłeś
że marmur z Carrary
będzie miał odcień
mojej skóry

dzięki tobie przetrwałam
wszystkie zlodowacenia
nie omszałam
nie stałam się niczym głazem

mój Pigmalionie
skąd wiedziałeś
że w środku kamienia jest kobieta?

Joanna Ładanaj

Spójrzeć z drugiej strony

Mam przed sobą niepozorną książeczkę będącą debiutem literackim ANNY MAKLES pod tytułem „*Druga strona*”. Zbiór krótkich opowiadań pisanych w pierwszej i trzeciej osobie porusza tematykę aktualną, bo egzystencjalną: *miłość, szczęście, tożsamość, osamotnienie, lęk, rozczarowanie*.

Można by powiedzieć, że przecież to wszystko już było analizowane; ciągle się słyszy jakieś bełkoty o życiu, które zamazują jeszcze bardziej obraz, który ze swej natury nie jest jednoznaczny. O miłości tyle już napisano, po co w takim razie czytać o niej po raz kolejny. Można by mnożyć te pytania, ale świadczy to tylko o tym, że zagadnienie, jakim jest egzystencja ludzka przypomina studnię bez dna. Rozpatrywana z punktu widzenia nauki, filozofii, literatury pozostaje i tak niezgłębiona.

Co ciekawe, autorka pisze o dwóch Manu-elach. Posługiwanie się tym samym imieniem w opowiadaniu o różnych, młodych kobietach, pobudza do namysłu. Może to jest jedna i ta sama postać widziana z dwóch perspektyw? Jedna z nich jako depresyjna, zagubiona, byłaby rewersem drugiej - odznaczającej się pogodą ducha i poczuciem humoru. Takie skojarzenie może się nasunąć, tym bardziej, że obydwie Manuele płynnie przeplatają się w pewnych wątkach.

Pierwsza Manuela nie czuje twardego gruntu pod nogami w konfrontacji z rzeczywistością. Pozostaje tak naprawdę dużym dzieckiem potrzebującym ciągłego wsparcia, którym najpierw była matka a obecnie mąż. Nie może zaakceptować siebie takiej jaka jest, czyli nieśmiałej, pozbawionej pewności siebie. W środowisku szkolnym, w którym pracuje, zachowuje się biernie, podobnie jak w świątku studenckim, w którym „*włączanie się do rozmowy na poziomie lakieru do paznokci było męczące*”. Powtarza w ten sposób scenariusz z dzieciństwa: stanie na uboczu zamiast zabawy z rówieśnikami.

Druga Manuela podchodzi z dystansem do

tego, co dzieje się w jej życiu, tym samym z dystansem do samej siebie. Gafy popełniane w dzieciństwie, traktowane wówczas jako tragedie, dzisiaj wydają się jej zabawne. Zdaje sobie sprawę ze swojej naiwności, zaślepienia w relacjach damsko - męskich, choć z drugiej strony nie podważa wartości miłości. Mimo przykrych doświadczeń nie traci uśmiechu na twarzy. Należy do osób komunikatywnych, umiejących słuchać innych, dla których uczucie empatii nie jest czymś abstrakcyjnym.

Dzięki tendencji autorki do psychologizowania czytelnik wkracza w świat mentalny, uczuciowy postaci. Zapoznaje się z lękami, niepokojami egzystencjalnymi, które przybierają koszmarnie obrazy w snach; z problemem porozumiewania się wypieranego przez monolog; z poszukiwaniem własnej drogi życiowej; z nadzieją na inne życie; z różnym znaczeniem miłości między kobietą a mężczyzną. Miłość bowiem - jak pisze Anna Makles - jest w stanie nie tylko uskrzydlać, ale też unieszczęśliwiać; pozwala nie tylko rozwijać się osobowości, ale też zatrzymywać ją na pewnym poziomie.

Opowiadania przybliżające sylwetkę jednej z Manueł przekonują, jak dzieciństwo i dojrzewanie może determinować dorosłe życie, jak nieśmiałość i nieporadność dziecięca może mieć swoje przedłużenie w późniejszym okresie. Narastające poczucie wyobcowania w małżeństwie, w pracy, jest w znacznym stopniu wyniesione z domu rodzinnego, w którym własne zdanie czy własna decyzja nie miały racji bytu. Przez zbytnią wrażliwość wszelkie niepowodzenia odbierane są bardzo dotkliwie. Krótko mówiąc: życie wyraźnie przerasta młodą nauczycielkę. „*Istnieje na świecie gatunek kalekich osób, które nigdzie nie są u siebie, mają dom, a jednak są bezdomne, zupełnie jak ślimaki, którym wyrwano muszlę*”.

Bardzo dobrze czyta się fragmenty, w których autorka z rozbijającą szczerością stosuje

autoironię i związaną z nią autorefleksję. Jest na przykład taka zabawna scena, w której zauważa jakiegoś „*intruza*” w domu: „*Jak na kobietę przystało na wszelki wypadek wskakuję na krzesło. To mógłby być jakiś 'obcy' albo nawet i pajak!!! Zastanawiam się (tak, tak, panie też czasem myślą, szczególnie, gdy stoją na podwyższeniu; to daje szerszy pogląd na sprawy egzystencjalne), czy ewakuować całą dom. Jednak nie. [...] Nachylam się, wyciągam szyję jak najdalej potrafię (a potrafię naprawdę daleko, choć rozciągliwość szyi kobiety nigdy nie dorówna rozciągliwości jej ucha) i obserwuję*” (s. 43).

Z niegasiącym dowcipem - choć złośliwym - komentuje wyzwanie, jakim bywa dialog z mężem, zwłaszcza wtedy gdy ten, pogrążony jest w seansie telewizyjnym: „*Kobieta nigdy nie wygra z telewizorem. Mężczyzna jest wzrokowcem. Swoją babę już sobie dokładnie obejrzał (zazwyczaj już przed ślubem - przecież nie będzie brał kota w worku, trzeba sprawdzić jakoś towaru), teraz chce popatrzeć na inne dziwolągi. Poza tym, telewizor można zawsze wyłączyć, albo chociaż zmienić program. Zony się nieestety wyłączyć nie da, o wymianie jej na inny egzemplarz też raczej nie ma mowy*” (s. 45).

Bez pardonu autorka wypowiada się na temat własnego pisania, o chwilach zwątpienia, niemocy twórczej, o tym, w jak głębokiej korelacji jest tworzenie z samooceną tworzącego. Wyrzucając świeży tekst czuje oczyszczenie, później jednak niepokoi ją mała ilość zapisanych kartek papieru.

Pani Anno, podtrzymujące na duchu mogą być tu słowa Wisławy Szymborskiej, która zapytana niegdyś, dlaczego tak mało pisze odpowiada, że wręcz przeciwnie, tyle tylko, że ma ładny kosz na śmieci.

Mimo, że odbiorca płci brzydkiej już po kilku stronach sklasyfikuje książkę jako babską prozę, może pofatygować się i przeczytać ją od deski do deski - tym bardziej, że ten zbiór opowiadań nie należy do grubych pozycji. Ze względu choćby na wrażliwe postrzeżenie rzeczywistości, refleksję dotyczącą różnicy płci, jak i rzadką umiejętność śmiania się z siebie, której Annie Makles nie brakuje, warto sięgnąć po „*Drugą stronę*”.

Anna Makles, *Druga strona*, Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, Bydgoszcz 2002, ss. 70

Monika Różewicka

Cierpienie i miłość

Minęło kilka lat od poetyckiego debiutu STANISŁAWY DELUGI w wydaniu książkowym. Tomik „*Wychodzenie z cienia*” po raz pierwszy pozwolił nam wejść w krąg wrażliwości poetki. Wtedy to banalna codzienność powróciła do nas zamknięta w pięknie prostoty, subtelnym, choć nie pozbawionym zmysłowości. To rzeczywistość w oczach człowieka szukającego, złaknionego uczuć, prawdy, zachwyty; człowieka bezbronno wobec upływu wszechmocnego czasu; człowieka niezwykłego w zwyczajności, odważnego w swej delikatnej kruchości, zbudowanego z rzeczy, w oczach obojętnego świata, nieważnych.

Kolejny tomik „*Staccato*” przypomina, że proces „*wychodzenia z cienia*” trwa, że cicha walka o siebie toczy się nieprzerwanie; jest jak prawo i obowiązek, który tak często przynosi zmęczenie i cierpienie, zamiast oczekiwanych, choćby małych, zwycięstw.

Zeszlóroczny tomik jest tryptykiem zbudowanym z cyklu „*Staccato*”, wybranych wierszy z cykli: „*Wychodzenie z cienia*” i „*Faktury zachwyty*”. Wszystkie utwory zdają się być połączone niewidzialnymi, a jednak oczywistymi wstawkami powiązań, dając obraz ciągłości i konsekwencji tak formy jak i, a właściwie nade

wszystko, treści poetyckiego świata, swoistej wierności dla obranej postawy wobec słowa i uczuć. Te wstążki to chybotliwe, a jednocześnie nieuniknione ścieżki, po których podążamy niepewnym krokiem przez świat, przez czas. „*Wychodzenie z cienia*” to odwaga odnalezienia i określenia siebie; wiara, mimo przeciwności, jasna i silna. „*Faktura zachwyty*” jest miłością, zmysłową, pełną barw i pięknych, bogatych kształtów, radością dotyku, bajecznym światem obrazów Chagalla, mądrością ciała, spokojną siłą, mocą trwania. Ale ścieżki prowadzą dalej, rozchodzą się w różne strony. Ktoś Nienazwany nakazuje przejść je wszystkie, skazując na błędzenie, odwieczanie po wielokroć tych samych miejsc. Od wiary, od nadziei, od miłości, od buntu, do lęku, do chwil bezruchu, do bezradności, kiedy wykrzyknik i znak zapytania nie mają racji bytu. Wędrujemy niezmiernym labiryntem, kierowani niepewną mapą człowieczeństwa. Tytułowe staccato rytmu kroków, serc, wątpliwych myśli odmierza tempo wędrowni. Dźwięk to budzący lęk, bolesny w pięknie śpiewu skowronka, paraliżujący w smutku „*jesiennej szarugi*” kołyszącej okiennicami wyżnionego domu, w podmuchach wiatru „*nawiewającego kurhan*” beznadziejny. Gdzieś w granicach trwania tej bolesnej muzyki zamknięta została rezygnacja. Ja-

sne spojrzenie na świat, nawet przez pryzmat cierpienia, z „*Wychodzenie z cienia*”, zostało dopełnione w „*Staccato*” przez zwątpienie, wyznaczając pełnię ludzkich doznań. Nie zabrakło tu piękna wyluskanego mądrymi oczyma, piękna koniecznego do życia jak powietrze, zakłętego w przyrodzie, w poetycko-malarskich reminiscencjach. Coś się jednakże zmieniło, wyłoniono ostatecznego zwycięzcę, choć wiedza ta wcale nie uwolniła od nieskończonych zmagania. Czas udowodnił, że życie to groby, choćby symboliczne wiosenne groby natury. Zawsze płacimy najwyższą cenę. Jeszcze jest piękno, jeszcze miłość, jeszcze ciekawość, mimo bolesnej wiedzy:

Nikomu nie przekazasz wiedzy
Tylko płacz i swój dotyk
Musisz na nowo stworzyć
Swą nieskończoność i początek

Jeszcze ta nie dla wszystkich zrozumiała chęć bycia człowiekiem, ten przymus człowieczeństwa :

Idę by świat się wciąż zaczynał
.....
idę
bo jeśli stanę
świat się rozsypie

To wystarczy, to najwięcej co można zrobić, myśleć, czuć.

Stanisława Deluga, *Staccato*, Bydgoszcz 2002, Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, ss. 60

Tadeusz Lira-Śliwa

Sfera niebieska

Pisarze wyprowadzają się z dużych miast... Szukają spokoju w górach. Dużą popularnością cieszą się Sudety. W Nowej Rudzie mieszka Karol Maliszewski. W okolicach tego melancholijnego miasteczka – Olga Tokarczuk. Natomiast w Starym Gieraltowie w Sudetach Wschodnich „zaszył się” ANTONI MATUSZKIEWICZ.

Autor zbioru wierszy pt. „Błękitne przeciwstawienie” (2001) urodził się we Lwowie w 1945 roku. Studiował historię na Uniwersytecie Wrocławskim i muzealnictwo na Uniwersytecie Jagiellońskim. Pracował w dolnośląskich instytucjach kulturalnych. Był dziennikarzem i wydawcą. A. Matuszkiewicz jest autorem kilkunastu zbiorów wierszy i opowiadań. Duży rozgłos zdobyła jego książka pt. „Subatlanty” (IW „Świadectwo”, Bydgoszcz 2000).

Wiersze zamieszczone w „Błękitnym przeciwstawieniu” można odczytać jako filozoficzny dialog toczony z samym sobą w obecności Boga. Oczywiście, autor wie, że filozofia nie jest... poezją. Filozofia to wyjaśnianie pojęć przez ich logiczną analizę; nie ma w niej miejsca na język metafor. Natomiast terenem eksploracji poetyckiej jest świat realny i jego metafizyczna nadbudowa.

Z bogatym językiem metafor mamy do czynienia w wierszu pt. „Na głębokości”: „słychać huk kry serce/ sosny pękające z zimna” (s. 7). Te dynamiczne wersy „rozsadzają” bohatera lirycznego:

Przedemną okno
otwarte

Stożce znika
pozostają słoneczniki

Odcisnięte na cząsteczkach tlenu
oddechy średniowiecznych istot
zmyślonych wymarłych
w plejstocenie

Tak, w wierszu „Na głębokości” dominuje perspektywa antropologiczna. Podmiot liryczny jest tutaj usytuowany już nie tyle w strukturze społecznej, co w wymiarze historii naturalnej. Bohater dociera do „kamiennych schodków” i... dalej już nie idzie, ponieważ „na głębokości” jest „wilgotna ziemia”, a nawet „Dno oceanu bezsenne/ gorejące gałązki lawy” (s. 7).

Podobne (awangardowe) obrazy można znaleźć w wierszach Mariana Jachimowicza. Autor tomu „Ścieżką konieczną” (1957) nawiązywał w swojej twórczości do wielkiej tradycji „faustycznej”, przymierzanej do współczesności, by pomóc człowiekowi odnajdywać swoją „prze-strzenność kosmiczną” (określenie M. Jachimowicza).

Czy A. Matuszkiewicz rozwija niektóre tendencje awangardowej poetyki? Myślę, że autor „Gór Kamiennych” (1986) idzie osobną ścieżką. Jest to odważny poeta-wędrowiec. Naraża się bowiem na brak zainteresowania ze strony dużej części krytyki. – Dlaczego?... Bo jego twórczość poetycka jest trudna ze względów formalnych i językowych. Można powiedzieć, że „wygląd” tej poezji jest konstruktywny i intelektualny. Co ważne, twórczość A. Matuszkiewicza stawia duchowe wymagania: „Dajesz się podnieść/ czy podniecasz jeszcze?” („Orion”, s. 13). Przypomina też gorzkie prawdy o nas samych:

Kim jesteś
człowieku niebieski?

Ukrzyżowanym
czy płodzącym ciemność?

(...)

Brzemień bierzesz czy czynisz Ziemię sobie
brzemioną?

(s. 13)

Nie będę ukrywał, że w „Błękitnym przeciwstawieniu” znalazłem kilka rozwlekłych utworów, np. „Pejzaż kresowy”: „Po brzeszczotach paproci rym się z rosy niesie/ wiesz że Leśmian ze Wierzyński śnił w tym lesie” (s. 25). Podejrzewam, że nasi klasycy mają niespokojne sny, ponieważ „plonie zieleń wrzą sosny czerwone” (s. 25). Na szczęście, autor nosi bliskie klasycom przeswiadczenie o wartości dyskretnego tonu w poezji, jak choćby w wierszu pt. „Wobec czerwieni”:

Mężczyzna we mnie powiedział oto prawda
promień ostateczny zarys widnokrąg

(s. 60)

W „Błękitnym przeciwstawieniu” znalazłem kilka utworów, w których podmiot-poeta jawi się jako bezradny świadek rzeczywistości. Oto jeden z takich wierszy pt. „Sens”:

Nie pamiętam twarzy miejsce pełen emocji
sens cmentarz czterdzieści lat temu mówi
byłam w ciąży wziął mnie
na ręce niósł przez śnieg
do wioski dziewięć kilometrów

(s. 19)

Tak, w „księdze uduchowionej” A. Matuszkiewicza jest kilka „prostych” wierszy, w których podmiot-poeta przestaje być nauczycielem ezoteryki. Nie podsuwa Czytelnikowi „jedynie słusznego” rozwiązania... Poeta jest tylko uczniem „w szkole świata”; uczniem, który zrozumiał „banalne” przesłanie: „Świat jest miłością” („Błędne skały”, s. 65). Taką prawdę znalazł poeta A. Matuszkiewicz po wielu latach poszukiwania sacrum w różnych religiach i znakach kultury duchowej.

Antoni Matuszkiewicz, Błękitne przeciwstawienie, Wydawnictwo „Mamiko”, Nowa Ruda 2001, ss. 84

Stanisław Chyczyński

44 razy Wiercioch

Pisarz, publicysta, filozof i polityk z Nowego Targu, prezes Stowarzyszenia Aforystów Polskich, WOJCIECH WIERCIOCH opublikował ostatnio dość opasłą książkę pt. „44 wybory, czyli 77 udręceń i ukojeń”. Tytuł to znamienity dla kogoś, uwielbiającego symboliczno-magiczną wymowę liczb (przypominam: podtytuł jego poprzedniego tomiku brzmiał „666 aforyzmów”). Książka to wielce nietypowa dla rodzimej literatury, gdyż mieszcząca obszerny zbiór sentencji, opowiadania i humoreski, eseje i felietony, powiastki filozoficzne, a nawet dwie krótkie sztuki sceniczne. Jako taka sprawia wrażenie czegoś w rodzaju opus vitae, albo inaczej – sumy wiedzy i życiowej mądrości autora. Pod tym względem kojarzyć się może z „Albo-albo” Kierkegaard, „Twierdzą” Saint-Exupéry’ego czy „Fabularasa” Stachury. Wiercioch zaopatrzył swoje dzieło aż w sześciokrotne motto oraz eseistyczny wstęp, w którym dowodzi, że aforyzm będzie „gatunkiem literackim XXI wieku”. Jego rozumowanie jest przekonujące, wszak nerwowe życie w globalnej wiosce wymusi na twórcach maksymalne znakomicie się do tego nadaje.

Lektura „44 wyborów...” ujawnia filozoficzne wykształcenie nowotarskiego literata, który niedawno uzyskał tytuł doktora w tej elitarniej dziedzinie. Wojciech Wiercioch jest autentycznym erudyta, przeto swoje dzieło naszpikował do granic możliwości różnymi cytatami, popularnymi afo-

ryzmami, maksymami czy literackimi aluzjami. Ze względu na owo nasycenie (niekiedy ocierające się o przesyt) cudzym dorobkiem intelektualnym, książka Wierciocha przypomina najsłynniejsze dokonania Waldemara Łysiaka, w rodzaju „MW” czy „Samotnych wysp”. Zapewne błyskotliwością stylu, autor „W ogrodzie wężomóżgowa” nie dorównuje jeszcze Łysiakowi, ale zdaje się go przewyższać kreatywnymi ambicjami, głównie w zakresie stricte filozoficznych idei, tudzież problematów. Dlatego nierzadko parafrazuje cudze myśli, pomysłowo je rozwija lub twórczo (czyt. krytycznie) komentuje, starając się przyoblec swe wywody w najatrakcyjniejszy kształt. Przychodzi mu to z łatwością, skoro jest obecnie jednym z najwybitniejszych polskich aforystów.

Gros uwag i spostrzeżeń Wojciecha Wierciocha charakteryzuje się wyrafinowanym humorem lub zakamuflowanym sarkazmem („Zbawcza moc Słowa: Na krzyż z Nim”, s. 65). Właśnie komiczno-satyryczny aspekt dzieła Wierciocha stanowi niebagatelną wartość, skorelowaną tutaj z aspiracjami jawnie moralizatorskimi. Lwia część konstatacji i komentarzy odautorskich to po prostu pouczenia i praktyczne wskazania, serwowane ze śmiałością jednego z siedmiu mędrców greckich! Od zarania naszej cywilizacji starożytni polihistorzy usiłowali maluczkim ułatwić dokonywanie ważkich wyborów życiowych, w oparciu o dostępną naówczas mądrość ponadindywidualną (lub osobistą). Wiercioch odważnie podejmuje się analogicznej roli w czasach, kiedy pospolici bywalcy internetowych kawiarenek przestali się liczyć z wszelkimi duchowymi, etycznymi czy narodowymi autorytetami. Mało tego, większość najpoczytniejszych pisarzy współczesnych, jak diabeł święconej wody, unika jakich-

kolwiek mentorskich ciągłotek – w imię bezdusznej neutralności światopoglądowej. W takim kontekście artystyczna postawa Wierciocha imponuje odmiennością i asertywnością, chociaż nie przysporzy mu sympatyków w szeregach feministek, kosmopolitów i postkomunistów (vide: „Na prawo patrz”).

Wojciech Wiercioch jest patriotą, dlatego wyszydzając nasze wady i słabości narodowe, krytykując wybrane orientacje polityczne, identyfikuje się z Matejkowskim Stańczykiem (por. ilustrację na IV str. okładki). Niekiedy zaś – piętując wady i przywary ogólnoludzkie – postrzega siebie w roli... arlekina, zasepionego nad kieliszkiem absyntu; stąd reprodukcja słynnego obrazu Picassa na czole okładki. To, oczywiście, domniemanie, acz oparte na wyraźnych przesłankach. Zapaszek ironizującej megalomanii daje się odczuć dopiero w momencie, gdy bohater „Trzech teatrów” wymienia Wierciocha jednym z największych światowych dramaturgami (vide s. 294). Również wiele innych socjotechnicznych chwytów świadczy o tym, iż autoreklama w stylu amerykańskim nie jest obca twórcy „44 wyborów...”. Najwyraźniej nie grzeszy on fałszywą skromnością.

Nowe dzieło Wojciecha Wierciocha na pewno nie jest przeznaczone do jednorazowej lektury: trzeba do niego wracać, wertować. Zawarty w nim potencjał intelektualny to słuszny powód do dumy dla autora o istic renesansowej osobowości. Wiercioch zdaje się podążać śladami genialnego Witkacego. I przyznać trzeba – jest na dobrej drodze do sławy.

Wojciech Wiercioch, 44 wybory, Wydawnictwo „TS w Polsce”, Kraków 2002, ss. 450

Stefan Pastuszewski

Byli tacy ludzie, byliśmy...

Nie ma to jak powieść realistyczna! Jest świetnym dokumentem swoich czasów, znacznie lepszym niż przepastne archiwa i skrupulatne prace naukowe. Bo tylko ona jest w stanie kazać człowieka w przeróżnych jego uwarunkowaniach, w otoczeniu i na tle, człowieka będącego z jednej strony – gatunkowej – uniwersalnym owocem natury, z drugiej zaś – osobowej – produktem swojej epoki i swojego miejsca.

Najlepsza chyba powieść WIESŁAWA ROGOWSKIEGO (1930-2002) pt. „Miasto”, napisana w latach 1957-1958, a wydana dopiero – co znając tamte czasy nie jest wcale dziwne – w 1961 roku, należy do typu powieści popaździernikowych. Nasyca ją bunt, często nieukierunkowany, silnie zabarwiony tak modnym wówczas cierpieniem egzystencjalistycznym, oraz krytyka, nie, nie, systemu (socjalizm-tak, wypaczenia – nie!), ale tak zwanych warunków lokalnych („w tym mieście nie można nie zrobić nic wielkiego. Zabija człowieka swoją obojętnością, atmosferą, senną i nieżyczliwą”). Inkrustowana jest odważnymi, zważywszy na socjalistyczny purytanizm sygnałami o biologicznym życiu wewnętrznym człowieka („Tańczący zdali mu się jakąś rytmicznie drgającą masą, spletem ciał, niczym więcej, tylko odzianymi bryłami ruchliwego mięsa, trącymi się niecierpliwie w oczekiwaniu rozkoszy”, „Ona budzi w nim po prostu pociąg, wzmagający się przez to, że należała do innego”, „Gdyby chociaż ona była ładniejsza przespałbym się z nią”, „Dostrzegła podniecenie partnera, w pierwszej chwili nie wiedziała, co się stało, dopiero po sekundzie odczuła może bardziej niż rozumiała, że ona sama jest przyczyną tego stanu”).

Ta inkrustacja samoograniczającym się erotyzmem, ale pojawiająca się przez cały ciąg powieści, oddziałuje silniej na wyobraźnię niż współczesne, amorficzne prozy, już od okładki pachnącej spermą i lubratico. Tak samo jak opisy choroby alkoholowej („To nędzne trwanie z bólem głowy i wieczną ochotą na wódkę kochał mimo wszystko”, „Każdą tkankę rozżarzonych do koloru krwi mięśni chciała być nasycona”) są bardziej przekonujące niż ozdobione liśćmi bobkowymi bełkoty Jerzego Pilcha w „Pod mocnym aniołem”. I bardziej humanistyczne, bo mimo wszystko człowiek, nawet ten z rynsztoka, to nie zwierzę i należy mu się szacunek w formie powściągliwości i przemilczenia.

Ograniczona cenzurą i autocenzurą, ale też chyba romantyczną wiarą w człowieka, realistyczna powieść popaździernikowa zdaje się więc być prawdziwsza niż werystyczne „ćwiczenia gimnastyczne” młodych filologów trenujących na lamach „Studium” czy „Undergruntu”. Trochę razi natomiast sztucznością podział na „nas” i „nich”, postępowych i katolików, prowincjuszy i centraluszy („Za dwa-trzy lata odszedłbym gdzieś indziej, do Krakowa albo do Warszawy, liczone by się już wtedy ze mną”, „Pamiętał, że nie wolno mu się kompromitować, pijacki krzyk dotarłby na skrzydłach do Warszawy. Koniec kariery”).

Ale jednak świat PRL-u, czy to bierutowskiego czy „odnowionego”, był sztuczny, zbudowany według zasad bizantyjskiej hierarchiczności, z czego oczywiście po dziś dzień korzysta, wniesiona na niebotyczne szczyty rangi i zasobów finansowych, Warszawka. Bo co jak co, ale gród Syreny jest wciąż najbardziej PRL-owskim miastem w Polsce, miastem-pasożytem (obecnie trwa zabieranie, dla pieniędzy oczywiście, jedynego w Bydgoszczy banku z centralą poza Warszawą – Banku Poczтового).

Hierarchiczność PRL-owskiego, prowincjonalnego światka deprawuje młodych – gniewnych: „Teraz wiedział już także, że na przejrzysty, jasny schemat życia nanieść trzeba własnoręcznie siatkę ob-

razującą grę sił i interesów ludzi, z którymi obcował, z którymi musiał się liczyć. Dopiero taka mapa była prawdziwa (...) Tu walka idei była popolitą walką osób” (s. 35 i 75).

Aż prosi się zapytać, czy dzisiaj jest inaczej? Wydaje się, że o tyle inaczej, o ile wchodząca w życie młodzież posiada silniejszą zdolność adaptacji i mimezy... Idealy? Kto dziś myśli o ideałach, kiedy 3 x S czyli szmal – sukces – seks stały się treścią codziennej krzątania.

Sztuczne problemy i sztuczne więzi występują w światku dziennikarsko-literackim, w którym toczy się akcja „Miasta”. Mało przekonująca jest też zawiązana intryga, oparta o motyw spotkania w rocznicę samobójczej śmierci jednego z tuzów tutejszego środowiska (pierwowzorem był Stanisław Mędelski, który nie wytrzymał ciśnienia oczekiwań i zawiści w związku z wyborem na kandydata na posła w popaździernikowych wyborach). Ale przecież autor „Odmiany” musiał przeciwko czemuś zaprotestować, zbuntować się, coś negatywnie ocenić, gdyż taka była poetyka (normatywna?) powieści popaździernikowej. Ponadto – zgodnie z dotychczasową poetyką normatywną socrealizmu – trzeba było swoich bohaterów (prowincjonalny dziennikarz-pijak, trochę mniej pijący dziennikarz robiący karierę w stolicy, brzydka jak noc dziennikarka, też pijąca, nadęty lokalny poeta) skonfrontować z problemem moralnym: czy samobójstwo jest ucieczką czy bohaterstwem („Czas bohaterów odszedł dawno”).

W. Rogowski wprowadził też wątek kryminalny, ale przede wszystkim postawił retoryczne pytanie o sens dziennikarstwa komentującego i urabiającego: „Był pełen zapału, naiwnej wiary. Wyobraził sobie, że każdy artykuł, jaki napisze zmieni choć w nieznacznej części nurt życia, odcisnie na nim przynajmniej jakiś wyraźny, odczuwalny ślad” (s. 74).

Ale zaraz potem pojawiają się jednoznaczne stwierdzenia, że czytelnicy gazet potrzebują tylko faktów. I to z brudniejszej strony świata. „To jest obliczone na mentalność umiejscowioną na wysokości narządów płciowych, najwyższej żołądka (...) Ludzie lubią takie rzeczy, przepadają za tym” (s. 37). Autor „Niepewności” wprawdzie nie był prokiem, ale już w 1957 roku... opisał prasę z przełomu XX i XXI wieku. Prasę, w której liczy się tylko sensacja, grająca na najniższych uczuciach. Codziennie oczekający krwią i spermą informacyjny kotlet mielony.

Pewnym nowum w powieści popaździernikowej jest przedstawienie „półświatka”, oczywiście, że w socrealistycznej opozycji do świata ludzi porządných, ale też śmiesznych („zimmokrwiści, zbici w stado jak najedzone ryby”) czy tragicznych (alkoholicy). Z tego półświatka wyrósł, niezbyt zresztą atrakcyjny, wątek guasi-kryminalny.

W. Rogowski jest mistrzem drobnych realiów („Przesycony wilgocią porywisty powiew kładł się przelotnie na rozgrzanych policzkach, wpychał oddech z powrotem do płuc, potrząsał człowiekiem, jakby chciał wyrwać go z kręgu obezwładniających myśli”), ściśle spletających się z psychologią wnętrza (m.in. świetny opis „męk twórczych” poety na str. 60-63). To one przede wszystkim, obok nasyconych żarliwością opisów miasta (Bydgoszczy), pozwalają zakwalifikować tę powieść do rzędu nietuzinkowych. Także kompozycja – mozaikowa migocąca zestawem odrębnych sytuacji poszczególnych bohaterów, od czasu do czasu zanurzających się w retrospekcję (każdy coś tam opuścił, porzucił, do czego od czasu do czasu uporczywie wraca). Niezłe są, głównie wewnętrzne, bo twarzy w zasadzie nie widać, sylwetki bohaterów utworów (np. Anna „podobna w tym do wszystkich dobrych, małych kobiet, okazu-

jących ogrom swej miłości w żarliwym krzątaniu się wokół codziennych spraw życia, budujących swe duże ciche szczęście z różnych odcieni szarości, z drobniaków”).

Poprawna jest jedność czasu, miejsca i akcji (dwa dni w późnozimowej Bydgoszczy 1958 roku).

Jest to również powieść o nas, ludziach z PRL-u, i to nie tylko dzięki drobnym realiom (rozmowa telefoniczna w budce za 50 groszy, granatowa „Warszawa”, „nie ma parówek, jest jajecznicza”, kobiety niosące do sklepu butelki i dzbanki na mleko, kontroler w przejściu na perony dworca kolejowego, skalandrowane strony gazet przygotowywanych do druku), ale i schematowi społeczeństwa wtłoczonego w nienaturalne ramy, a jednak żyjącego, a przynajmniej pragnącego żyć po ludzku. Zarówno bohaterów powieści jak i nas toczył, być może wzmożony przez owo skrepowanie zewnętrzne, a także miazmatyczny prowincjonalizm, rak egzystencjalistycznego spleenu, który zdaje się być osoczem omawianej powieści („Jesteśmy mali, słabi i nic nie znaczący w tym świecie. Znamy tylko uczucie tęsknoty, niespokojnej i może niepotrzebnej, nawet męczącej”). Jedyny wniosek, który rysuje się z tego wielokrotnego skrepowania, także wynikłego z odpowiedzialności dziennikarskiej, brzmi: „Jedyna rzecz, do której mam prawo, to moje własne życie; powinienem myśleć tylko o sobie, dbać o siebie, walczyć o siebie”. Ale zaraz pojawia się problem egzystencjalny: „Trzeba żyć, muszę żyć, ale jak mam ułożyć swoje życie?”

Wydaje się nawet, że autor „Kamiennego bruku” właśnie tym upomnieniem się o pojedynczego człowieka przeciwstawił się socjalistycznemu kolektywizmowi, oczywiście, że w innych miejscach (być może pod wpływem cenzury czy autocenzury) tuszując ten fundamentalny bunt, pochwała... kolektywizmu.

Problem ten rozwiązywalny jest dziś poprzez bezrefleksyjność wynikłą z wydrukowanych w nas różnych „sposobów na życie”, zanurzonych oczywiście w 100-procentowym egotyzmie. Czy wtedy, przed 45-laty, nie było jednak dla człowieka korzystniej? Czy mimo skrepowania nie był on bardziej i mądrzej wolny?

Choćby dla tego porównania warto czasem poczytać stare książki, mimo że kończą się one tak nieciekawie, to znaczy optymistycznie (czy przypadkiem autor „Być komunistą” nie musiał tego dopisać, aby powieść w ogóle została wydana?), jako że powieść popaździernikowa jest przecież „wyrodnym dzieckiem” powieści socrealistycznej: „Pod dachami fabryk dygotały maszyny, na poczcie i na dworcu, w pogotowiu ratunkowym, w szpitalu czuwali ludzie, którym miasto zawdzięcza ciągłość życia. Przeciustawiali się sile snu i snu, aby inni mogli poddać się jej w poczuciu spokoju i bezpieczeństwa”.

Wiesław Rogowski, Miasto, Gdynia 1961, Wydawnictwo Morskie, ss. 124

KSIĘGARNIA

Sw. Ojca Pio

przy kościele Klarysek w Bydgoszczy

- książki
- czasopisma
- kasety
- dewocjonalia

czynna pon. – piątek 10.00-18.00
sobota 10.00-14.00

Aneta Jaworska

Poezja mocnej kobiety

GENOWEFA JAKUBOWSKA-FIJAŁKOWSKA wydała dwa zbiory wierszy: „Dożywocie” (1994) oraz „Pan Bóg wyjechał na Florydę” (1997). Niedawno, nakładem IW „Świadectwo”, ukazał się kolejny tom poezji – „Pochylenie”. Rozpiętość czasowa w powstawaniu kolejnych zbiorów jest zatem spora... Twórczość poetki, mającej sporo wspólnego z poezją Wojaczka, jak wskazuje Marcin Hałas w recenzji tomu „Pan Bóg wyjechał na Florydę” („Śląsk” 2000; nr 5, s. 77), wzbudziła moje zainteresowanie. Nie chodzi tu już tylko o podobieństwo do biografii i twórczości wyżej wspomnianego, lecz także, a może przede wszystkim, o określenie, jakim posłużyła się Jolanta Baziak („Bydgoski Informator Kulturalny” 1998, nr 4, s. 52) recenzując tenże sam zbiór. Chodzi mianowicie o sformułowanie, że wiersze G. Jakubowskiej-Fijałkowskiej to „poezja mocnej kobiety”. Po przeczytaniu „Pochylenia” stwierdzam, że kobieta to może i mocna, ale jej poezja... Zdaje sobie w pełni sprawę, że takie postawienie sprawy może wydać się niektórym krytykom zbyt pochopne, może nawet niewłaściwe, ale poezja winna być wszak czymś odkrywczym, nowym, zadziwiającym, a autorka „Dożywocia”, niestety, wraz z nowym tomem, nie sprostала tym wymogom.

W „Pochyleniu”, podobnie jak w pozostałych dwóch tomach, Jakubowska-Fijałkowska przedstawia świat zewnętrzny, takim, jakim on jest, nie retuszując zbytnio obrazu rzeczywistości. Jest to świat kobiety samotnej, tęskniącej za kimś bliskim i za zbliżonym do ideału światem ludzi. Kobieta jednak wie, że to nie jest możliwe, dlatego też zwraca się ku przyrodzie, by za po-

moą jej piękna ukazać brzydotę miasta. W całym tomie jest to chwyt szczególnie, bardzo często powtarzający się. I tak, przedstawiając sielski krajobraz wsi („pierwsze sianokosy (...) mgły rozchylają świt”), zamieszcza tuż obok krótkie sformułowanie: „pięknieją kobiety / chore / na raka piersi” (***) („pierwsze sianokosy”) czy też zestawiając „kwitnące pole / rzepaku / nad nim / pszczoł rój” z znanymi niedaleko zwłokami nieznanego mężczyzny. Bardzo charakterystyczne dla poezji autorki tomu „Pan Bóg wyjechał na Florydę” wydaje się oscylowanie między życiem a śmiercią, dniem a nocą czy wręcz bolesnie odczuwane istnienie na granicy nocy i dnia. To właśnie nocą i bladym świtem kobieta, cierpiąc na bezsenność, najbardziej odczuwa swoją samotność i pragnienie śmierci. Zarówno o samobójstwie, jak i o samej śmierci mówi nieraz. Czasami nazywa ją wprost, jak w wierszu *** *gałzka bzu*, a czasami do jej przywołania posługuje się metaforycznym obrazem: „szyję / masz piękną / jak Maria Stuart” (***) *pochylasz głowę*). Bardzo ważną rolę odgrywa tu także czas; poetka umieszcza przedstawione obrazy zarówno o konkretnej porze dnia (noc, południe, świt), jak i roku (przedwiośnie, lato, jesień, zima). I tu – wraz ze zmianą pory dnia (na noc) i pory roku (jesień) nasilają się myśli natury depresyjnej; wówczas nawet drzewa są „w cichej depresji”.

W zbiorze nie zabrakło również obrazów ludzi. Jest więc matka z niewidomym dzieckiem, matka z upośledzonym synem śniącym o pięknej dziewczynie, ale też matka niedostrzegająca molestowania seksualnego swojego dziecka; jest tak-

że mężczyzna, który po stracie żony został sam z psem, w pustym mieszkaniu, ale i kobieta, która ma wreszcie „święty spokój” po śmierci męża-czynny (***) *masz*; są kobiety chore na raka i mężczyźni cierpiący na epilepsję. Wszystkie te osoby są więc, w mniejszym lub większym stopniu, doświadczane przez los, ułomne fizycznie lub psychicznie.

Obok tych ludzi jest Bóg. Jednakże nie jest to Bóg pomagający cierpiącym. To Bóg obojętny na nieszczęścia ludzkie; Istota Wyższa nie ingerująca w życie swoich wyznawców. „On już rozdał wszystko”, co było do rozdania, teraz tylko czasami spogląda na ludzi. W „zimnych świętych”, które poetka zwiedziła, „Bóg miał zamknięte / bazaltowe oczy” (***) *co znaczyła ta podróż*). Nawet Anioł Stróż woli czytać „Playboya”, niż utulić płaczące dziecko (***) *dziecko płacze*). Jednak ja liryczne nie dziwi się takiej sytuacji – ludzie sami są winni takiego traktowania. Sami przecież ograniczyli się do konsumpcyjnego, bez doświadczenia duchowego, przeżywania Bożego Narodzenia (czasu miłości i pokoju, gdy tymczasem ona (i inni jej podobni), niczym Lady Makbet, plami sobie ręce krwią (***) *kolejne*)) czy najważniejszego święta chrześcijan – Zmartwychwstania Pańskiego: „gałzki palmowe / jajka na twardo / Wielkanoc / rano zmartwychwstanie / potem / „Na południe od nigdzie” / Ch. Bukowskiego / i po świętach” (***) *gałzki palmowe*).

Autorka pozostaje wierna swojej dotychczasowej poetyce: skrótości myśli, ograniczania do minimum słów, przez co włącza potencjalnego czytelnika w aktywny odbiór oraz niejako w współtworzenie poetyckiego świata. To odbiorca dopowiada myśli zawarte w tych wierszach, co zmusza go do uruchomienia wyobraźni. Nie jest to zatem lektura łatwa. Jednak dzięki temu, każdy z nas staje się współtwórcą tej poezji. Tą skrótością myśli zachwyca się Irena T. Sławińska, chwala autorkę „Dożywocia” za to, że „uniką wierszoróbstwa, w słowach ceni lapidarność i celność do maksimum” („Gazeta Mikołowska”, 1998, kwiecień). Jednak ta skrótość czasami staje się wadą – prowadzi do zagmatwania znaczeń i sensów.

Poetka z Mikołowa jest bystrą obserwatorką życia, kobietą ukazującą w swojej twórczości „ciemne” strony rzeczywistości. Jej poezja uświadamia czytelnikowi, że to, co stanowi przedmiot doznań poetki, dotyczy - w mniejszym lub większym stopniu – każdego z nas. Ale zło istniejące na świecie stanowiło już temat jej dwóch poprzednich tomów. Wydaje się, że autorka ograniczyła swą poezję do określonego zasobu tematów: ukazywania nędzy miasta i piękna przyrody, a także do przedstawiania osób cierpiących fizycznie czy też psychicznie. Poprzez to jej twórczość wydaje się zamkniętym światem, w którym istnieją tylko wskazane przez poetkę tematy, formy i ... nic więcej! Prawdą jest, że nie ma tu, w porównaniu z poprzednimi zbiorami, takiego nasycenia brutalnym krajobrazem miasta, nie ma tu także wulgaryzmów. Następuje zmiana metaforyki pustyni i suszy (na wielokrotne jej stosowanie zwrócił uwagę Grzegorz Walczak w art. „Udzwignąć ból” [„Esej”, 1999, wrzesień]), na deszcz i wilgoć, przy czym deszcz ma niejako oczyszczającą moc. Nowatorskie jest także inne spojrzenie na życie - dostrzeżenie jego piękna, a nie tylko brzydoty. Często jednak to piękno służy tylko podkreśleniu nędzy dnia poprzedniego. Poza tym poetka powiela chywyty, które stosowała już wcześniej; są tu więc przywoływane postacie z zakresu historii i kultury (m.in. Bóg, Maria Stuart, Maria Antonina), występują ponadto te same, co w poprzednich tomach, motywy (gwiazdy, słońce, księżyc, noc).

Mimo wielu zalet tego zbioru wierszy, częściowej ewolucji tematów, „pochylenia” się niejako w stronę życia, Jakubowska-Fijałkowska tkwi ciągle w tej samej poetyce – poetyce kontrastu. Jej kolejne utwory nie zaskakują już swą formą. Po przeczytaniu kilku wierszy czytelnik odczuwa monotonię, czy wręcz znużenie ciągłym zestawianiem piękna przyrody i niedoskonałości człowieka. Oczywiście, poeta nie jest w stanie uwolnić się całkowicie od specyficznego dla siebie poetyckiego obrazowania, ale nie może przecież zapuścić w nim korzeni...

Genowefa Jakubowska-Fijałkowska, Pochylenie, IW „Świadectwo”, Bydgoszcz 2002, ss. 64

Paweł Zawadzki

O teatrze i nie tylko...

Czy będzie nadużyciem, jeśli pamiętając, iż Karol Wojtyła był aktorem Teatru Rapsodycznego – zadam pytanie: *Drogi czytelniku, kiedy po raz ostatni byłeś w teatrze?*

Mam w ręku bardzo starannie wydaną książkę TERESY WILNIEWCZYC pt. „Andrzej Seweryn”. Kilka cytatów:

„Udawanie jest jedną z cech każdego człowieka. Szekspir zauważył to już dawno: <świat jest teatrem, aktorami ludzie>”.

„Teatr jest miejscem, gdzie się myśli, zastanawia nad życiem”.

„Żeby zbudować Europę, trzeba się nawzajem poznać. My znamy waszego Moliera, wy nie znacie naszego największego pisarza... Bardzo zależało mi na tym, by widz francuski choćby usłyszał <Dziadła> - widzenie księdza Piotra i inne ważne monologu. My znamy dobrze, a nawet bardzo dobrze Szekspira, a Anglicy w ogóle nie znają <Dziadła>, jednego z najważniejszych europejskich tekstów. Naprawdę warto, by go poznali. Chciałem przede wszystkim powiedzieć, że jeśli Francuzi, Belgowie, Anglicy nie poznają naszej kultury, największych naszych dzieł literackich, to możemy jedynie śnić o stworzeniu wspólnej Europy”.

„Sam (Peter Brook) mi jednak kiedyś powiedział, że starzec zawsze wie więcej i lepiej niż młody człowiek... Ale nie chodzi tylko o respekt dla starego człowieka, lecz również o szacunek wobec czasu, doświadczenia, tradycji. Nawet z egoistycznego punktu widzenia warto troszczyć się o ludzi, od których można się czegoś dowiedzieć. Zasada uczenia się od doświadczonych, od starszych rzadko już obowiązuje w teatrze francuskim. Aktorzy Komedii nie mają poczucia tego, co dla mnie jest podstawą uprawiania tego zawodu: poczucia, że jestem jednym z ogniw tradycji”.

Z wielką ciekawością, jednym tchem czytałem tę biografię Andrzeja Seweryna. Książkę złożoną z wypowiedzi jego i jego przyjaciół, nauczycieli, reżyserów. Sukces tego autora i aktora we francuskim teatrze Daniel Olbrychski tak skomentował: „... proszę sobie wyobrazić, że Depardieu zagrał po polsku Gustawa-Konrada lub De Niro nieskazitelną polszczyzną wyrecytował na scenie Teatru Narodowego invokację z <Pana Tadeusza> – <Litwo, Ojczyzno moja...>. Wiemy, że to graniczy z cudem, a jednak Andrzej Seweryn tego dokonał. Lecz nie sukces jest tu najważniejszy, ale droga do niego...”.

Ta książka jest nie tylko biografią. Można w niej znaleźć wiele cennych uwag na temat rozwoju duchowego, pracy, nauki, mądrości życiowej; uwag o tradycji i kulturze, wartościach chrześcijańskich. Może to nie przypadek, że Andrzej Seweryn zagrał rolę Prymasa Tysiąclecia w filmie „Prymas. Trzy lata z tysiąclecia”?

Można zazdrościć jego paryskim studentom, iż mają nauczyciela, który potrafi mądrze i pięknie budować mosty między współczesnością a tradycją, a także twórco czerpać z tradycji kultury europejskiej, upominając się zarazem o godne miejsce polskiej kultury, co jego przyjaciel tak określił: „Andrzej próbuje te wartości, które na naszych oczach umierają, zaszczepić na innym gruncie. Inni chcą z tego korzystać. I korzystają. Chcą odzyskać to, co my z taką nonszalancją tracimy”.

Polecam tę książkę wszystkim – miłośnikom teatru, literatury, filozofii, lub po prostu... aktorskiego talentu Andrzeja Seweryna.

Teresa Wilniewicz, Andrzej Seweryn, Wydawnictwo Prószyński i S-ka, Warszawa 2002

Han Suyin

Żniwo feniksa (2)

Dalej do Londynu, gdzie „Kalekie drzewo” i „Śmiertelny kwiat” miały wielkie powodzenie. Kończyłam trzeci tom, „Lato bez ptaków”. Wyglądałam odczyty, spotykałam się z ludźmi, a także pojechaliśmy do Walii odwiedzić Bertranda Russella. Był drobnokościstym i żywotnym młodym starcem, spowitym we frenetyczną uczciwość i zwińczonym burzą pięknej, srebrzystej czupryny.

„Dlaczego Chiny nie dały dobrego przykładu światu, odzegnując się od bomby atomowej i ogłaszając jednostronne rozbrojenie?”, zapytał.

„Światem nie rządzą wyłącznie dobre intencje”, odparłam.

„Kiedy pomyśle o jądrowym holokaucie, nie mogę zasnąć”, powiedział Russell, a jego jasny, żywy głos zdradzał od smutku i zatroskania.

W drogę do Indii, w odwiedziny do Indiry Ghandi, i to dzięki zwykłemu telefonowi do pracownika jej kancelarii, mojego drogiego przyjaciela, Natwara Singha, którego poznałam osobiście w Chinach w 1956 roku. Indira wyglądała znakomicie, a trudy urzędu jeszcze nie zdążyły przyćmić jej wdzięku. „Nie zmieniłam się”, powiedziała z uśmiechem. Spokojnie rozmawialiśmy o kwestii granicznej i o głodzie w Indiach tego roku, i o wielkich bogactwach Indii, i o ich ogromnym potencjale. „Nieprzyjaźni z Chinami nie jest naszym celem”, powiedziała. Była jednak zaniepokojona propagandą ‘nie wprost’, jaka na korzyść Pakistanu wydostawała się z Pekinu (podczas wojny Indii z Pakistanem w 1965 roku). „Indie potrzebują likwidacji napięcia”, powiedziała. A Pakistan wywoływał w Indiach nieustanne napięcie. „To jest problem, który będziemy musieli rozwiązać”.

W maju 1966 roku znowu pojechałam do Chin. Tego maja Chiny były już zupełnie inne. I znowu ten przykrzy skurcz w gardle, kiedy schrypięte megafony atakowały moje bębniaki godzinami ... jak można było pozostawać przy zdrowych zmysłach w tym nieustannym zgiełku, podczas ciągłego trąbienia, wyrzaskiwania, okrzyków i śpiewów? Zmianie uległy wszystkie plakaty. Teraz młodzi ludzie o rozwieszonych pięściach rozgniatali nienaturalnie małe jaszczurki i postacie o głowach byków (imperialistów i rewizjonistów). Tysiące korpulentnych, różanoliczych Mao na każdym kroku. Celnicy zachowywali spokój i byli uprzejmi, swobodni, odporni na całą tę kaskadę.

Na dworcu kolejowym obiad był nieosiągalny, bowiem kelnerki właśnie poszły na zebranie polityczne. Widziałam, jak ćwiczą taniec przed olbrzymią płytą, na której namalowano podobiznę Mao. Rękami niby to wyjmowały z piersi własne serca i unosily je w kierunku jego uśmiechu. Wsłuchiwałam się w megafony, ale było ich zbyt wiele i fale głosowe nakładały się wzajemnie, produkując beznadziejne kwakanie.

Gazety Kuomintangu w Hong Kongu prokowały zerwanie Mao Tsetunga z Liu Szaoczi. Chodziły słuchy o spisku na życie Mao. Dużo mówiło się o „czarnej linii”, która przez ostatnich siedemnaście lat infekowała, dręczyła, szarpała i wykrzywiała kulturę i szkolnictwo, sztuki piękne i literaturę w tym celu, aby „restaurować kapitalizm”. Po cichu jęczałam. „Otóż to. Inteligencja jest gotowa znowu się tego uczepić”. Lecz uśmiechałam się oczywiście w dalszym ciągu i w pełni kontrolowałam swoje odruchy. I miałam nadzieję, że moja Rodzina nie ucierpi zbyt wiele – a także, że ja się nie załamie.

Z Kuangczou zniknęły dobrze skrojone ubrania z 1965 roku. Wszyscy działacze partyjni, jacy mnie witali, ubrani byli w niewyprasowane koszule, workowate spodnie i sandały z plastiku. Na włosach mężczyzn nie było już widać brylan-

tyny, a wszystkie działaczki płci żeńskiej miały proste, krótko ostrzyżone włosy. Koniec z trwałą.

Jednak w Pekinie czarująca Hsing Cziang nadal nosiła schludną, wdzięczną bluzeczkę i spódnice. Chodziła tak aż do pewnego lipcowego dnia, kiedy to Kung Peng spokojnie zwróciła jej uwagę: „Twoje ubranie jest trochę zbyt kapitalistyczne”. Przyjacielskie ostrzeżenie.

Przez kilka następnych miesięcy nigdzie w Chinach nie można było natknąć się nawet na najmniejszy ślad wskazujący, że Liu Szaoczi stanowi cel dla jakiegoś przewrotu. W istocie sama go widziałam dwukrotnie. Pozostawał widoczny, wygłaszał przemówienia, podejmował gości, a agencja informacyjna Hsinhua donosiła o masowych wiecach, jakie w lipcu zorganizował w Wietnamie. A mimo to Mao Tsetung w 1970 roku powiadził do Edgara Snowa, że już w styczniu 1965 roku zdecydował, iż Liu Szaoczi musi odejść...⁴

„Pojedziemy do Mandżurii, tak jak pani o to prosiła”, powiedziała Hsing Cziang. Do Pekinu miałyśmy powrócić w czerwcu.

Mandżuria. Bezkrzesne równiny, swoim zasięgiem atakujące horyzont. Przestrzeń i czyste niebo, które w ciszy bez echa emanuje błękit. Ten rodzaj krajobrazu, który sprawia, że człowiek pragnie znaleźć się w siodle tak, aby dźwięk podków przekuwał ciszę w muzykę.

Odwiedziłam fabryki i komunę Szeniangu, Czangczun, Fuszun, Anszan i Harbinu. W Anszan stalowni. W Fuszun kopalni odkrywkowej (gdzie w 1947 roku, czyli przed dziewiętnastoma laty, zginął mój mąż Pao). Ileż notatek, ilu ludzi opowiadało mi o swoim życiu. A w każdej fabryce widać tatzepao, gazetki ściennie rozlepione po wszystkich murach, łopoczące jak chorągwie, rozwieszane między maszynami, niemal zalewające każdy oddział. Wszystkie pełne śmiałych pogroźek wymierzonych w tych od „czarnej linii”, w „dziwaków” oraz w „potwory”.

Osmego maja ukazał się artykuł redakcyjny, skierowany przeciwko „czarnej linii antypartyjnej”. „Wszyscy, którzy sprzeciwiają się myśli Mao Tsetunga, muszą zostać obaleni bez względu na to, jak wysoko zaszli i jacy są sławni”, skrzeczały gazetki. „Precz z siedemnaściami laty czarnej linii antypartyjnej”, grzmiały radioodbiorniki. Czasami rozpoznawałam nazwiska ... nazwiska ekspertów, inżynierów, dyrektorów fabryk, a nie politycznych prominentów, nazwiska nauczycieli akademickich. Ale partia wciąż jeszcze panowała nad wszystkim, „kierując i prowadząc” Rewolucję Kulturalną. Tak więc polowanie na „dziwaków” i na „potwory”, a także na „diabły o głowach byków i węzowych duszach” prowadzono wyłącznie wśród kadry średniej, wśród ekspertów z dziedziny techniki, profesorów i inżynierów. W tym czasie nie padło ani jedno nazwisko jakiegokolwiek czołowego przywódcy. Najwyżsi rangą byli sekretarze partyjni miejskiego szczebla oraz kilku kanclerzy uniwersytetów.

Wyżsi urzędnicy partyjni podejmują mnie i goszczą wystawnie. Jem niedźwiedzie łapy, bardzo kosztowny smakołyk. Dostają wspaniałe korzeń żeń-szenia wart tysiące juanów, który podaruję Wanczunowi, kiedy powrócę do Pekinu.

Po kilku dniach czytania oskarżycielskich wstępniaków i rozmaitych hasel, a także słuchania radia mój mózg popada w ośpienie. Robię się oniemiała, obojętna na wyzwiiska. Uśmiecham się i kiwam głową, a ponieważ nieustannie powtarzają się różne zwroty, zaczynam tak mówić, jak ludzie wokół mnie, wobec czego moja podróż staje się sukcesem, ponieważ ja jestem niebywale uległa. Teraz wyczytuje umiarkowanym okiem gazetki umieszczone ponad maszynami: „Sung Cziming popiera rewizjonistów poprzez śrubby i zasuwę oddział trzeci”, „Wang Ah-meng przez wiele lat sprzeciwiał się myśli Mao Tsetunga dowodząc: 'Zbyt wiele politycznego bełkotu, a za mało naukowego podejścia'”. Nie znam Sunga ani Wanga i mogę jedynie żywić nadzieję, że sprawy nie obrócą się przeciwko nim zbyt boleśnie.

W fabryce narzędzi w Szeniangu spotykam robotnika, specjalistę od wykonywania narzędzi

tylko poprzez wykorzystywanie na swojej obrabiarce myśli Mao Tsetunga. Prawie w każdej fabryce słyszę, ile to spustoszenia poczynili Rosjanie, o niebywałych ilościach mięsa, rzadkich metali, pomarańcz, tekstyliów oraz obuwia, jakimi trzeba im było płacić za urządzenia.

W Anszan, w wielkiej stalowni będącej dumą Chin pokazują mi innowacje przypisywane myśli Mao Tsetunga. W jednym z oddziałów oddelegowany do tego celu członek partii przedstawia mnie ślicznej młodej robotnicy, która pisze wiersze. Dotychczas pisała dekadencje, burżujskie wiersze miłosne, ponieważ jej nauczyciel szkolny był zwolennikiem dekadencje, rewizjonistycznej czarnej linii i zainfekował ją poezją feudalną. Ale odkąd w styczniu zainaugurowano intensywne szkolenie polityczne, dziewczyna uległa przemianie i napisała już trochę wspaniałej poezji proletariackiej dla robotników-chłopów-żołnierzy. Piękna robotnica zaczyna recytować jeden ze swoich dawnych utworów tak, abym mogła ocenić stopień jej zepsucia. Następnie deklamuje nowy wiersz. „Chciałabym dostać od ciebie kilka twoich wierszy”, mówię w nadziei, że da mi również ten stary, który recytowała najpierw. Ale niestety, działacz partyjny przejrzał mój podstęp. „Nie te, nie te”, powiada, kiedy ona kartkuje swój zbiór złożony z luźnych karteek. Wreszcie dostaję trzy dość mizernie ze sloganów sklecione gryzmoły. „Te są najnowsze”, powiada działacz i promienieje. Jest uprzejmy, lecz ja odwracam się, aby spojrzeć na dziewczynę, która mnie także obserwuje i w zamyszeniu skubie kiuci. Teraz zastanawiam się, co będzie z moim drogim przyjacielem Jeh, który w „Chinese Literature”, swoim anglojęzycznym miesięczniku drukował moje przekłady dekadencje, feudalnych pieśni – poematów z czasów dynastii Sung (960–1279 n.e.).

W marcu Lin Piao, nominowany przez Mao na „błiskiego towarzysza broni” wydał dyrektywę, aby „politykę oddać pod rozkazy”. I dzięki „podwyższeniu świadomości rewolucyjnej” robotników produkcja natychmiast skoczyła o tyle a tyle procent. Obecnie wzrostu produkcji już się nie przypisuje heroicznej, fantastycznej, oddanej pracy cudownego, niewiarygodnie cierpliwego i stoickiego ludu chińskiego, lecz wyłącznie studiowaniu myśli Mao Tsetunga ... Działacze partyjni marszczą brew, kiedy powiadam, że stacje pomp, kanały, fabryki nawozów sztucznych zwiększają produkcję ... I że tu, w Mandżurii, elektryfikacja komun rozpoczęła się jeszcze w 1958 roku, razem z Wielkim Skokiem...

W jednej z komun pokazują mi ziemne kopce, na których porobiono tarasy pod uprawę. Ta brygada wyróżniła się czerpiąc z wielkiego chińskiego przykładu, Taczai, ogłoszonego przez Mao w 1964 roku wzorem dla całych Chin. Tymczasem Taczai jest położone w lessowej okolicy prowincji Szansi, pełnej kraterów, pęknięć i wyżłobień terenu, gdzie nie ma nawet dwudziestu metrów kwadratowych płaskich, a tylko same wąwozy w mule. Taczai wytyczyło swoje tarasy na cyplach i pracą rąk zasypało rozpadliny. Ale tu, w Mandżurii, równiny są płaskie ... skąd zatem wzięły się te ziemne kopce? W jedenaście lat później dowiem się historii śmiesznej i żalostnej zarazem. Kopce, które oglądałam, były sztuczne. Spiętrzone je, a następnie wytypowano na nich uprawne tarasy tak, aby przypominały Taczai. Oto, jak hasło „wszystkiego uczcie się od Taczai” zostało zinterpretowane przez działaczy o umysłach przesycanych dosłownością.

Lecz urzędnik prowadzący mnie w 1966 roku relacjonuje, jak to pola tarasowe zostały stworzone przez młodych, wykształconych uczniów szkół średnich, oddelegowanych do pracy na wsi. „Tworzyli te pola jedną ręką, podczas gdy druga miała zajęta cenną książką przewodniczącego Mao”, powiada. A ja to sobie wszystko spisuję.

Przełożyła Teresa Kowalska

Dariusz Adam Zeller**Jezioro Białe**

wrósł w szybę
śnieżnobiałymi piórami
i pierwszym przymrozkiem

dotykałem go chępliwie
obląpiałem spojrzeniem
ale on z wolna odpływał
i mieszał lzy z woskiem

chciałem go ucałować
poczuć choćby mimochodem
ale on już pióra zgubił i znikł
topiąc definitywnie swe oblicze

w ogrzanej toni mego oka;
był pierwszym aniołem
którego poznałem

Barbara Tylman**Jest inna kraina**

Otwieram furtkę ogrodu
w którym już nie ma kwiatów
zapadam się w jasność słońca
krajną z promieni
w której nie słychać kroków
i nie ma zmęczenia
gdzie nie zadaje się pytania:
czy jest tam miejsce na intymność
Sen wkłada mi klucze w dłonie

Furtka słońca

Pod tym hasłem zamieszczać będziemy wiersze, które wnoszą dawkę nadziei, są dobrą nowiną. Co miesiąc kwalifikować będziemy utwory ocalające, po przeczytaniu których – jak zaznaczyła inicjatorka tego cyklu – **Magdalena Witek**, *chce się iść dalej, chce się żyć. „Czasem wystarczy jedno słowo mające w sobie niezwykły potencjał życia, siłę. Mają to być wiersze – odpowiedzi na wiersze – pytania i prowokacje tych, którzy siedzą w „czarnych dziurach” i wołają o pomoc*”.

Kiedy w listopadzie 2002 roku redagowaliśmy monotematyczny blok „Przemijanie” dotyczący śmierci, odejścia, bólu, to myśleliśmy, że będą kłopoty z doбором tekstów. Okazało się, że utwory o tej tematyce i w ciemnej tonacji wręcz wysypywały się z teczek i wiele z nich trzeba było schować „na zas”. Czy takie „przechylenie” polskiej poezji współczesnej jest dobre dla jej odbiorców i samej poezji?

Mamy świadomość, że wybór nasz może być subiektywny i dlatego też prosimy Czytelników o współudział w redagowaniu „Furtki słońca”.

Redakcja

Alfons Soczyński**Węzeł III**

Kto zawiązał
Rozwiąże
Gdy go nie rozpoznajesz
Gdy nie wiesz że On Jest
Zostaje ci labirynt lęku
Przed skokiem w nieznanne
Przed czarnymi dziurami
Przed sobą samym

Gdy Wierzysz to więcej jakbyś Wiedział
Ale może ci się tylko zdawać

Ale nawet
Gdy ci się tylko zdaje
Że Wiesz
Masz jednak
Drogę
W Labiryncie

Jadwiga Badowska**Jerzy Giedrońc**

Na zdjęciu paryskim masz twarz
żołędziową pod liściem nocy
ścieżki myśli w sieci zmarszczek
w ustach miód z lipy czarnoleskiej

To miłość prowadziła Twoją rękę
drogą codziennego trudu a noce
zamieniała w dnie księżycowe

Cóż miasto? Cóż życie nad Sekwaną?
ocierało się o nogi nie o serce
osłaniało znaczenie słów

Ty Niestrudzony stałeś się łodzią
przewoziłeś słowa na brzeg wolności
teraz odpoczywasz stary wioślarzu
nad brzegami nie zmaconych niebios

2002

Alicja Mazan-Mazurkiewicz**Doktor Zuzia**

Zuzanka otworzyła lecznicę dla bajek

otwórz paszczę – mówi do smoka –
tylko ostrożnie nie chuchaj ogniem bo przestraszysz mamę

zanadto się jadło – kiwa głową nad zbolalym wilkiem
i dodaje z powagą: lekarstwo ma skutki uboczne
już ci nie będą smakować babcie
– a małe dziewczynki? – dopytuje wilk

nie zawsze lekarstwa są potrzebne
szlochającą królową z piegami na buzi
Zuzia pociesza: to przecież dodaje urody
– ale królewicz mnie nie chce – wyznaje królowna
– to tym lepiej ci po takim nudziarzu
znajdź kogoś z kim będziesz łąziła po drzewach

działalność lecznicy też zresztą ma skutki uboczne
ni stąd ni zowąd w domu pojawił się kotek
poluje na długopisy orzechy i wstążki
a Zuzia tłumaczy mamie: przyszła taka czarownica
okropnie opuchnięta z alergią na koty
pomyśl sarna co mogłam zrobić?

ale gdy przyszedł chłopiec z czarodziejskim stoliczkiem
skarżąc się że stolik szwankuje bo zamiast homarów krewetek i małży
podaje chleb masło i ser a zamiast ambrozji herbatę
– stolik jest całkiem zdrowy – orzekła Zuzia

Bogumił Rogalski

Czy byt może kształtować świadomość?

„Każdy porządek społeczny składa się z trzech komponentów: wartości, sposobu sprawowania władzy oraz systemu gospodarczego”.

Bohdan Hawrylyshyn

Na pewno stale głodny nędzarz nie może być filozofem; jak również egocentryk, goniący za bogactwem materialnym. Co więc bywa motorem w poszukiwaniu idei, będących cechą człowieczeństwa? Naturalnym dążeniem istot biologicznych jest utrzymanie gatunku i przetrwanie w środowisku, w którym żyją. Człowiek, rozwijając się psychofizycznie, uzyskuje indywidualną tożsamość, czyli osobowość oraz kulturę w danej grupie społecznej, regionalnej lub narodowej.

Aby poniższy wywód przeprowadzić w jednoznacznych określeniach, niezbędne jest przedstawienie semantycznego znaczenia używanych słów.

Choć zastosowany w tytule zwrot „byt” ma w filozofii różne określenia¹, tutaj dotyczy „warunków kulturowo-materialnych”; a świadomość oznacza „zdolność zdawania sobie sprawy w kategoriach pojęciowych z tego, co bywa przedmiotem postrzegania, doznawania”².

Człowiek – jako istota społeczna – żyje w zhierarchizowanej grupie; poczynając od paternalistycznej rodziny – najmniejszej komórki, poprzez plemię do organizacji państwowej, a nawet ponadpaństwowej, takiej jak konfederacja, federacja kontynentalna. Wymienione elementy wchodziły wybiórczo do ogólnoludzkich cywilizacji, które są ideami społeczeństw turańskich bądź greckolacińskich.

Z początkiem średniowiecza turańska geniza ludów ukształtowała cztery plemiona, które prowadziły koczowniczy i wojowniczy tryb życia: fińsko-ugryjskie, tureckie, mongolskie i mandżurskie. Zwycięski przywódca znajdował chętnie posłuch międzyplemienny, tworząc pod swoją władzą większe społeczności, które w konsekwencji nie miały własnej tradycji. W strukturze społeczno-obozowej brakowało jakby kości pałacowej wszelkiej cywilizacji.

Na zachodzie zaś Europy przetrwała część cywilizacji łacińskiej (spadkobierczyni rzymskiej), do której doszła później bizantyjska i germańska. W pierwszej powstała i pozostała trójprawo: prawo rodzinne – głównie małżeńskie, majątkowe – własności i spadkowe, głównie dzięki kulturowej i wychowawczej działalności Kościoła Katolickiego. W przeciwieństwie do cywilizacji leżących u podstaw turańskiej, była personalistyczna: ujmując człowieka jako podmiot i cel działań społecznych, podkreślając indywidualną odpowiedzialność, dobro, wolność.

Jak w świetle powyższych rozważań ocenić współczesność – chociażby tylko Europy, w kulturze której jesteśmy od ponad 1000 lat, a szczególnie w świetle działań tzw. „elit” w jej reorganizacji? Czas bowiem znaleźć odpowiedź na pytanie: czy dążyć do stanów zjednoczonych Europy, czyli federacji państw? Dotychczasowe doświadczenia historyczne wykazują wojowniczą przewagę cywilizacji neoturańskiej: nazizm niemiecki i komunizm sowiecki, które powstały na ukształtowanej już glebie ideowej, a ich dewizą było zwiększanie potęgi państwowej podbojem militarnym, a z czasem i gospodarczym.

Pozostaje pytanie, czy Euroazję można obecnie i w przyszłości „przeorać” – bez ekspansji zbrojnej – globalizmem pod przywództwem „tych najsilniejszych” gospodarczo i militarnie? Odpowiedź jest bardzo trudna, mimo że przede wszystkim Stany Zjednoczone wyróżniają się zachłannością gospodarczą, a zapewne w najbliższym czasie szybko rozwijające się Chiny. Odpowiedź jest jeszcze trudniejsza w przypadku

pytania: czy możliwe jest połączenie tylu różnych kultur świata w jednym organizmie państwowym, przekraczającym kompetencje Organizacji Narodów Zjednoczonych? Może nim stać się globalizm, który jest trendem ekonomiczno-politycznym, dążącym do zniesienia barier państwowych, ograniczających swobodny przepływ towarów, usług, osób, produkcji i operacji finansowych w skali całego świata, a następnie do utworzenia jednego rządu. Idea nie jest nowa. Prawo do panowania nad światem, poparte ekspansją zbrojną, przypisywali sobie Egipcjanie, Asyryjczycy, Babilończycy, Persowie, Żydzi, Macedończycy, Rzymianie, Arabowie, Mongołowie, Chińczycy, Normanowie, Rosjanie, Anglicy, Niemcy. O ile dawne imperia sankcjonowały swoje roszczenia do panowania odwoływaniem się do religii i mitologii, o tyle współczesne roszczenia mają charakter ideologiczny. W judaizmie powszechne jest jeszcze przeświadczenie, że narodowi „wybranemu” służyć mają pozostałe narody. W islamie u podstaw dominacji militarnej i ekonomicznej leży religia.

Współczesny globalizm staje się ponadnarodowy i ponadpaństwowy, znajdując na razie oparcie w instytucjach ogólnoswiatowych, takich jak: ONZ, układ GATT między Europą a USA z 1948 r. (Układ Ogólny w sprawie Ceł i Handlu), a następnie WTO o zasięgu światowym, OFCD (Organizacja Współpracy Gospodarczej i Rozwoju) ograniczająca wpływ poszczególnych państw na własną gospodarkę. Tendencje globalistyczne dążą do zawężenia, a z czasem do realnej utraty suwerenności państwowej. O eksplozji powstawania organizacji międzynarodowych świadczą stan z 1984 roku, w którym istniało ich 365, a pozarządowych 4615, m.in. Międzynarodowy Fundusz Walutowy oraz Bank Światowy³.

Nie sposób przemilczeć „dobrodziejstwo” Unii Europejskiej. Już na wstępie można stwierdzić, że w swych ideologicznie i gospodarczo zaborczych działaniach różni się od globalizmu głównie zasięgiem terytorialnym w dążeniu do 30 „stanów” Zjednoczonej Europy, o której marzy Joschka Fischer – minister spraw zagranicznych Niemiec. Zaś Valery Giscard d'Estaing – były prezydent Francji i Helmut Schmidt – były kanclerz NRF wspólnie przewodnicząc Komitetowi na rzecz Unii Walutowej Europy stwierdzili, że: „Unia Europejska nie zdoła wchłonąć kolejnych 12 państw, jeżeli gruntownie się nie zreformuje. Dlatego kraje, takie jak Polska muszą pozostać w <przestrzeni europejskiej>, której pełna integracja potrwa całe dziesięciolecie”⁴. „Roma euro locuta et causa finita” potwierdzają nieudolne osiągnięcia negocjatorów L. Millera, wyrażających zgodę na zaliczenie Polski – byle teraz – na członka drugiej kategorii.

A jak ma wyglądać reforma instytucjonalna Unii Europejskiej? Na pewno nie będzie jeszcze długo wiadomo, mimo że „fanfary” mają ogłosić 16 kwietnia br. – nawet przed czerwcowym referendum – akcesję w „wysokie progi” członkowskie, a tryb ratyfikacyjny zgodnie z intencją ustawy A. Kwaśniewskiego. W latach 2004-2006 ma wpłynąć do brukselskiej bazy 26 mld zł polskiej „kontrybucji”, która może częściowo wrócić w postaci niby dopłat. Ponadto administracja Unii zażądała zredukować o 1,231 mln ton mocy produkcyjnych konkurencyjnej stali, i zwiększyć nieodwracalne zniszczenie na razie części kopalni węgla o tysiacy. Szczegółowy ustępstw rządu Millera, niszczących polską gospodarkę można by mnożyć. Jednakże jeszcze bardziej dra-

matyczna sytuacja będzie, gdy zasiądą różni „nasi” rządowcy w intratnych „fotelach” unijnych (ok. 2500). Gospodarczo niewiele się zmieni, bo w dalszym ciągu będą nas zasypywać (wówczas bezcłową) unijną produkcją różnej jakości, zmniejszającą tamtejsze 5-milionowe bezrobocie.

Referendum pokaże, czy będziemy w znacznej mierze euroentuzjastami, eurosceptykami, czy też może eurorealistami. Już wiadomo, jak „wdzięczni” będą nasi biedni potomkowie w wypadku nieodwracalnego wprowadzenia ich do lewicowo-liberalnej Unii Europejskiej. Na razie wszystko wskazuje na zmniejszenie się polskiej populacji. Czy więc sprawdzi się limit 15-milionowy dla Polski, prognozowany przez Drugi Raport dla Klubu Rzymskiego, jak wyliczają z niego liczni czytelnicy, a który nawołuje do neomalutyzjanizmu, nazwanego polityką równowagi demograficznej? Upraszczając prognozowanie wystarczy przejrzeć dla Polski Rocznik Statystyczny z 2001 roku, wykazujący po raz pierwszy po 1950 roku 10 osób rzeczywistego przyrostu ujemnego za rok 2000, i który będzie się pogłębiał. Naśladując „postępowy” Zachód zmuszeni będziemy importować siłę roboczą z zagranicy⁵, bo ok. miliona Polaków wypędził z kraju stan wojenny. Ale czy będzie czym się dzielić, gdy władcy sejmowi wprowadzą jeszcze aborcję na życzenie, eutanazję i dalsze ubożenie rodzin? Już obecnie rodzi się rocznie 30 tys. wcześniaków, z których część musi umrzeć! Dlaczego?

W socjalistycznych i polskojęzycznych mediach rządowe ogólniki propagandowe wbijają w czaszkę wizję „raju” europejskiego. Jednak bardziej dociekliwym Czytelnikom warto polecić dyskusję w TV PULS o godz. 21, a zwłaszcza artykuły chociażby Carla Beddermanna – byłego unijnego urzędnika w Polsce, w których wysuwa argumenty przeciwko wejściu do Unii⁶. Z dalszych lektur należałoby polecić: prof. W. Bojarskiego „Koszty aneksji do Unii Europejskiej”, prof. J. R. Nowaka „Świat unijnych iluzji”, prof. R. Brody „Koronne argumenty przed referendum”⁷. Oby Unia wraz z amerykańską NAFTA dążącą do zysku z globalizacji dzięki rządowi kapitału światowego, nie okazała się nową utopią – w XXI wieku! Jeszcze świat nie zaleczył „ran” po dwóch ostatnich „rajach” – komunistycznym i nazistowskim, w których wyzysk materialny i żądza władzy nad ludzkością całego świata przez nieliczną plutokrację, były na porządku dziennym.

Trzeba też przypomnieć, że łatwiej Polsce, a nawet korzystniej finansowo zrezygnować z przynależności do Unii, niż jej zrezygnować z naszego kraju. Od stowarzyszenia ze Wspólnotą Europejską w 01.02.1994 roku straciła ok. 1,5 mln miejsc pracy, wpuszczając prawie bezcłowo import tej Europy, która zarabiając ok. 65 mld USD naszego deficytu handlowego ograniczała jeszcze nasz eksport. Likwidując cła po wstąpieniu Polski do Unii, polski rozgrabiony przemysł, a zwłaszcza rolnictwo nie wytrzyma konkurencji i stanie się „zebrakiem” laśkawości skorumpowanych „władców” z Brukseli – „postępowych” plutokratów neoturańskich.

Co więc unioniści europejscy mogą nam oferować? Na razie kryzys gospodarczy, zwiększenie podatków, a po 2006 roku podwyższenie cen towarów od 20 do 40 % po wprowadzeniu euro, a także „pomoc” gospodarczą i polityczną, wyrastającą z wyzysku w tradycji: absolutyzmu, krwawej Rewolucji Francuskiej, wojen napoleońskich i dwóch światowych. Już teraz w unijnej Europie wzrost ten wynosi ok. 20%.

Nam, szarym wyborcom w referendum pozostaje zrezygnować z takiego towarzystwa zwykłym „nie” do Unii, bo ta trzecia utopia może nas zniszczyć gospodarczo i pozbawić historycznie wypracowanej tożsamości narodowej. A ponieważ nie wystarczy sama negacja antyunijna, konieczne jest przedstawienie alternatywy, czyli opracowanie planu suwerennego pro-

gramu rozwoju przestrzenno-gospodarczego kraju w środkowej Europie. Takie właściwie „hasła” były w powszechnym użyciu w okresie PRL, ale co inne było realizowane przez „nieomylny” rząd (na przykład Huta Katowice Gierka). Od 13 lat wszystkie zmieniające się rządy nie tylko nie konserwują i nie modernizują zastanego dorobku, lecz go jakby świadomie, a może z premedytacją, niszczą pod fałszywymi nazwami restrukturyzacji i prywatyzacji obcym, nawet państwowym koncernom. Jaki udział ma w tym łapówkarstwo – „wie” nawet Bank Światowy.

Ubożona systematycznie Polska może wyjść z zapaści na własne życzenie – przynajmniej częściowo – przez wykorzystanie potencjału zasobów w kierunku prawie pełnej samowystarczalności gospodarczej. Wszak posiadamy zasoby gazu ziemnego, wykorzystywanego w ograniczonym stopniu ze względu na „polityczny” import i zablokowanie części odwiertów, zasoby termalne (podziemne), które zaczynają dopiero być eksploatowane, złoża ropy w pasie świętokrzysko-pomorskim, rudę żelaza w Augustowskim oraz zalegający węgiel na Lubelszczyźnie i Śląsku. A rozbudowana przed laty sieć transportu kolejowego z szerokim torem z Nowej Huty na Ukrainę, nie jest używana dla przewozu platform z Tiramii, bo „modne” są obecnie nieekologiczne autostrady. Tymczasem nasze produkty żywnościowe mogą zaspokajać zarówno potrzeby krajowe, jak i zagraniczne. I tak by można mnożyć możliwości produkcyjne kraju, także na eksport, stanowiące przeciwwagę wstąpienia do Unii; pozostawmy to jednak naszym planistom. Tutaj warto przypo-

mnąć, że konfederację ojczyzn europejskich proponował Ch. de Gaulle.

Czas więc zabrać się do planowania i realizacji w imię polskiej, a nie „unijnej” racji stanu i odpowiedzieć sobie na pytanie postawione w tytule.

Wejście do Unii Europejskiej nie zwolni „unijnej” Polski od spłat zadłużenia PRL i III P nie tylko z niedoborów budżetowych, które wynosiły w 1997 roku 213 614,4 mln zł, a zagraniczne 117 591,6 mln zł, do 2009 roku, ale w USD. W następnych 5 latach zadłużenie wzrosło do 29 mld USD, do czego dojdzie kilka mld USD za importowany, przeważnie przestarzały sprzęt wojskowy.⁸

Drugim ważnym zagrożeniem bytu narodowego na tzw. Ziemiach Odzyskanych będzie utrata nieruchomości na rzecz stamtąd wysiedlonych Niemców, na podstawie decyzji wielkich mocarstw w Umowie Poczdamskiej z 2.08.1945 roku. Rezygnacja z wszelkich roszczeń majątkowych, nawet ich potomków, nie znalazła miejsca w Traktacie o Dobrym Sąsiedztwie Polsko-Niemieckim z 17.06.1991 roku, co coraz częściej przypominają niemieccy politycy. Jakby ustępem do zapowiedzianej akcji są ustawodawstwa polskie obecnych władz o szybkiej sprzedaży tysięcy hektarów ziemi dotychczasowym dzierżawcom zagranicznym. Tyle uzupełnienia o przyszył „bycie” rodaków.

Dotychczasową patriotyczną świadomość i tożsamość narodową, skrótowo nazywaną Polak-katolik podtrzymywał Kościół. Ostatnio w „lokalnym” kongresie „Quo vadis Europo”, w końcowym przesłaniu goszczących w Gnieźnie uczestników wyrażono 16.03.2003 roku życzenie, aby

Europa stała się wspólnotą ducha, opartą na dawnych wartościach chrześcijańskich. Również mamy w tej materii dużo do dania Europie. Są jednak wątpliwości, czy będzie chciała z tej „ofiar” skorzystać. Również, czy Polacy nadają się na jej ponowną ewangelizację, skoro w samej Warszawie tylko 9% katolików bierze udział w niedzielnych mszach świętych?⁹

Odpowiedź autor pozostawia Czytelnikom, szczególnie na temat świadomości, czyli marksistowskiej „nadbudowy” ■

¹ M. A. Krapiec, A. Maryniarczyk, byt – hasło w: *Powszechna encyklopedia filozofii*, t. 1, Lublin 2000, ss. 746 – 785

² Świadomość – hasło w: *Słownik języka polskiego*, t. 8, pod red. W. Doroszewskiego, Warszawa 1966, s. 1324.

³ P. Jaroszyński, globalizm – hasło w: *Powszechna encyklopedia filozofii*, t. 3, Lublin 2002, ss. 795 – 799.

⁴ J. Fischer, *Europę widzę ogromną* w: *Gazeta Wyborcza*, Warszawa 13 – 14.05.2000; V. Giscard D'Estaing i H. Schmidt, *Wysokie pokoje i przedsiódek* w tłumaczeniu J. Sęka w *Gazeta Wyborcza*, ibidem, ss. 9 – 10.

⁵ K. Cegielska, *Dzieci coraz mniej. Rządowy raport o sytuacji rodzin młodych i wielodzietnych*, w: *Nasz Dziennik*, Warszawa 15.01.2003, ss. 1, 3; *Rocznik Statystyczny RP i Warszawa 2001, zbiorcze dane demograficzne od 1961 do 2000*; A. Sulasz, *Dociskanie rodziny, ponowne nowelizacje ustawy o świadczeniach socjalnych* w: *Nasz Dziennik*, Warszawa 1 – 2.02.2003, ss. 1, 2.

⁶ *Nasz Dziennik*: 22.10.2002, s. 12; 23.10.2002, s. 10, 24.10.2002, s. 11; 11 – 12.01.2003, s. 19.

⁷ *Nasz Dziennik*: 11.03.2003, ss. 7, 13; 15 – 16.03.2003, ss. 13, 18.

⁸ G. Górniewicz, *Zadłużenia zagraniczne – Polska a kraje rozwijające się*, Bydgoszcz 2002, tabl. 18, 21 i komentarze; A. Kowalski, *niebezpieczeństwo zadłużenia* w *Nasz Dziennik*: 10.02.2003, ss. 1, 2.

⁹ *Msza Święta z katedry w Gnieźnie w III rocznicę Millenium Zjazdu Gnieźnieńskiego* w TV Polonia: 16.03.2003, godz. 13.00 – 14.45; *Rozmowy niedokończone* w: *Radio Maryja*, Toruń 15.03.2003, godz. 21.30 – 23.30.

Stanisława Kopiec

Jak do Unii

Jak do Unii, to do Unii.
Więcej dzików w zagajniku
niż pocziwych wieprzków
w chlewiku.
Ale niech sobie ryją.
Ziemniaków i tak
nie ma gdzie sprzedać.

Życ się co prawda nie chce,
ale jest czym oddychać.
Co drugie pole stoi
odłogiem,
co trzecie to młody las.
Daj Boże, żeby urósł
szybciej niż podatki.

Jak do Unii, to do Unii.
Wściekła krowa,
wściekła gospodyni,
ale komputer w oborze.
Boże! Jaka gospodyni?
Toż era bizneswoman
nachodzi.
Córka sąsiada już dzisiaj
nie wie, co to owies.

Zasiali Holendrzy żytko,
żytko...
Będzie chleb.
Oby tylko w gębie
nie stanął.

Jak do Unii...

(Z tomu *Nie bój się, różo*)



Fot. Cezary Tajer

P.W. „**EKO PARTNER**” S.C.

tel./fax 34 81 684
tel. kom. 0600-977-000
85-316 Bydgoszcz
ul. Broniewskiego 10

**Zajmuje się
przygotowywaniem
projektów
inwestycji ekologicznych
oraz pośrednictwem
w zdobyciu
środków finansowych**

PRZEDSIĘBIORSTWO
HANDLOWO-USŁUGOWE

TARG-POL

ul. M. Konopnickiej 28, tel. 0-602 723 877
85-124 Bydgoszcz-Szwederowo

**Otwarte codziennie,
z wyjątkiem niedziel,
w godz. 6.00-20.00**

*Najtańsze i najuczciwsze
targowisko w Bydgoszczy*

Stefan Pastuszewski

Odbiło

W naszej dyskusji o Unii Europejskiej odbiło. Tym razem na lewo. Jak w polskim politycznym wahadle. Na lewo, bo według umownych reguł mapy Zachód znajduje się po lewej ręce i Unia Europejska jako super państwo to przede wszystkim dzieło socjaldemokracji (integracja europejska, szanująca odrębność narodów i państw a budująca pomosty idei, ducha i tradycji to z kolei wytwór chrześcijańskiej demokracji).

Wyjątkowo obfita jak na dotychczasowe jej *Akantowe* doświadczenia wypowiedź A. Nagórskiej („*Akant*” 2003, nr 3, s. 37) reprezentuje typ polskiego inteligentckiego tańca (dwa kroki do przodu, jeden do tyłu, a na wszelki wypadek jeszcze jeden w lewo), na który zwróciłem już uwagę S. Truchanowi („*Akant*” 2003, nr 2, s. 1). Autorka „*Coraz dwutysięcznej*” najlepiej chciałaby odpowiedzieć: „*Nie mam zdania*”, co po przeczytaniu inkryminowanego tekstu należy czytać: „*Mam zdanie, którego słuchajcie, ale nie chcę podjąć decyzji i wziąć odpowiedzialności*”. Nic też dziwnego, że blisko jej do S. Truchana, przy pominięciu oczywiście jestego (przepraszam za inteligentkie czyli, eufemistyczne określenie) *uroczego gadulstwa*.

Zarówno on jak i ona główny zysk z akcesji do UE upatrują w utemperowaniu polskich praw *dżungli*, a mówiąc nie anachronicznie, tylko historycznie – za starożytnymi Rzymianami – *barbarzyńskiej puszczy* („*Akant*” 2002, nr 12, s. 18; 2003, nr 3, s. 37). Jest to więc względnie bardziej estetyczny niż etyczny, a już na pewno nie polityczny, jeśli rozumieć politykę jako *odpowiedzialne rozwiązywanie problemów wspólnoty przez ich przedstawicieli*, a do takich z natury należy w naszym, środkowoeuropejskim kręgu kulturowym, inteligencja. Chyba, że na wzór A. Olechowskiego, wzorującego się z kolei na semicko-zachodnioeuropejskich modelach, inteligencja nasza założy ręce i cynicznie ogłosi, iż... *jest do wynajęcia*. Obojętnie przez kogo, byleby dobrze płacił. Zresztą to już teraz widać po zachowaniach naszych polityków, którzy, czy to z lewa czy to z prawa, doprowadzili do tego, że – jak bystro zauważa A. Nagórska – *„gospodarka nasza jest już w znacznej części kontrolowana przez obcy kapitał”*. To oni, chcąc wygrać kolejne wybory (czy zdrowa, służebna wobec społeczeństwa polityka ma tylko perspektywę kolejnej kadencji?) sprzedawali polskie aktywa, aby zasilić budżet, a przecież wiadomo, że tzw. sfera budżetowa to najbardziej zdyscyplinowany i przekupny elektorat. Innymi słowy za pieniądze podatników, notabene źle wydawane, kupowano głosy nauczycieli, lekarzy, urzędników, policjantów, żołnierzy, tudzież tych pisarzy, którzy przyssali się do ministerialnych sutków.

A. Nagórska eksponuje za S. Truchanem („*Akant*” 2002, nr 12, s. 18) inteligentcko-estetyczną fobię wobec „*polskiego bagienka*”, co oczywiście sprzeczne jest z estetyczno-etycznym imperatywem Z. Herberta: „*Masz mało czasu, trzeba dać świadectwo*”. Nasze miejsce i nasz czas na ziemi są bowiem zbyt cenne i niepowtarzalne, nasycone innym zachodnio-wschodnim, pogranicznym duchem, abyśmy mieli je sprzedawać za byle co i poddawać unifikacji imperium pieniądza jakie panuje na Zachodzie. A jeśli nasza świętna felietonistko-polemistka pragnie przewietrzyć się, to niech czyni to na własną rękę, zakupując za 100 złotych paszport, a nie – bez odpowiedzialności za innych – wpuszczając nad Wisłę i Odrę, tudzież Motławę i Brdę, zatrute prądy, nieco już nawet cuchnące, bo rzeczywiście „*w tym wysięgu stawiamy na zdychającego konia*” (A. Nagórska, s. 37). I niech trochę postudiuje prawa ekonomii zanim napisze następujące zdanie: „*Skoro mówi się w kółko, że Europa jest nadopiekuńcza, to być może choć nielicznym biedakom jakiś grosz zapo-*

możi kapnie prędzej niż poza Unią”. Z jakiego zbiornika, pani Ariano, ma on wykapać? Jeśli już śmiesznie prawo UE nas do tego zmusi, to nie ze skarbca niemieckiego czy francuskiego, tylko z naszego, a ten – jak wiadomo – świszcze pustką. Być może więc biedakom skapnie, podobnie jak rolnikom w formie dopłat, ale odbędzie się to kosztem dziedzin „*zbywalnych*” – czyli kultury i oświaty, która już teraz sprowadzana jest poprzez trywalizację programów szkolnych – za podpuszczeniem UE oczywiście – do hodowania tępych i całkowicie zależnych od medialnego steru – robotników, w tym również „*ruszających główką*” (od dłuższego czasu podziwiam wysokiej klasy specjalistów, którzy nie wiedzą kto to S. Grochowiak, K. Kieślowski, Z. Herbert). Na pewno przebogate doświadczenia ma A. Nagórska, ale nie przeszła tak jak ja 4-letniego kierowania budżetem 380-tysięcznego miasta i nie wie, że jeśli komuś trzeba coś dać, to równocześnie komuś innemu trzeba jednak odebrać. Budżet państwa czy gminy to nie mennica.

A jeśli idzie o polską przedunijną ekonomię, to jest ona katastrofalna. Za nasze ewentualne wejście do Unii płacimy frycowe już 12 lat. Otwarcie naszego rynku na towary z Unii i asymetria w umowie stowarzyszeniowej dawały przez cały czas większe korzyści krajom UE, którym w rezultacie stan permanentnych negocjacji i szastania kolejnymi terminami odpowiadał. Politycy dyskutowali a menadżerzy importowali do Polski bezrobocie, zalewając ją swoimi produktami.

Co Unia w zamian za to daje? Iluzoryczne subwencje, które można uzyskać dopiero po przejściu przez biurokratyczne męki. A my jako naród wyjątkowo inteligentny czyli dostosujący się już uczymy się pisać wnioski. I uczymy, tego zebrał twa młodzież. Powstająca Wyższa Szkoła Europejska im. Ks. Józefa Tischnera jako jedną z kompetencji, w którą zamierza wyposażać swoich absolwentów uznała „*pozyskiwanie środków z funduszy unijnych*”. Rozumiem, że Nowa Dęba ma europejskie kompleksy, ale Kraków. Przecież już od lat Wiedeń mruga doń oblesnym okiem.

Unia nie radzi sobie z pogłębiającą recesją, a jej szefowie tylko w poszerzeniu UE widzą możliwość sprostania chińskiej i amerykańskiej ekspansji gospodarczej. Pomysł jest dobry, ale kto za to zapłaci? W każdym państwie wojna ekonomiczna i kryzys gospodarczy najsilniej odczuwane są w regionach biedniejszych – tam szybciej rośnie bezrobocie, ubożają i wymierają ludzie. Tak więc, kiedy poszerzona UE podejmie ostrą walkę konkurencyjną na światowych rynkach, Polska będzie jednym z peryferyjnych regionów Unii, narażonych na największe ofiary. Będzie przede wszystkim gospodarczą strefą buforową, dla niemieckiego imperium ekonomicznego czyli po prostu przedpolem ochronnym tłustego Berlina w ramach Ośropafestung. Ale „*co stanie się z Cyganem* (postać z filmu „*Edi*” – przyp. SP), *kiedy ruska granica stanie się ostatecznie silnie strzeżoną, granicą Unii*” – pyta z troską J. Kałwak („*Akant*” 2003, nr 1, s. 11) i niestety nie znajduje na to pytanie odpowiedzi. Bo przecież nie powtórzy za unijnym urzędnikiem, iż „*Cygan po prostu będzie niepotrzebny*”. Jako urzędnik samorządowy jest zbyt politycznie poprawny.

Tekst Karola Pastuszewskiego pod metaforycznym, prawie że religijno-mistycznym tytułem „*Wstąpienie...*” („*Akant*” 2003, nr 3, s. 36) już od incipitu straszy niewiarygodnością. Bo jeśli autor za protoplastę *eurounitów* uważa, a za *europeizację* przyjęcie chrześcijaństwa, to znaczy, że nie zna i nie rozumie historii. Polacy w X wieku przyjęli chrześcijaństwo, bo i musieli, i dojrżeli do niego, a z mapy zmiecieni przez wujujących krzyżem i mieczem zachodnich Europejczyków, zostali jedynie Prusowie, ale ich pobratymcy Litwini i Łotysze dość dobrze się mają, choć przyjęli jedynie chrześcijaństwo pro forma i mimo blisko 500-letniego panowania Niemców nie sprzedali się im. Nie chcę już tutaj wspominać o ugrofiń-

skich Liwach i Estach, którzy po dziś dzień mocno trzymają się pogańskich kamieni, w które Bóg obficie zaopatrzył ich polodowcową, jakże uroliwą krainę.

Nie chciałbym źle życzyć K. Pastuszewskiemu, ale jego dziecięcy entuzjazm, że „*po raz pierwszy na przestrzeni dziejów możemy dołączyć do bogatych i będziemy korzystać z równych reguł gry*” może wyczerpać się w chwili, gdy przestanie być starym dzieckiem i będą go według reguł unijnej ekonomii chować w kartonowej trumnie, jeśli już nie w czarnym, plastikowym worku. Bo „*równe reguły gry*” w procesie globalizacji, a unionizacja jest przecież jego składową, to m.in. silniejsza niż bez „*równych reguł gry*” polaryzacja społeczeństw na bardzo biednych i bardzo bogatych, a jak wiem K. Pastuszewski, kłękając ochoczo w dołkach startowych unijnego agonu, do bogatych nie należy. Podobnie jak większość środkowych Europejczyków skazany jest na permanentną, pogłębiającą się biedę, chyba że wyzbędzie się moralności i dołączy do którejś z globalistycznych mafii „*goniących pieniądze*”. K. Pastuszewski twierdząc – jak każdy warszawiak – życzeniowo (tu kłania mu się nisko M. Wańkowicz), że „*państwa unijnej piętnastki nie będą chciały hodować sobie nędzarzy*” prawdopodobnie nie widział jeszcze wielotysięcznych miasteczek z dykty i kartonu wokół lotnisk w Lizbonie i Porto, przedmieść włoskich miast czy paryskich kanałów, a ja jako gorliwy globtroter te przerażające gniazda nędzy i występku wielokrotnie obserwowałem. Ma jednak mój szanowny adwersarz rację w tym, że „*piętnastu wspaniałych*”, nie chcąc hodować nędzarzy, prowadzić będzie – tak jak już zresztą prowadzi – „*humanitarną eks-terminację słabszych elementów*”. Środki: wysokie ceny leków i usług medycznych, niebotyczne koszty wydania na świat i utrzymania dzieci, wilcze stosunki międzyludzkie, prawo proaborcyjne i eutanazyjne, spóźniona pomoc w nagłych wypadkach, aby były organy na przeszczepy do bogatych ciał, chemia w najtańszych produktach żywnościowych, sterowana i kontrolowana przestępczość w sferach marginesu, równie precyzyjnie sterowany alkoholizm i narkomania itd. itp.

Żle jest też, gdy doświadczony publicysta, do jakich bez wątpienia należy K. Pastuszewski („*Kierunki*”, „*Wrocławski Tygodnik Katolików*”, „*Słowo Powszechnie*”), pisze z pełnym przekonaniem – bez asekuracyjnego „*moim zdaniem*” – o sprawach na których kompletnie się nie zna. A dotyczy to „*tańszych środków produkcji w Polsce niż na Zachodzie*” w rolnictwie. Bzdura! Póki co tak jest, ale po wejściu na wspólny rynek, a przecież UE to przede wszystkim wspólny rynek, ceny bardzo szybko wyrównają się (jak po otwarciu przepustu między stawami, Karolu), w tym również ceny środków produkcji. Pryśnie również mit o „*polskim rolnictwie ekologicznym*”, bowiem polski rolnik, chcąc zdzierżyć konkurencję z rolnikiem z Zachodu, wwali w ziemię tyle chemii, że przy sekcji zwłok K. Pastuszewskiego pobrane zostaną cenne próbki do badań naukowych nad ilością metali ciężkich i innych trucizn w organizmach unijnych nowochrześciców.

Bo w Unii o nic innego nie chodzi, tylko o zdobywanie nowych rynków zbytu oraz... nowych obszarów w człowieku, aby był on w jeszcze większym stopniu konsumpcyjny.

Mitem jest również przekonanie naszego wesołego warszawiaka o ocalającej roli kultury polskiej. Tak było pod zaborami i w PRL-u, ale tak nie jest ani obecnie, ani nie będzie „*zaś*”, gdyż wszystkich nas mieli już monstrualny młyn mass-kultury. Globalizacji, której – powtarzam elementem składowym jest unionizacja – towarzyszy przecież systemowa banalizacja kultury i ostatnie zaścianki pod postacią „*Twórczości*”, „*Odry*” i „*Akantu*” – procesowi temu nie są w stanie się przeciwstawić.

Do mitotwórczych zaliczyć też należy wypowiedź siostry Barbary Chyrowicz, że „*za wierność moralnym przekonaniom odpowiedzialni jesteśmy my sami, a nie unijne traktaty*” („*Przewodnik*

Katolicki" 2003, nr 7, s. 5). Bo zagrożenia moralności idące z Zachodu tkwią we wszechobowiązującej tam zasadzie, iż „za wszystko trzeba płacić i wszystko można kupić”. Tak więc kiedy śruba ekonomiczna tak przyciska, iż dochodzi do „zakamuflowanej, lecz systematycznej eksterminacji” (A. Nagórska), to moralność idzie precz i ważniejsza staje się odpowiedzialność za życie swoje i najbliższych niż górnoletna, siostrzana odpowiedzialność „za moralne przekonania”. Poza tym USA i UE to hydropulpery świadomości i moralności wirujące w jednym tylko celu: więcej kupować, więcej konsumować, więcej używać, wciąż zmieniać swój wygląd i swoją duszę, tudzież otoczenie, łaknąć nowości, pragnąć przyjemności, tylko w ustawicznym, oraz szybszym ruchu widzieć sens istnienia. Bo wówczas nie wyczerpie się ekonomiczna energia europejsko-amerykańskiej cywilizacji, czyli szybki obrót pieniądza. Czy w takim przypadku, droga Siostrzyczko, nic nie zdoła zmienić naszych immanentnych postaw moralnych? Może nie naszej, ale ludzi bardziej z natury i położenia społeczno-ekonomicznego zależnych od czynników zewnątrznych. Zresztą abp Stanisław Gądecki, twierdzi, iż w UE trudno będzie przetrwać narodom, które są słabo wewnątrzsterowane, a do takich niestety należy naród polski. Po prostu kano-nada bodźców konsumpcyjno-ekonomicznych, mających na celu odebranie woli i uniformizację „rozstrzela je”.

Na wygłoszoną przez K. Pastuszewskiego pochwałę „kopenhaskiego sukcesu negocjacyjnego” L. Millera spuszcza zasłonę milczenia. Wstyd mi jednak trochę z powodu naszego wspólnego nazwiska.

Wejście dziś i na obecnych warunkach (A. Navarro, „Akant” 2002, nr 11, s. 48) do Unii Europejskiej – to *evidentne zło*, a nie jak powtarza A. Nagórska za W. Jaruzelskim z 13 grudnia 1981 roku – „mniejsze zło”. To epokowe utracenie szansy dyktowania warunków w tej części Europy, szansy

wynikłej ze znakomitego tranzytowego położenia, znacznej populacji. Mówiąc językiem ekonomicznym – wielkiego rynku zbytu i wciąż jeszcze ekologicznego rolnictwa, nie mówiąc już o, nie wyeksploatowanych jeszcze do końca, bogactwach naturalnych. Tak położonego i tak wyposażonego kraju nikt nie minie ani nie otorbi go handlową żelazną kurtyną, którą straszą agenci UE, a wręcz przeciwnie – zacnie kokietować i doń się łąsić. Trzeba nam tylko mądrego, nie sprzedajnego, pracowitego, godzącego się na trudy i broniącego swej ojczyzny społeczeństwa i władzy, która będzie władzą dla Polaków a nie dla siebie samej i – w ramach malpiej gościnności i uległości wobec obcych – możliwych z Zachodu. Nie musimy być wcale traktowanym i eksploatowanym przedpołem Berlina w ramach nowej *Gro-pafestung*.

Zgodzę się z J. Kałwakiem, że według obecnych notowań „można się spodziewać przewagi głosów za przystąpieniem do struktur zachodnioeuropejskich” („Akant” 2003, nr 1, s. 11). Wynika to z faktu, że euroentuzjaści, ale też eurosceptycy, nie analizują realistycznie wszystkich za i przeciw. Nad zdrowym rozsądkiem i rachunkiem góruje nasza polska zmora - *ułuda*, że „jakoś to będzie” czyli „a nuż może będzie lepiej”. Przez 14 lat od momentu tzw. odzyskania suwerenności nie znaleziono „pomysłu na Polskę”, a tylko manipulowano różnymi sojuszami i kupowano za psie gro-sze obcy kapitał. Przyklejając się do Zachodu pozwolono zniszczyć znaczną część polskiego przemysłu i wyprowadzić na zewnątrz wiele polskiego pieniądza. Teraz, kiedy recesja każe nawet dystyngowanym emerytom zbierać na przystankach komunikacji miejskiej puszkę po piwie (wracając późnymi wieczorami do domu spotykam takich i z pełnym szacunkiem dla ich determinacji im się kłaniam) większość Polaków ucieka w alkohol ułudy. Jak większość Słowian zresztą, a znam trochę z autopsji obecne zachowania Słowaków, Białorusinów, Ukraińców i Rosjan. Myślą niczym rozwodnicy czy emigranci, że – tak jak tamci po ucieczce – tak ci po „wstąpieniu” (fascynujący patos K. Pastuszewskiego!) rozpoczną nowe życie. Bzdura! Jak nie ma ucieczki przed sobą, przed swą przeszłością i swoim losem, tak nie ma ucieczki przed Polską. Nawet na Zachód. Lepiej więc tę Polskę zmieniać, nawet gdyby to bolało, niż ją sprzedawać, co być może nie boli, ale skutkuje degradacją za wiek i na wiele lat.

Felietonu A. Dębrowskiego, pomieszczonego w jednym z siedmiu (jeszcze!) regularnych miesięczników literackich w Polsce – „Gazecie Kulturalnej” (2003, nr 2, s. 15) nie chciałem wcale czytać z uwagi na odpychający tytuł „Dobrodziejstwa Unii Europejskiej”, jednak ciekawość [„co tam też mój kolega wysmażył?”]. W zasadzie nie żałuję tej lektury, bo oprócz inteligentnych, czyli naiwniackich westchnień: (A. Nagórska, K. Pastuszewski, S. Truchan) typu: „Plusem może być tu rozszerzenie obszaru, w którym gwarantowane są podstawowe prawa człowieka i zapewniony względnie wysoki standard materialny”, autor ów przeprowadził znakomite rozważania na temat dezintegracji naszego regionu Europy i odcięcia się od wielowiekowej historii związków ze Wschodem, związków, które właśnie Polskę tworzyły, bo Polska dopiero w 1944 roku została przesunięta na Zachód. Akcesja do UE, którą wielki, acz cyniczny, sowiec opłacany przez Brukselę, czego oczywiście nie kryje („skoro na filmy nie mam pieniędzy, to z czegoś muszę żyć”) zwolennik Wielobranżowego Przedsiębiorstwa Unijnego „Golem” – K. Zanussi nazywa wprost: *Zachodnioeuropejską*, to de facto odcięcie się od naszych korzeni, ba – naszej tożsamości. To – na gruncie literackim – wyparcie się przebogatej tradycji A. Mickiewicza i J. Słowackiego, T. Parandowskiego i Z. Herberta. A. Dębrowski pisze: „Ta część Europy ma swoją strukturę wewnętrzną, ukształtowaną w poszczególnych krajach przez bieg historii wyznaczonej kulturowej i politycznej. Z jednej strony pozosta-

ją: Słowenia, Chorwacja, Węgry, Czechy, Słowacja, Polska, Litwa, Łotwa i Estonia, czyli kraje z przewagą wyznań religijnych, głównie katolicyzmu – po drugiej – Serbia, Bośnia, Bułgaria, Rumunia, Mołdawia, Ukraina, Białoruś, czyli kraje z przewagą prawosławia i dużym odsetkiem wyznania greckokatolickiego. Ten stan rzeczy odciśnie swe piętno w nowym „podziale” Europy, a przecież jeszcze należy wziąć pod uwagę, że na tę dwudzielną granicę kulturową nakładają się trzy grupy krajów mających za sobą wielopokoleniową podległość wobec czterech wielkich mocarstw: Turcji, Rosji, Austrii i Prus.

O skali oszołomienia „korzyskami” wynikłymi z akcesji świadczy wypowiedź naszej korektorki, Jolanty Papyły. Zapytana, jak zagłosuje podczas referendum, odpowiedziała, wykazując resztki trzeźwości, że *chyba (sic!) na tak*.

– A dlaczego? – zdziwiłem się, bo zawsze dziwię się świętej naiwności.

– Bo granice będą otwarte! – odparła radośnie.

– No tak, ale panią już teraz nie stać na dojechanie do granicy, a cóż dopiero będzie potem.

– Bo „Akant” nie płaci! – odgryzła się korektorka.

– I długo nie będzie płacił, chyba że jakimś bogaczowi odbije i zasponsoruje kulturę, ale im raczej w tym kierunku nie odbija. Oni biorą kurs na europejskie lewo, czyli w kierunku konsumpcji towarów i usług, a nie w stronę kultury narodowej. Narody przeszkadzają tym wielkim interesom – bo kultury mają jakieś nieopłacalne wartości. ■

P.S. S. Truchana, który tym razem nie wytrzymał i „wziął zabawki i poszedł do domu” gorąco proszę o rozpoznanie różnicy między esejem literackim o tematyce bez wątpienia politycznej a publicystyką propagandową. Poza tym nikt dziś nie twierdzi, że agitki Włodzimierza Majakowskiego to nie poezja, tudzież twórczość historyczno-polityczna Władysława Brontewskiego.



Tulipan „Akantu”

KUPON PLEBISCYTOWY

AUTOR

TYTUŁ UTWORU

ROK I MIESIĄC DRUKU

IMIĘ I NAZWISKO TYTUŁUJĄCEGO

ADRES

Chcemy, by Czytelnicy „Akantu” mogli uczestniczyć w kreowaniu zewnętrznego wyrazu współczesnej literatury poprzez ocenianie utworów drukowanych w miesięczniku.

Redakcja prosi wskazujących na najlepszy utwór w każdym gatunku literackim o wypełnienie i nadsyłanie kuponów (jeśli ktoś kolekcjonuje „Akant”, a jest takich osób coraz więcej, to można kupon ten skserować, nawet wielokrotnie). Typowanie może dotyczyć utworów z całego 5-lecia „Akantu”.

DERMATOLOGIA

KLINICZNA I ESTETYCZNA
DERMATOCHIRURGIA. LASER

specjalista dermatolog PAWEŁ SKORY

ul. Paderewskiego 22. Bydgoszcz.

tel. 381-30-58, 0 606 381 418

- choroby skóry, włosów i paznokci
- trądzik, blizny potrądzikowe, trądzik różowaty
- usuwanie brodawek, znamion, włókniaków, paznokci wrastających, tłuszczaków itp.
 - wygładzanie zmarszczek
 - powiększanie ust
 - usuwanie przebarwień skóry
 - peeling chemiczny
- zamykanie rozszerzonych naczyń (pajączków): na twarzy - laser, na kończynach dolnych - obliteracja

Studio Paznokcia

Izabela Kaźmierska

0501-44-67-59

ul. Dworcowa 51, 85-005 Bydgoszcz

tel. 345-41-26

- usługi kosmetyczne
- przedłużanie paznokci
- szkolenia
- sprzedaż kosmetyków

Gabinet czynny od 10-18, od poniedziałku do piątku, inne godziny na zamówienie
www.studiopaznokcia.ibq.pl

Barbara Witucka

Wszystko się dziwnie plecie na tym tu biednym świecie...

Z niemałym zdziwieniem przeczytałam w „Akancie” (nr 2/67) artykuł Ariany Nagórskiej pt. „Ależ głupia ta młodzież” rzecz o młoda osoba, który to autorka poświęca mojej osobie. Dlaczego ze zdziwieniem? Bo mnie jeszcze w tymże czasopiśmie pamiętają, a do tego tradycyjnie wieszają na mnie przysłowiowe psy.

Już się przyzwyczaiłam do tego, że co niektórzy mają (i będą mieć) mi zawsze coś do zarzucenia. Tak oto Stefan Pastuszewski nie może sobie wybaczyć polemiki ze mną. Cóż – z pewnością Ariana Nagórska wygrała tę słowną walkę, gdyż wiekiem zbliżona jest wyżej wymienionemu, ja zaś na darmo tę pokoleniową przepaść próbowałam pokonać. Co się zaś tyczy Stanisława Truchana, to chyba postanowił nie być gorszy i by nie zawieść „pokolenia” swoje trzy grosze dorzucił. Marne wprowadzie i na niskim poziomie one były, ale jest demokracja – pisać wolno każdemu, oczywiście w granicach, które wymierzają zasady współżycia społecznego.

Chęci jakoś mi brakło by S. Truchanowi odpisać i w jakiegokolwiek wywody wchodzić z człowiekiem, który jedynie już „zmurowałe starości i pokryte kurzem w sobie pomniki nosi”, ale kobiecie nie odmówię słów kilku.

Sama nie wiem czy w tekście Ariany Nagórskiej skierowanym do mojej osoby („Akant”, 2/67) więcej jest cynizmu, czy też żalu za wiekiem młodym... To jednak miłe usłyszeć, że mając zaledwie dwadzieścia kilka lat postrzegam się za

matronę... Cóż, nie dziwię się jednak, gdyż według teorii A. Nagórskiej winnam chyba bronić swego pokolenia. Może i z tej racji barykady powinienam stawiać na ulicach. Ha! Nie zrobię tego jednak! Zatem – jak pisał C. K. Norwid: „niech pióro będzie postem na białym papierze”.

Pani Ariano! Rozwiń wątpliwości Pani i zdradź, że do Brukseli się nie wybieram. Dlaczego? Choćby z jednego tylko powodu – sentymentu wielkiego do Unii nie żywię. Co się zaś tyczy mojego „wygodnego stolka”, nie powiem, jest wygodny, a do tego i obrotowy. Taki, jak to w redakcjach bywa. Z pewnością i tutaj zmartwię Panią, ale nie jestem jedynym wykształconym okazem w tej naszej polskiej rzeczywistości. A to kim jestem, zawdzięczam głównie sobie. Nie korzystałam z żadnych ulg czy stypendiów studenckich, jedynie własna praca i chęć nauki sprawiły, że te maleńkie trzy literki przed nazwiskiem mam. Ale czy to jest coś wielkiego? Chyba nie!

A że martwię się o inne duszyczki (młode głównie), cóż – taka już jestem. Nie moją winą jest natomiast, że nie każdy naukę kontynuować chce. Społeczeństwo, w tym młodzież, jest zbyt odrętwiałe i zniechęcone poczynaniami kolejnych rządów, by jasno i czysto w przyszłość patrzeć. Tylko nieliczna grupa potrafi ten marazm przechytrzyć i z niego wyjść.

Jest jak jest w tej naszej kochanej Polsce. Każdy widzi i słyszy co się dzieje. A ja ostatnio w telewizji obejrzałam sobie dwa filmy. Jeden

dokumentalny pt. *Co dalej z tobą, Karolinko* autorstwa Karoliny Bendery poświęcony młodej dziewczynie, która zagrała jedną z głównych ról w filmie pt. „Cześć Teresa”. Polecam ten dokument tym, którzy go jeszcze nie widzieli. Dokładnie oddaje on obraz polskiej młodzieży, gdzie alkohol i słowa na k... są na porządku dziennym.

Oczywiście nie wszyscy tacy są. Muszę to tutaj nadmienić, bo Ariana Nagórska gotowa jest jeszcze raz mnie po raz kolejny wywołać do odpowiedzialności za wrzucenie wszystkich do jednego worka. Ale to już nie jest ta sama młodzież, która nosiła w sobie wzniosłe ideały, walczyła o niepodległość, potem o demokrację. Lata 70. i 80. ubiegłego wieku są dobrym przykładem rodzenia się braterstwa i solidarności. Kultowy już film pt. *Człowiek z żelaza* (to drugi obejrany niedawno przeze mnie film) jest dobrą lekcją historii, z której warto wyciągnąć wnioski. Ale jak to już jest w tej naszej Polsce, że nigdy nic nie idzie w parze. Bo kiedy w 1968 roku młodzież wyszła na ulice, zabrakło robotników na niej. A kiedy w dwa lata później robotnicy wszczęli walkę, nie odpowiedziała młodzież. Teraz za to już chyba nikomu nie chce się walczyć o cokolwiek. Prosto brniemy w szpony Unii Europejskiej. Wejźmy do niej, ale potem nie narzekajmy, że jest źle. Bo kiedy było źle to chcieliśmy lepiej, a Francja i Niemcy po raz kolejny pokazały, czym dla niej jesteśmy. Pionkiem na szachownicy Europy. Gdyby te państwa mogły – to by nas sprzedały raz jeszcze za 30 srebrników. Ale jak widać, Polak i po szkodzię mądry nie jest.

Zatem – kto zajmie się dziś Polską? Może Pani, Pani Ariano? Czas wyborów na prezydenta już się powoli zbliża... Ja z pewnością na Panią zagłosuję!

Dokąd zmierzamy? ♦ Dokąd zmierzamy? ♦ Dokąd zmierzamy? ♦ Dokąd zmierzamy? ♦ Dokąd zmierzamy?

Eligiusz Dymowski

„Chciałabym uszczęśliwić innych...”

Z Anną Wysocką rozmawia Eligiusz Dymowski

– Kim jest Anna Wysocka: malarką, rzeźbiarką, magiczną wróżką ciężkich kawałków blachy...?

– Myślę, że jest przede wszystkim rzeźbiarką, z miłością i wielkim sentymentem do malarstwa.

– Twoja twórczość, ze względu na formę, jest nietypowa. Czy uważasz, że tego rodzaju obrazy mogą dać odbiorcy o wiele więcej wrażeń estetycznych, aniżeli klasyczne malarstwo?

– Prawdę mówiąc, nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Zupełnie nie myślę w tych kategoriach! Sensem sztuki jest przecież dostarczanie odbiorcy jak największej ilości wrażeń. Forma jest dowolna. Ważne jest to, co chcemy przekazać, pamiętając zawsze o indywidualnym odbiorze, gustach i wymaganiach człowieka.

– Podróżujesz do różnych miejsc, bierzesz udział w krajowych i międzynarodowych wystawach, czy to doświadczenie inspiruje Cię twórczo?

– Niezupełnie. Dla mnie źródła inspiracji znajdują się na złomowisku, pośród starych, porzuconych i mało już przydatnych rzeczy. Wykorzystując ten materiał ożywiam go własnym, twórczym pomysłem. To jest niesamowite wrażenie, kiedy po kawałku wylania ci się rzeczywisty obraz dzieła, który możesz pokazać innym, który działa na zmysły, pobudza wyobraźnię... Kocham przestrzeń, bo jest wolnością. Wiele bodźców dociera do mnie podświadomie. Lubię nieustannie zaskakiwać siebie.

– A innych?

– Czyżby to była kokieteria? (śmiech)

– Czy metafizyka koła, którą tak często się posługujesz, daje Ci bardziej poczucie spokoju czy niepewności, tak modnej zawsze na przełomie wieków?

– Niestety, nie mogę wpisać się w żaden przełom wieków i jego obawy. Koło zawsze było dla mnie olbrzymią formą, która kojarzy się z niesamowitą harmonią oraz daje poczucie spokoju. Ja w moich pracach szukam przede wszystkim właśnie harmonii. To ona jest fundamentalną podstawą. Jeśli ktoś dostrzeże w moich pracach niepokój czy lęk, ma to też swój klimat i urok, ale...

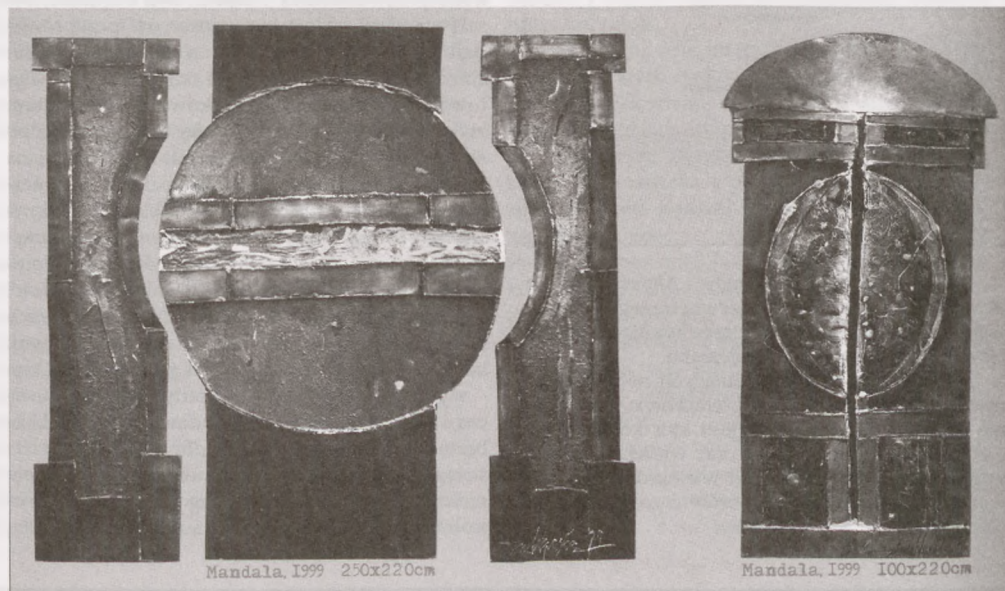
– Według F. Schellinga sztuka bierze się z nieskończonej sprzeczności. Czy ból i dramat są konieczne w sztuce, aby objawiło się piękno?

– Absolutnie nie! Zdecydowanie lepiej tworzy mi się kiedy jestem zadowolona, szczęśliwa, kiedy wszystko mi się układa. Piękno samo w sobie jest boskie. Każdy ból może jedynie je ranić. A tego chyba nikt nie chce, prawda?

– Twoje artystyczne credo?

– Nie mam czegoś takiego. Chciałabym jedynie, żeby Bóg dawał mi siłę, nadzieję; żebym zawsze miała w sobie taką pasję i chęć tworzenia. Wtedy będę mogła dać innym to, co mam najpiękniejsze. Chciałabym uszczęśliwić innych...

– Życzę Ci takiej cudowności i pasji. Dziękuję za rozmowę.



Jolanta Baziak

Antychryst a profetyzm

Dzieje Antychrysta sięgają Starego Testamentu, w żydowskich wizjach nieprzyjaciół Bożych i Dni Ostatecznych ok. 200 r. p.n.e. – 50 n.e. We wszystkich wyznaniach monoteistycznych mamy do czynienia z apokaliptyką, nadającą bieżącym wydarzeniom eschatologiczne znaczenia, w konsekwencji ostatecznej walki dobra ze złem. W czasie Drugiej Świątyni w III w. p.n.e. – 70 r. n.e. judaizm ukształtował pogląd o przeciwności Boga i jego Mesjasza w związku z odwiecznymi rozważaniami człowieka o końcu świata. Około piętnastu zachowanych apokalips żydowskich pochodzi z okresu ok. 250 r. p.n.e. do 150 n.e. Są za pośrednictwem z objawień proroków. *Księga Daniela* uważana jest za pierwsze dzieło apokaliptyczne, część prorocka (7-12) podejmuje dawne tematy prorockie w radykalnym i eschatologicznym świetle. Władza ludzka jest siłą przeciwstawną Bogu, a zmierza ku upadkowi i zagładzie. Jednak interwencja Boża przyniesie zbawienie, poprzedzi ją ciąg katastrof kosmicznych i zmartwychwstanie ciał. Ostateczna redakcja księgi przypada na lata 170-160. Nabuchodonozor np., zdobywca świątyni, symbolizuje Antiocha Epifanesa. Proroctwa mówią o karze i odnowieniu, ale też wprowadzają w bieg aktualnych wydarzeń. Zmienność losu zapowiada rychły upadek królestw ziemskich na korzyść Królestwa Bożego. W tej perspektywie rodzą się oczekiwania mesjańskie na władcę z dynastii Dawida, Syna Człowieczego, Króla. W Nowym Testamencie znajdujemy odniesienia do *Księgi Daniela*, np. Mt 24, 25. Wizja czterech bestii; zwierzęta o kształtach fantastycznych są ulubionym motywem w apokryficznych pismach, co można zauważyć też w pismach kanonicznych, np. Ap. rozdział 4. Wizja Syna Człowieczego, „przedwiecznego”, podobnie jak w apokryficznej *Księdze Henocha*, uosabia wieczność Boga na płonącym tronie, objawienie się, czyli teofanię. Syn Człowieczy może być Mesjaszem lub narodem izraelskim. Mesjasz Król jest przedstawicielem ludu Bożego. Wizja barana i kozła stanowi opis zdarzeń z okresu perskiego i helleńskiego. Wówczas Antioch IV Epifanes występował jako największy wróg Boga i sił mu przeciwnych, a w pismach apokryficznych *Antychryst*. Wreszcie proroctwo o siedemdziesięciu tygodniach, które oznaczają najprawdopodobniej okresy siedmioletnie. Punktem wyjścia proroctwa eschatologicznego są wydarzenia współczesne. Wizja męża w białych szatach to według wierzeń późnożydowskich reprezentacja anielska duchów opiekuńczych. Wojny w Palestynie i walka za Antiocha IV Epifanesa skutkuje zrabowaniem przez niego świątyni w Jerozolimie. Po klęsce Antiocha podejmuje znów prześladowania w Palestynie. W 12, 1-13, mamy do rozważenia zmartwychwstanie w czasach ostatecznych. Znamiona apokaliptyczne nosi też druga część *Księgi Joela* 2,18-421. Autor wzywa do nieustannej pokuty. Księga ta stanowi specyficzne streszczenie apokaliptyki starotestamentalnej. Historyczne czasy znajdują odniesienie do czasów ostatecznych, obdarzenia Duchem Bożym jako przygotowanie do Sądu Ostatecznego, w obliczu Boga-Sędziego, który się pojawi, roztoczy opiekę nad dobrymi, osądzi złych. Dzień Pański jest tu Dniem Sądu, jako proroka Abdiasza. Podobnie jak do *Księgi Daniela*, tak i *Joela* odniesienia znajdziemy w Nowym Testamencie: Mk 13, 24-27, Mt 24, 29-31, Łk 21, 25-28, Ap 6,12 n.

Pierwsza część 1-8 *Księgi Zachariasza* zawiera szereg wizji i proroctw, dotyczy okresu perskiego, tj. ok. 520 r. i koncentruje się wokół świątyni oraz odnowy kapłaństwa, wezwania do nawrócenia, wyroczni Bożą, nadejścia królestwa Bożego. Obok rozwiniętej nauki o aniołach pojawia się szatan (najstarszy tekst biblijny wymienający szatana). Ostateczne objawienie się Opatrzności Bożej nastąpi w okresie eschatologicznym, czyli mesjańskim. Zbawienie postuluje odnowienie moralne. Przyjście Mesjasza – Króla Pokoju w 9,9 ma swoje odniesienie w Mt 21, 1-7 i Łk 12,15. Zniszczenie oręża zaś (9,10) to znanie czasów mesjańskich. Oto skrótkowo niektóre zwiastuny późniejszego profetyzmu, które w Starym Testamencie, zapowiadały teksty Nowego Testamentu.

Po raz pierwszy słowo *Antychryst* pada w 1J 2,18: Św. Jan tym terminem określa głosicieli błędnych nauk i odstępców (por. 1 Tm 4,1; 2 Tm 3,1-5; 2 J 7). *Należy wystrzegać się nauczycieli fałszu: „Dzieci, jest już ostatnia godzina, i tak, jak słyszeliście, Antychryst nadchodzi, bo oto teraz właśnie pojawiło się wielu Antychrystów”*¹. Wiara w *Antychrysta*, jako przeciwnika dobra różni się od pojęcia diabła, rodzi się jednak pytanie o istnienie istot całkowicie złych. Co zadecyduje o ostatecznej walce sił dobra i zła oraz kiedy ten fakt ma nastąpić? We wczesnym Kościele nadzieje na zwalczanie potęgi zła pokładano w przyjściu Mesjasza, bowiem nie było pewne, czy jest to postać pojedyncza, czy zbiorowa, czy jest to zło zewnętrzne, czy tkwi w sercach tzw. wierzących, którzy odrzucają Chrystusa. Tak twierdzili: Orygenes, Augustyn, Grzegorz Wielki. *Ostateczny Przeciwnik* pojawia się jako prześladowca niszczący religię w *Drugim Liście do Tesaloniczan*. Jest jednocześnie „pseudo-Chrytusem”, obłudnym zwodzicielem, ukrywa złe zamiary pod pozorami dobrych czynów. Dlatego też, w wielu przypadkach „*antychrystami*” obwoływano papieży, utożsamiano z heretykami i schizmatykami. Święty Augustyn nakazywał sprawdzenie samego siebie w swoim sercu: „*Niechaj każdy zbada swoje sumienie, czy nie jest Antychrystem*”. Mit *Antychrysta* rozwijał się pod wpływem zespolenia starszych tradycji z nowymi okolicznościami historycznymi w Kościele wczesnochrześcijańskim. Bernard McGinn odsyła czytelnika do „*Symboliki zła*” Paula Ricoeura, na temat historii diabła, do „*Listu o Antychryście*” z dziesiątego wieku zakonnik Adso, zwraca uwagę na żydowskiego i islamskiego przeciwnika Chrystusa: Armillusa i Dajjala². W dwunastym wieku Joachim z Fiore zdominował myśl apokaliptyczną, nadając *Antychrystowi* wiele nowych ról. Średniowiecze przewidywało nawet, że na Piotrowym tronie pojawi się zło. Dziś jeszcze możemy spotkać wiarę w *Antychrysta* w protestantyzmie, w psychologii, jak np. u Carla Gustava Junga.

Od zarania ludzie byli przekonani o rychłym nadejściu końca świata, a to nierozdzielnie było związane z eskalacją zła. Eschatologia apokaliptyczna zrodziła się na podłożu prześladowań Żydów, aby współczesnym odsonić rzeczywistość transcendentną. Henoch, Ezra, Abraham, Daniel, teksty tych proroków zostały sporządzone na piśmie i mają charakter dokumentów, teksty apokaliptyczne przetrwały również w Qumran. W *Apokalipsie Tygodni Henocha* współczesność postrzegana jest jako siódmy tydzień w stosunku do dziesięciu tygodni trwania świata; całkowitego zwycięstwa Bożego. Ostateczna nagroda, poprzedzana karą i sądem powtarza się w *Księdze Daniela* i u Jeremiasza, stanowi literaturę pocieszenia, jednocześnie podkreśla absolutyzm moralny. Jung, Eliade, Ricoeur wykazali wzajemne oddziaływanie na siebie mitu, legendy i historii. Badania Hermanna Gunkela wskazywały na podobieństwa kananejskich i ugaryckich mitów walki. Tak z tła prehistorii i historii wyłoniła się i kształtowała postać *Antychrysta*. Występujące symbole przestrzenne i czasowe mają oparcie w liczbach, najczęściej w wielokrotnościach siódemki, a także w przeciwnościach, np. niebo-ziemia. Fragment *Księgi Ezechiela*, opisujący bunt człowieka miał również wpływ na ewolucję postaci *Antychrysta*. W rozdziałach 38 i 39 Ezechiel mówi o inwazji Goga, podobnie jak Jeremiasz i Izajasz. Postać ta pojawi się w średniowieczu w przepowiadaniu Joachima z Fiore. Jezus mówi o Synu Człowieczym w ewangeliiach synoptycznych siedemdziesiąt cztery razy, a szesnaście z nich znajduje się blisko treści o końcu czasów. Na przeciwnym biegunie niż mesjański rozrasta się właściwa legenda Antychrysta, opowieści o fałszywych prorokach (Mk 13, 1-37; Mt 24, 1-25; Tk 21, 5-38) – „*Mala Apokalipsa*”, gdzie pobrzmiewają echa z *Księgi Daniela*. Święty Paweł wspomina o „*dniu Pańskim*” i powtórnym przyjściu Panaw listach do Tesaloniczan, choć nie wspomina bezpośrednio o *Antychryście*.

W pierwszym i drugim stuleciu na koncepcję eschatologiczną wpłynęła postać Nerona, w *Księdze IV proroctwo Sybilli*, naśladownictwa wyroczni greckiej. Księga V pojawiła się w Egipcie około 100 r. n.e. i zawiera wzmiankę o *Antychryście* (Neron utożsamiony z Beliearem w trzeciej *Wyroczni Sybillińskiej*).

Antychryst – jako Bestia z Czeluści – zostaje przez św. Jana opisany w drugiej części *Apo-*

kalipsy. Listy Janowe przekształcają *Antychrysta* w zbiorowość wewnątrz wspólnoty chrześcijańskiej. Około 200 r. n.e. nauczanie o *Antychryście* nabrało ponownie znaczenia w „*Didache*”, w ostatnim rozdziale. Wzmianki znajdziemy też u Polikarpa, biskupa Smyrny, w *Liście Barnaby*, u Justyna Męczennika, o „*Apokalipsie Piotra*” – wspomina Teofil, biskup Antiochii, który wiąże ten tekst z powstaniem Bar-Kochby. Przeciw *Antychrystowi* skierowane było nauczanie Ireneusza i Hipolita, myślicieli drugiego stulecia, którzy łączyli liczbę 666 z rekapitulacją zła, jak Chrystus zrekapitulował dobro. *Antychryst* musi być Żydem z plemienia Dana, bowiem brak tego plemienia wśród uratowanych. Hipolit zaś napisał „*Komentarz na temat Daniela*”, gdzie powołuje się wyraźnie na wcześniejszy traktat „*O Antychryście*”. Oba teksty – Hipolita i Ireneusza połączył Tertulian ok. 160-220. Traktat „*Przeciw Marcjonowi*” daje wyraz przekonaniu, że koniec nie jest bliski. Myśl patrystyczna wywierała poważny wpływ przez trzy wieki. Orygenes z Aleksandrii dowodzili, że *Antychryst* jest warunkiem koniecznym ze względu na dwie natury człowieka, co zapisał w „*Komentarzu do Ewangelii św. Jana*”. Orygenes proponuje odczytanie *Antychrysta* jako problemu duchowego. *Antychryst* jest chrześcijańską alternatywą dla Ostatecznego Przeciwnika. Ireneusz i poeta Kommodian byli gorliwymi milenarystami i wierzyli w tysiącletnie panowanie Chrystusa na ziemi. Laktancjusz wiarę w dwóch *Antychrystów* zmodyfikował około 312 r. n.e. i przedstawił historię końca w wersji ekumenicznej. Powoływał się na Trismegistosa, Hyastaspesa, Sybillę i Wergiliusza. Oto próba dotykania tego, co nienazywalne, nierozwiązywalne – irracjonalne zadanie. Jaka jest natura zła, na ile człowiek jest wolny w swoich wyborach, gdzie jest granica doczesności między dwiema nieskończonościami i miejsce ludzkości we wszechświecie? *Apokalipsa Laktancjusza* wywarła przemożny wpływ na świadectwo Marcina z Tours, biskupa zakonnego z Galii ok. 316-397, który był przekonany, że *Antychrysta* spłodził szatan, a ten pierwszy się narodził, ale jeszcze nie objawił (tajemnica bezbożności według 2 Tes 2,7). Trzeba zauważyć, że oczekiwanie bliskiego końca spotkało się z ostrą krytyką na Wschodzie po kryzysie montanistycznym końca II w., a kanoniczność *Apokalipsy św. Jana* budziła wątpliwości Euzebiusza jeszcze w IV w. Chiliastyczne poglądy, apokaliptyczne i milenarystyczne tematy cieszyły się względną popularnością. Hipolit napisał „*Komentarz do Księgi Daniela*” i „*Rozprawę o Antychryście*”. Łacińska egzegeza *Apokalipsy św. Jana* została napisana przez Wiktoryna z Petawium w Dalmacji, przekazana nam przez Hieronima.

Z piątego wieku pochodzi syryjski „*Testament Pana*”, a apokaliptyczna część – to rozdziały z oryginału greckiego połowy trzeciego wieku (rozdz. 1-14) – opisy znaków zwiastujących koniec świata (rozdział 3-8) – (rozdział 9,10,11) – na temat *Antychrysta*. W języku greckim i koptyjskim powstała „*Apokalipsa Eliasza*”, rozdział 4. zawiera opis Tabyty z Dz. 9, 36, którą umęczą *Antychryst*. Z piątego wieku pochodzi również „*Apokalipsa św. Teologa Jana*” (rozdział 6-8), zawierająca opis postaci. Na Wschodzie poglądy, że *Antychryst* jest diabłem ale przybiera postać ludzką, głosił Cyryl na podstawie tekstów Pseudo-Hipolita. I choć *Ostateczny Przeciwnik* jest tylko jeden, istnieją *pseudochryści*. Na Zachodzie zagadnieniem Zła zajęli się kolejno: Tykoniusz, Hieronim, Augustyn. Tykoniusz, potępiany przez własną sektę donatystów, pozostawił m.in. dziś zaginiony „*Komentarz do Apokalipsy*”, uwzględniając przesłanie 1J i 2Tes. Św. Augustyn, w zasadzie przeciwny poglądom milenarystycznym; omawiał postać *Antychrysta* w „*199 Liście*” i traktacie „*O państwie Bożym*” (18 i 20). Św. Augustyn zachęca do osobistego nawrócenia, proponuje nadzieję w świetle upadku cywilizacji. Miął moment oszołomienia: „*Nie pozostawaj związany ze starym światem, nie odmawiaj być odnowionym w Chrystusie*”³. Augustyn umiera w 430 r. w obłożonej Hipponie, wkrótce zdewastowanej przez Wandalów, w czasie, gdy Attyla wraz z Hunami godzi się odjechać na wschód, dzięki pośrednictwu św. Leona Wielkiego. 476 r. wódz plemienia germańskiego – Odoaker – obala młodocianego cesarza, wygnanego do Kampanii, a insygnia cesarskie zostają odesłane do cesarza

Dokończenie ze str. 37

wschodniego, Zenona. Tygiel cywilizacji w wydaniu Franków, Wandalów, Gotów trwa kilka wieków.

Dzieła Augustyna znalazły głęboki odźwięk w intelektualnej historii Zachodu ze względu na antropocentryzm teologiczny (*caritas* i *amor Dei*), na rzeczowe podejście do ewentualnego wróżbiarstwa i *sortes biblicae*. Od daty śmierci Augustyna – według Hipolita – do przyjścia Antychrysta dzieliło ludzkość jedno pokolenie, a koniec świata w obliczu wydarzeń historycznych nigdy nie był tak wyobraźalnie bliski.

Około 350 r. uczeń Augustyna, Quodvulteus, w „*Księdze obietnictw i prorocctw*” ujrzał początek połowy czasu, czyli 3,5 r. do końca świata. Wiktorius, ok. połowy V w. wydał „*Komentarz do Apokalipsy*”, dotyczący we fragmentach liczby imienia Bestii, i skojarzył to z imieniem Genzeryka, króla Wandalów, łupieżcy Rzymu w 455 r. „*List paschalny Kampanii*” natomiast podawał daty: 493 i 496 r. n.e. jako przyjście Antychrysta. Aspekty indywidualny i zbiorowy, co więcej i ludzko-boski postaci, pod różnymi imionami wzajemnie się przeplatały, uzupełniały lub wykluczały – poczynając od legendy i mitu poprzez pisma kanoniczne w Kościele, ale zawsze stanowiły materiał do analizy przeciw złu tego świata, który zmierza ku eschatologicznemu wybawieniu (niezależnie od czasu końca świata).

Jak wspomnieliśmy, nauka apokaliptyczna św. Augustyna zaczęła zanikać na Wschodzie, natomiast rozprzestrzeniła się na Zachodzie po 500 r. W VI w. tradycję nauczania o Antychryście podtrzymali Prymazjusz i Kasjodor, a największy nacisk położył Grzegorz Wielki (590-604), posługując się tym narzędziem do przeprowadzania reform oraz do rozważań moralnych – „*Moralia in Job*”. W ten sposób Księga Hioba, w rozdziałach 40 i 41, stała się motywem dowolnych przekształceń w obrębie zła, naczynie zniszczenia; podobnie w Ps 51; Sdz 8-9. Nauczanie w „*Dialogach*” wzywało wiernych do rachunku sumienia: „*Dzieło Antychrysta dokonuje się codziennie wśród grzeszników*”⁴.

Około 550 r. historyk Prokopiusz napisał „*Tajną historię*”, opisując cesarza Justyniana, członka wspólnoty chrześcijańskiej jako diabła zrodzonego z człowieczej matki i demona, a będzie on miał wielu następców. Kontynuatorem tego nowego nurtu był Grzegorz z Tours, który opisywał dzieje człowieka, podającego się za Chrystusa. Kolejnym etapem był upadek Galii w VII w., a w XIII w. koniec świata prorokował hiszpański mnich Beatus z Liebany w „*Komentarzu na temat Apokalipsy*”, obwieszczając, że zostało 14 lat do końca milenium. Tu Antychrystem obwołał biskupa Toledo, Elipanda.

Wiele zamieszania w pojęcia średniowieczne wprowadzili muzułmanie, którzy w 638 r. zajęli Jerozolimę, szerząc herezję, czyniąc barbarzyństwo. Powstanie islamu chrześcijanie uznali za dowód na rychłe nadejście Antychrysta, głównie w Hiszpanii, gdzie ok. 712 r. w dużej mierze rządzą muzułmanie. Konflikt w Kordobie w IX w. spowodował stracenie pięćdziesięciu chrześcijan. Euologius, który wyklął Muhammada jako Szatana, sam padł ofiarą męczeństwa. Co więcej, Paulus Alvarus obwieścił w dziele „*Objawione polecenia*” związek między islamem, Antychrystem i końcem świata, utożsamiał Muhammada z jedynym rogiem czwartej bestii, tym samym czyniąc ostatnim Antychrystem, poczynając od Antiocha IV. Odon z Cluny (879-942) przewidywał koniec świata przed rokiem tysięcznym i opisywał to pesymistycznie w poemacie o siedmiu księgach *Occupationes* oraz trzech księgach *Collationum*. W tej dobie materiały apokaliptyczne docierały do Europy ze Wschodu, często fakty doginano do uprzednich wyroczeni, personifikując mgliste przepowiednie. Ciekawie rozwijała się legenda Ostatniego Cesarza z „*Sybilli tyburtyńskiej*”, znanej później jako „*Proroctwo Baalbeke*”. Tenże miał przygotować grunt na przyjście Antychrysta i czasy ostateczne. Z końca VII w. pochodzi „*Kazania na temat końca świata*” Pseudo-Efrema oraz „*Objawienia*” Pseudo-Metodego z ok. 691 r., gdzie znajdują się opisy Antychrysta i Ostatniego Cesarza do ostatniego, siódmego milenium. Ostatni Cesarz podda się i przekaże królestwo Chrystusowi, który odda je Ojcu.

„*Apokalipsa Danela*” pochodzi z IX w. i jako Ostatniego Cesarza przedstawia Konstantyna V, wspomina też o przeniesieniu stolicy z Konstan-

tynopola do Rzymu. Wczesne średniowiecze zatem zbudowało nowe formy kulturowe i religijne na bazie przedchrześcijańskiej, wczesnochrześcijańskiej, włączając w to nowe wartości Syryjczyków, Słowian, Celtów, Germanów. Zbliżał się rok tysięczny i ponownie wizje apokaliptyczne zaczęły się nasilać. Przypomnijmy – millenaryzm wiąże się nierozdzielnie z *Apokalipsą św. Jana*, kładzie akcent na zbliżające się tysiącletnie królestwo Chrystusa „*(...) i tysiąc lat królowali z Chrystusem*” (Ap 20, 4); „*A nie ożyli inni ze zmarłych, aż tysiąc lat się skończyło*” (Ap 20,5); „*A gdy się skończy tysiąc lat z więzienia swego szatan zostanie zwolniony*” (Ap 20, 7). Nie brakło w ciągu wieków prób dosłownego rozumienia „*tysiąca lat*” (chiliazm = millenaryzm). Na synodzie w Reims w 991 r. biskup Arnulf oskarżył papieża Jana XV, że jest Antychrystem (fałszywym nauczycielem). Aelfiero (955-1020) i Wulfslan (zm. 1023) w Kościele anglosaskim lękali się końca świata i wierzyli w bliskie nadejście Antychrysta. Około 950 r. mnich-reformator imieniem Adso napisał biografię Antychrysta, kompedium dotychczasowych tekstów. Połączył on bowiem tradycje wschodnie i zachodnie, postać przedstawiając jako przeciwnika Chrystusa, po czym wymienił licznych wykonawców, nie omijając duchownych, przy czym ostatecznego Antychrysta upatrywał w plemieniu Dana, który urodził się w Babilonie. „*List*” Adsa został przetłumaczony na wiele języków, ulegał też różnym zmianom redakcyjnym.

W piątym stuleciu zaczęto ilustrować odpisy *Apokalipsy* i *Psalmów*, gdzie pojawia się Antychryst, Ostatni Cesarz, Ostateczny Przeciwnik, ewentualnie Bestia.

Co dzieje się na planie historycznym? W okresie 722-855 ma miejsce odnowa karolińska: wybór Leona III (cesarzem 717-741), wznowienie cesarstwa zachodniego (Koronacja Karola Wielkiego 19.XII.800 roku), fala ikonoklazmu, sobór w Nicei (787), nawracanie i chrystianizacja wielu narodów, podboje Arabów, spory teologiczne. W okresie 886-1054 Kościół przeżył kryzysy, chrystianizuje: Danię, Norwegię, Islandię, Szwecję, następnie Chorwację, Czechy, Rusinów, Węgrów, wreszcie Polskę. Źródłami kryzysu były najazdy Normanów, Saracenów i Węgrów, upadek władzy cesarskiej i walki rodów rzymskich o władzę w Państwie Kościelnym. Krótkie pontyfikaty spowodowały, iż Jan XII zwrócił się do Ottona II i zyskał przywileje. Trwało to jednak krótko, bowiem pojawiali się antypapież (Bonifacy VII, Jan XVI, Grzegorz VI). W pierwszej połowie XI w. doszło do reformy papiewstwa, zapoczątkowaną reformę życia zakonnego w Cluny. Zaczęła rozkwitać sztuka romańska. Otton III odnowił cesarstwo rzymskie. Od 1012 r. hrabiowie tuskulańscy podporządkowali sobie kolejnych papieży, po czym pojawili się papież niemieccy. Reformy Leona IX doprowadziły do rozłamu między Kościołem na Wschodzie i na Zachodzie, wielka schizma nastąpiła w 1054 r. Data ta zaważyła głęboko na stosunkach między obu Kościołami. Dopiero Paweł VI doprowadził w 1964 r. do obopólnego zdjecia ekskomunik. Czwartry okres w historii Kościoła średniowiecznego rozpina się między datami 1054-1140. I ten okres miał jasne i ciemne strony. Pojawili się papież reformatorzy, ale również antypapież (Klemens III). Alp Arslan (1063-1072) zdobył Palestynę i Jerozolimę i zaatakował cesarstwo bizantyjskie, zajął Niceę i zagrażał Konstantynopolowi. Turcy Seldżuczcy zagrażali pielgrzymom w miejscach świętych. Wołanie o *oswobodzenie Grobu Chrystusa* zaskutkowało pierwszą krucjatą, która ruszyła 15 sierpnia 1096 r. Jerozolimę zdobyli Krzyżowcy 15 lipca 1099 r. Kolejno powstawały państwa krzyżowców oraz zakony: templariuszy, krzyżaków, cystersów. Druga krucjata do Ziemi Świętej nastąpiła w 1147 r. i zakończyła się niepowodzeniem – utratą Jerozolimy. Saladyn zdobył ją 2 października 1187 r. Termin trzeciej krucjaty ustalono na wiosnę 1189 r., układ pokojowy z 1192 r. pozostawiał Jerozolimę w rękach Saladyna z wolnym dostępem chrześcijan do miejsc świętych w Palestynie⁵.

W 1135 r. – jak się przyjmuje – urodził się Joachim z Fiore, największy średniowieczny myśliciel apokaliptyczny, twórca teologii historii. Ujmował on całość dziejów w świetle *Apokalipsy św. Jana* i pozostałych ksiąg Pisma Świętego. Kościół „*nie zna dnia ani godziny*” (Mt 24, 36) i tak w ciągu wieków interpretował *Apokalipsę*, również Joachim z Fiore, z epoką Ojca (Stare Przymierze), Syna (Nowe Przymierze), i epoką trzecią (Ducha Świętego) wraz z millenarycznym oczekiwaniami na duchową przyszłość historii. Teoria Joachima wiąże się z wykazem symboli, poczynionym w celu rekonstrukcji historii do końca czasów, jest to apokaliptyczna jej odczytanie. Epoka Ducha Świętego miała nadejść około połowy XIII w. Podważali tę myśl głównie św. Tomasz z Akwinu i św. Bonawentura. Jednakże należy pamiętać, że odłam braci franciszkanów powrócił do apokaliptycznego spirytualizmu Joachima z Fiore zanim wizja ta nie została potępiona. Konflikt radykalnych franciszkanów z władzami kościelnymi wystrzelił się znacznie po opublikowaniu *Introductorius in Evangelium aeternum* Gerarda z Borgo San Donnino w 1254 r. Dzieło to proponowało zastąpienie Pisma Świętego nowym kanonem: *Apokalipsa św. Jana* oraz główne dzieła Joachima z Fiore. W 1255 r. Aleksander IV nakazał zniszczenie księgi Gerarda. W 1263 r. synod w Arles potępił również dzieła Joachima, choć epoka Ducha Świętego – *tertius status* – zapowiadała odnowę Kościoła i każdego jego członka, a także propagowała *Wieczystą Ewangelię*. Ponadto dzieła Joachima były na bieżąco prezentowane papieżowi Lucjuszowi III i kolejnym z przełomu XIII w. Co więcej, testament Joachima z 1200 r., w którym znajduje się wykaz dzieł, zawiera również poddarczą gotowość decyzji Rzymu co do doktryny. Wśród kirkunastu dzieł, które Joachim z Fiore pozostawił, najbardziej reprezentatywne są: *Concordia*, *Expositio* i *Psalterium*. *Concordia* proponuje porzucenie schematu *zapowiedź-wypełnienie* i odbiega od wizji dzieł św. Augustyna, i pojmowania historii eschatologicznej. Polega na reinterpretacji siódmej epoki św. Augustyna, będzie to raczej ziemski *tertius status*. Jak widzi to K. Löwit – Joachim z Fiore kieruje się ku „*przedostatnim rzeczom*”.

Joachim z Fiore w latach 1182-83 przebywał w opactwie Casamari i właśnie tam powstały główne jego dzieła, jak sam twierdził – nie bez trudu – lecz pod wpływem natchnienia (*Exposito* w wigilię Zmartwychwstania Pańskiego, *Psalterium* w dniu Zesłania Ducha Świętego). Papież Celestyn III zatwierdził regułę nowej kongregacji Joachima, reguły surowszej niż benedyktańska czy cysterska. Biografowie wspominają też o interesującym spotkaniu opata z Ryszardem Lwie Serce w Mesynie w 1191 r., który to miał prosić o wyrocznię dla trzeciej Krucjaty. Joachim zmarł dwa lata po napisaniu testamentu duchowego, w 1202 r. w Pietrafitta.

Ciekawa jest struktura *Exposito in Apokalipsimi*, bowiem poza podziałem na trzy epoki występuje podział szczegółowy epoki pierwszej: Tempus I odpowiada Ap 1,1 – 3,22, w Kościele reprezentują go Apostołowie, przeciwnikiem jest Synagoga, a Głową Smoka – Herod; Tempus II – Ap 4,1-8,1, męczennikom w Kościele przeciwdziałają poganie, Głową Smoka jest Neron; Tempus III – Ap 8,2-11,18 w Kościele działają Doktorzy, przeciwnikami są heretycy, Głową Smoka syn Konstantyna Wielkiego. Kolejny Tempus to – Ap 11,19-14,20, dziewice stanowią przeciwagę muzułmanom (czwarta bestia z Dn 7,7), zaś Głową Smoka jest Mahomet. W Tempus V – Ap 15,1-16,17 Kościół Rzymski jest w opozycji do cesarstwa niemieckiego (Babilonia), Głową Smoka Henryk IV. Ostatni okres – Tempus VI – z Ap 16,18-19,21 reprezentują w Kościele *Viri spirituales*, przeciwnikami są smok wychodzący z morza i smok wychodzący z ziemi. Walka ze smokiem to symbol walki Kościoła z szatanem, Antychrystem Saladynem.

Siły zła zostaną przez Chrystusa pokonane, bestie wrzucone do ognistego jeziora, szatan na tysiąc lat unicestwiony w Czułości (Ap 20, 2-3). II Incisio (Ap 20,1-10) charakteryzuje tysiącletnie królestwo – *tertius status* – siódma epoka. Tu rozegra się rozprawa z Gogiem, by w Incisio III Ap 20,11-22, 21) odbył się Sąd Ostateczny i rozpoczęło niebiańskie Jeruzalem.

Przeor z Fiore nie interesował się kosmologią. Dostrzegając związki wewnątrz Trójcy Świętej był przekonany, że musi być Ona reprezentowana w świecie; według wzorca zależności „*Alpha*” – „*Omega*”. W „*Księdze Postaci*” odnalaziono ilustrację Ap 12 – siedmiogłowego smoka. Siedmiu przesładowcom Żydów ze ST odpowiada siedmiu przesładowców w NT. Liczba ta obejmuje antychrystów. Gog jest Ostatecznym Antychrystem. Siedmiogłowy Antychryst jest istotnie nowatorski w porównaniu z wcześniejszymi inter-

pretacjami, a co jeszcze bardziej oryginalne – świątynia była dla niego samym Kościołem, toteż *Antychryst* będzie fałszywym, zwodzicielskim papieżem. Uczniowie i zwolennicy mogą dać się zwieść zewnętrzny znakom, które będą podobne do cudów, podczas gdy Chrystus czyni cuda prawdziwe i wewnętrzne.

Wpływ teorii Joachima z Fiore na późniejszych myślicieli jest bezsporny. Widzimy to na przykładzie C.G. Junga, który analizuje rzecz z punktu widzenia psychologii, w twórczości W.B. Yeatsa, dramaturga poety i pisarza, J. Valentina, różokrzyżowcy. Ciekawą rzeczą wydaje się piętno apokaliptyki na pierwszą wyprawę Kolumba, bowiem zdania z apokryfów uczniów Joachima z Fiore znalazło na marginesach ulubionej książki Krzysztofa Kolumba *Imago mundi* Pierra d'Ailly.

Idee milenaryzmu silnie akcentują dwudziestowieczni fundamentaliści protestancy, głównie w Ameryce Północnej. Należy dodać, że główny nurt milenaryzmu z radością oczekiwał na koniec świata, ponieważ po nim nastąpi wieczna szczęśliwość. Zainteresowanie problemem nie maleje.

W 1982 r. powołano Międzynarodowe Centrum Studiów nad Joachimem z Fiore w San Giovanni in Fiore. Tam co pięć lat spotykają się naukowcy prowadzący studia nad tekstami i życiem patrona. Interesują się Joachimem teozofowie, zwolennicy *New Age*, a niektórzy upatrują analogii między *Erą Wodnika*, a wspomnianą epoką Ducha Świętego⁶.

Około 1265 r. dominikanin Hugon Riepin napisał podręcznik, w którym siódma księga zawiera opis *Ostatecznego Przeciwnika* oraz cztery sposoby, na jakie *Antychryst* oszukuje świat, mianowicie: dokonuje cudów, rozdaje dary, pokazuje tortury i namawia chyttrze. Co więcej, naśladuje Zesłanie Ducha Świętego, zmartwychwstanie i wniebowstąpienie. Egzegezę *Apokalipsy* napisał również franciszkanin, Nicholas z Liry, w 1329 r., podobnie jak Aleksander z Bremy i Piotr Auriola, traktując odczyt linearnie – jako opis historii Kościoła, z tym, że proroctwo Janowe do szesnastego rozdziału już się wypełniło. Okres ten obfitował w liczne twory ludowe i poezje dworską ukierunkowaną, często żartobliwie na *Antychrysta*.

Z owych utworów warto wspomnieć 3544 wersowy poemat Huona de Méry'ego pt. „*Turniej Antychrysta*” oraz 450 wersowy utwór według Alkuina, dydaktyczny, moralizatorski, ale rubaszny. Chętnie posługiwano się retoryką i dydaktyką także w samym Kościele, poczynając od Innocentego III, który wspierał w ten sposób wyprawy krzyżowe. Z listu napisanego w 1213 roku do Moguncji wynika, że *Synem Zniszczenia* jest Mahammad. – Z piątą krucjatą związany jest tekst – „*Proroctwo synów Agapa*”. Niestety, owo proroctwo o zwycięstwie nad wojskami muzułmańskimi się nie spełniło. Niektóre proroctwa spisane pierwotnie, a nie dotyczące bezpośrednio *Antychrysta*, były prerredagowywane pod wpływem aktualnych wydarzeń. W „*Wielkiej Kronice*” Matthew Parisa z 1242 r., a przypisywanej często Joachimowi z Fiore, pojawia się zapowiedź o przyjsciu *Antychrysta* w 1250 lat od narodzenia Świętej Dziewicy. Roger Bacon, franciszkanin, który interesował się astrologią, skonstruował *Wielkie dzieło* w latach 1266-1267 „*Matematyka*” i był przekonany, że przepowiednie arabskie astrologiczne pokrywają się z liczbą imienia Bestii z Ap 13,18. Trzynastowieczny konflikt między papieżem a cesarstwem spowodował nasilenie się motywów apokaliptycznych w duchu wyraźnego wskazania na *Fryderyka II* jako na *Antychrysta*: od tego momentu można mówić o joachimizmie. Papież, Grzegorz IX w 1239 r. określił Fryderyka „*Bestią wychodzącą z morza*” Ap 13, 1-2, a ten w odwecie nazwał Grzegorza IX smokiem, aniołem z czeluści i czerwonym koniem Ap 16, 1-3.

Po Grzegorzem podjął z cesarzem podjął Innocenty IV. Rainer z Viterbo, kardynał, zasłynął ze skrajnych oskarżeń Fryderyka, co miało taki skutek, iż obrońcy cesarza przeliczyli wartość imienia *Innocencius papa* na liczbę 666. Wybuch joachimizmu wśród franciszkanów, jak się przyjmuje, rozpoczął się od przywiezienia prac mistrza z Fiore do klasztoru franciszkanów w Pizie, kiedy przeor florentyński uciekał przed armią cesarza w 1247 r. Zakon uznał, że według przepowiedni jest przeznaczony do wypełnienia misji przeciw *Antychrystowi*. Jan z Parmy (1247-57) oraz brat Salimbene przyczynili się do powstania

wielu dokumentów i opracowań w duchu Joachima oraz ugruntowali legendę o *Antychryście*. „*Komentarz na temat Jeremiasza*” prawdopodobnie był częściowo spisany przez kalabryjskiego przeora, a miał być wręczony w 1197 r. ojcu Fryderyka. Fryderyk nagle w 1250 r. zmarł i uznano ten fakt za „*apokaliptyczną tajemnicę*”, przypuszczając jednak, że bestia zostanie przywrócona życiu zgodnie z Ap 13,3; 17,10-11. Widziano Fryderyka z wojskiem, udającego się po dnie morza na Etnę ku wrotom do piekieł. Kolejna, rzekomo Joachimowa, „*Księga plag prorockich*” głosiła panowanie *Fryderyka Trzeciego* (syna lub wnuka). O przesuwaniu lat nadejścia *Antychrysta* z 1260 na 1250 świadczy „*Przepowiednia brata Columbinusa*”, która twierdziła, że ponownie *Antychryst* pojawi się po 1316 roku w Jerozolimie, zostanie zabity na Synaju, po czym rozpocznie się tysięcletni czas siódmej pieczęci.

Franciszkanie i dominianie rychło popadli w konflikt z resztą duchowieństwa, zwłaszcza za przyczyną Gerarda z Borgo San Donnino, który, jak wspomnieliśmy, chciał zastąpić *Biblię* pismami Joachima, po czym duchowieństwo zakonne i świeckie zostało zaatakowane przez świeckiego zwierznika Paryża – Wilhelma de St. Amour i oskarżeni o herezję. W 1255 r. papieska komisja uznała dzieło Gerarda za hereetyckie, a autora skazano na więzienie⁷. Podobnie w 1257 r. zmuszono do odejścia przeora Jana z Parmy, natomiast Tomasza z Akwinu i Bonawenturę poproszono o odparcie ataków na zakony żebrzące⁸. Poglądy Joachima nadal jednak żyły w pewnej grupie jego uczniów, pragnącej skrajnego ubóstwa z „*Testament*” św. Franciszka. Bonawentura próbował łączyć dwa obozy, natomiast jego uczeń, Piotr Olivi (1248-1298), stanął po stronie frakcji radykalnej – jako spuścizny Franciszka i Joachima. Reformator kleru podsycił wiarę w *Antychrysta* nieco modyfikując czas krytyczny na 1300 rok. Rozpatrywał dwa aspekty każdego z *Antychrystów* przeciwnych Chrystusowi. Papież Jan XXII potępił nauki Oliviego o absolutnym ubóstwie Chrystusa; sugerowano więc, że jest *Antychrystem* w teorii i w praktyce, podobnie jak papież awinioński. W lipcu 1294 r. wybrano pustelnika, Celestyna V, na głowę Kościoła. Po ustąpieniu został uwięziony przez kolejnego despotycznego papieża – Bonifacego VIII. Pisma Pseudo-Joachimowe pojawiły się nadal, jak np.: „*Anielska Wyrocznia Cyryla*”, „*Przepowiednie*” i „*Vaticinia*” stanowią zapowiedź zmian w apokaliptyce późnego średniowiecza. W klimacie *uduchowionych* franciszkanów, po Olivim, pisał Ubertino z Casale, uznając praktykę obwoływania *Antychrystami* papieży. Inkwizycja papieska, która na początku zwalczała herezję katarów, dotknęła również franciszkanów, bowiem w roku 1318 czterech z nich zostało spalonych. Jan XXII był konsekwentny w prześladowaniach *uduchowionych*.

Około roku 1290 *Antychrystem* zainteresował się uczonej Katalończyk, Arnold z Villanovy, lekarz, który wiele lat dopracowywał swoje dzieło pt. „*Czas nadejścia Antychrysta*”. Przedstawił je w Paryżu teologom w 1299 r. Dzieło spalono, autora uznano za hereetyka, jednak wzbudziło to ferment i dominikanin Jan Quidort zajął stanowisko pośrednie. Kanclerz Oksfordu zdecydowanie je potępił. W literaturze temat *Antychrysta* zawoocował w poezji Jeana de Meung, Jacopone da Todi, Dantego Alighieri, Guillaume'a de Lorris Francesca Petrarki.

W latach 1348-1349 wymarła w Europie zachodniej jedna trzecia populacji, co proroczo przewidział Jean de Roquetaillade, franciszkanin w 1345 r., przebywając w więzieniu. Powstały jego pióra: „*Księga tajnych wydarzeń*”, „*Komentarz na temat antelskiej wyroczni Cyryla*”, „*Towarzyszysz w cierpieniach*”. Z prac tych wyczyera milenaryzm, a data końca przewidziana jest na 2370 rok. Wielką sławą w owym czasie cieszyła się św. Brygida, wizjonerka ze Szwecji, która przypominała papieżowi o powrocie do Rzymu oraz Piotr z Aragonii, franciszkanin wieszczący pod wpływami Joachima. W 1377 r. rzeczywiście Grzegorz XI powrócił z Awinionu do Rzymu, a po jego śmierci odbyło się „*podzielone*” konklawe. Wybrano dwóch papieży: rzymski lud ogłosił papieżem Urbana VI, kler Klemensa VII, który powrócił do Awinionu. Wielka schizma trwała w latach 1378-1417, stanowiła podstawę do obaw i lęków o Kościół, co zaowocowało kolejnym traktatem apokaliptycznym pt. „*Wielkie cierpienia i stan Kościoła*” Telesfora z Cosenzy oraz wezwaniem ludu do

pokuty w pismach – kazaniach Wincentego Ferrera. Wreszcie w 1917 wybrano Marcina V na papieża, przyczynił się do sprawy *Antychrysta* w kazaniach Bernardyna ze Sieny i Mateusza ze Szwecji. Nowy prąd, rozróżnienie między instytucją papieża a poszczególnymi osobami sprawującymi urząd, pojawił się wraz z osobą Johna Wycliffe'a w Anglii ok. 1330 r., następnie rozwinął się w Czechach. Prace Wycliffe'a „*O apostazji*”, „*O władzy papieskiej*” podkreślały różnicę między widzialnym a niewidzialnym Kościołem. W Czechach natomiast ok. 1402 r. narodził się ruch husyty, podniosły głosy wzywające do reformy: Konrada Waldhausera, Jana Miliča, Mateusza z Janowa. Poglądy owe przejął Jan Hus, spalony jako herezyk w 1415 r. W 1412 r. Mikołaj z Drezna ogłosił traktat „*Stary kolor i nowy*” przeciwko *Antychrystowi*, wyraźnie podkreślając przepaść bogacącego się papieża przeciw idei ubóstwa Chrystusowego. Ruch osiągnął radykalny szczyt w latach 1419-1421. We Włoszech kilku wędrownych kaznodziej i franciszkanin Michał Carcano z Mediolanu w 1461, następnie pustelnicy w 1473, podróżowało z hasłami wielkiej konieczności pokuty przed nadejściem dni ostatecznych. Rok 1484 uznano za rok końca świata (konjunkcja Jowisza z Saturnem). Niewątpliwie najznamienszym z wieszczów był w tym czasie kaznodzieja z Florencji, Girolamo Savonarola, ale i jego ekskomunikowano w 1497 r., spalono zaś w 1498 r. Dekret soboru laterańskiego potępił próby ustalenia daty końca świata.

Obłuda, nieprawość duchowieństwa, utożsamienie najwyższego zła z herezykami, wskazanie na konkretnego fałszywego papieża, ogólna obłuda religijna – oto przejawy *Antychrysta*, który z zależności od sytuacji historycznej przybierał różne oblicza, a fala zainteresowania tym tematem przysyłała lub wybuchala jaskrawym płomieniem.

W 1517 r. odnotowuje się początek reformacji. Teolog Ernst Troeltsch twierdzi, że: „*reformacja Lutra bazuje na średniowiecznej wizji religijnej, mimo iż zapoczątkowała rozłam wcześniejszego świata*”, ale teolog Heiko A. Oberman pisze: „*Luter ogłaszał Dni Ostateczne, nie współczesną erę*”⁹. Widzimy, że w sprawie profetyzmu i *Antychrysta* nie można wygłaszać uproszczonych sądów; raczej należy przyrzeć się zjawisku linearnie; prześledzić nurty, zmiany, nawroty. Podstawą jednak są teksty biblijne i od nich więc zacząć należy, by nie dokonać nadinterpretacji, co zresztą jasno ujawnia się w profetycznej literaturze średniowiecznej.

Przyjmując się *wieki średnie* kończyć datą odkrycia Ameryki przez Krzysztofa Kolumba – 1492. Wspominałam o zaurczeniu żeglarza myślą Joachima z Fiore. Trzeba zatem dodać jeszcze, że średniowiecze jest bardzo zróżnicowane w swoim przesłaniu ostatecznym. Wiele w nim jasnych barw: w nauce, architekturze, sztuce, literaturze. I każdy aspekt jest ważny, potrzebny i godny rozważenia, w tej synkretycznej i ciekawej epoce. ■

Jolanta Baziak

Przypisy:

- ¹ Cytaty podaje za: *Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu*, wydanie czwarte, Pallottinum 1989.
- ² Por. Bernard McGinn, *Antychryst*, Wydawnictwo „Da Capo”, Warszawa 1994, s. 20.
- ³ Cyt. za: jw. s. 107.
- ⁴ Cyt. za: jw. s. 117.
- ⁵ Angelo Canovesi, *XX wieków chrześcijaństwa*, Wydawnictwo Salezjańskie, Warszawa 1990, s. 82-104.
- ⁶ Por. Jan Grzeszczak, *Współczesne badania nad Joachimem z Fiore* [w:], *Poznańskie Studia Teologiczne* T. IX.
- ⁷ Zob. Guy Bedouelle, *Kościół w dziejach*, Podręcznik Teologii Katolickiej, T. 14, Pallottinu, 1994, s. 48-76.
- ⁸ Ks. Marian Banaszak, *Historia Kościoła Katolickiego* (2), Akademia Teologii Katolickiej, Warszawa 1987, s. 224-246.
- ⁹ Bernard McGinn, dz. cyt. s. 268.

Bibliografia:

- ks. Banaszak Marian, *Historia Kościoła Katolickiego* (2), ATK, Warszawa 1987.
 Bedouelle Guy, *Kościół w dziejach*, Podręcznik Teologii Katolickiej T. 14, Pallottinum 1994.
 Canovesi Angelo, *XX wieków chrześcijaństwa*, Wydawnictwo Salezjańskie, Warszawa 1990.
 ks. Grzeszczak Jan, *Współczesne badania nad Joachimem z Fiore* [w:], *Poznańskie Studia Teologiczne* T. IX.
 McGinn Bernard, *Antychryst*, Wydawnictwo „Da Capo”, Warszawa 1994.

Waldemar Hilla

Haendel „Wspaniały” contra Bach „Prawdziwy”

Choć od prapremiery światowej dramatu Paula Barza „Kolacja na cztery ręce” w Deutsches Oper w Berlinie Zachodnim minęło już 18 lat, ostatnia premiera tej wyjątkowo trudnej, bo opartej wyłącznie na dialogu i grze podtekstów sztuki w Teatrze im. W. Horzycy w Toruniu potwierdziła nieśmiertelną uniwersalność niemieckiego dramatu, bawiąc publiczność wcale – jakby się dzisiaj mogło wydawać – nieobiegowymi praw-

talach i kolorycie epoki. Tego typu formalno-konstrukcyjny zabieg pozwala autorowi na rezygnację z rozważań na temat istoty muzyki i geniuszu rywalizujących kompozytorów, na rzecz niekiedy głębokich i odkrywczych, zawsze jednak wyrafinowanie inteligentnych prawd dotyczących ludzkiej kondycji w świecie sztuki i obowiązków artysty wobec jego mecenasów, protektorów, opiekunów, sponsorów i publiczności. Podczas owe-



Bach – Mieczysław Banasik

dami o kondycji artysty, jego powinnościach wobec nie tylko społeczeństwa i władzy, ale i samego siebie.

Premiera polska dramatu Paula Barza „Kolacja na cztery ręce” odbyła się 1 kwietnia 1986 roku w Teatrze Współczesnym w Warszawie, w reżyserii Macieja Englerta. Do historii przeszła przede wszystkim dzięki niezapomnianym kreacjom Czesława Wołłejki (Haendel) i Mariusza Dmochowskiego (Bach). I od tej pory grana jest na wielu polskich scenach – wszędzie tam, gdzie w zespole aktorskim znajdowano osobowości potrafiące wcielić się w arcytrudne role niemieckich kompozytorów. W teatrze toruńskim reżyser – Ewa Marcinkówna bez trudu znalazła odtwórców dla muzycznych geniuszy XVIII wieku, w osobach Jerzego Glińskiego i Mieczysława Banasika.

Paul Barz, znany muzykolog, historyk kultury, autor książki „Schütz – Bach – Haendel”, uchodzi za znawcę bogatej biografii i tajników sztuki kompozytorskiej swoich bohaterów, których w dramacie ukazuje jednak w sposób niekonwencjonalny i nie pada przed ich geniuszem na kolana. „Kolacja na cztery ręce” to raczej swobodna wariacja, wykorzystująca niektóre elementy życiorysu Fryderyka Haendla i Jana Sebastiana Bacha, umieszczone jednak w rzeczywistości fikcyjnej. I na tym dramaturgicznym koncepcie osadzony jest główny temat tej brawurowej – zwłaszcza w konstrukcji dialogu – komedii. Na scenie dochodzi do spotkania, którego tak naprawdę nigdy nie było. Bo oto Haendel i Bach spotykają się w pokoju Hotelu Turyńskiego w Lipsku w 1747 roku, na wspólnej kolacji pełnej wykwintnych potraw: ślimaków, ostryg, karczochów, paszтетów, i nie mniej wyszukanych trunków. W ten sposób Barz niejako „koryguje” biografów i odchodzi od wierności prawdzie historycznej, której nie sprzeniewierza się jednak w poszczególnych de-

go wyimaginowanego spotkania dialog iskrzy się gamą zabawnych skojarzeń i gier słownych, dochodzi do wielu zaskakujących zwrotów akcji i charakterologicznych wolt i przemian. I jeśli w którymś momencie toruńskiego przedstawienia można było odnieść wrażenie, że sztuka Barza nieco nuży i rozciąga się ponad miarę, to chyba tylko dlatego, że niedyspozycja wykonawcy roli Haendla – Jerzego Glińskiego (wysoka gorączka i zapalenie krtni) nie pozwoliła na utrzymanie wartości i napięcia w konwersacji przez wszystkie trzy obrazy dramatu. Ale i tak ten wieczór teatralny pozostanie w pamięci przede wszystkim jako pojedynek dwóch wielkich konkurentów i rywali. Choć w sztuce pojawia się również ten „trzeci”, czyli Tatumfacki Haendla. Niko Niakas w roli Schmidta każde swoje sceniczne wejście wykorzystuje do maksimum, buduje gestą siatkę znaczeń w sposobach traktowania swojego długoletniego chlebobdawcy i jego gościa. Jest świadomy swojej bogatej wiedzy o życiu i muzyce kompozytorów. Owa wiedza pozwala mu niekiedy na odrobinę arogancji, to znów na głos rozsądku w toczącym się sporze o muzykę i życiowe postawy.

Jerzy Gliński, jako Haendel, ma pełną świadomość, że jest obywatelem świata, ceniącym ogładę, luksus, elegancję, dobre maniery i umiejętność zachowania się w towarzystwie. Dlatego tak przeżywa fakt, że w jego ojczyźnie nikt go nie zna, nikt go nie rozpoznaje i nie oddaje mu należnych hołdów. Wszak w Europie „boski saksończyk” i „uroczy potwór” odnosi sukcesy, cieszy się estymą władców i kardynałów, nawet kiedy ponosi porażki, mają one rozmiar przynależny jego wielkości. Gliński bardzo wiarygodnie ukazuje jaką cenę trzeba zapłacić za to światowe życie, którego kosztem jest samotność, ciągła niepewność losu, wieczny strach przed rywalami i codzienna wal-

ka o wpływy i akceptację. Jego Haendel to człowiek, który w głębi duszy skrywa swoje narastające przez lata kompleksy i poczucie zagrożenia.

Natomiast Bach – w interpretacji Mieczysława Banasika – jest absolutnym przeciwieństwem autora „Alciny” i „Ariadante”. Metamorfiza, jaka dokonuje się w jego postępowaniu, od nieporadności, ospałości i spokoju, do jakby metodycznej i krok po kroku przygotowywanego ataku zbijającego argumenty interlokutora, jest naprawdę imponująca. Dlatego Bach Banasika w przedstawieniu Marcinkówny wyraźnie góruje nad Haendlem, ale też i mit wielkości lipskiego kantora w naszej współczesnej świadomości jest zdecydowanie większy. Twórca „Pasji wg św. Mateusza” jawi nam się jako człowiek z krwi i kości, przede wszystkim wolny i niezależny, dla którego uprawianie muzyki i komponowanie to wielka przyjemność, a nie zabieganie o cudze względy i poklask. Obydwaj toruńscy aktorzy, dzięki swoim posturom, są również skonstrastowani fizycznie. Gliński jest szczupły, lekki, bardziej finyzyjny jako faworyt dworów, złośliwy i małostkowy sybaryta ceniący zaszczyty i dobra doczesne, Banasik ciężki, zwalisty, jakby powolniejszy w gestach i słowach, gruboskórny – na początku skromny jako prowincjonalny kantor od św. Tomasza, z pokorą oddający się służbie religii i Bogu.

Dialog, będący największą zaletą sztuki Barza, w toruńskiej inscenizacji nie traci nic ze swojej komediowej lekkości, błyskotliwości i wiarygodności. Nie gubi dowcipu, który skrywa prawdziwe emocje i uczucia. Ewa Marcinkówna wraz ze scenografem Marleną Skoneczko zaprezentowała w Toruniu naprawdę przyzwoity kawał teatru. Widać jak na dłoni dbałość i precyzję realizatorów w doborze najmniejszych detali – w galanterii kostiumów, w perukach, w zastawie stołowej i w serwowanych potrawach. Wszystkie rozmowy, utarczki, zwierzenia dzieją się w przestrzeni neutralnej, wokół centralnie usytuowanego stołu z klawesynem z prawej strony i z elementami organowej blach z tyłu. Toruńskie spotkanie Haendla z Bachem, na Scenie na Zapleczu, to wielka uczta tyleż kulinarna co filozoficzna gra w zawiść, zazdrość, panowanie i przez lata kumulowane żale, słabości i kompleksy.

Ciekawe czy obecni na premierze przedstawicieli władzy zrozumieli, że każda sztuka naprawdę ich potrzebuje, a jeszcze bardziej oni sztuki.

Paul Barz – „Kolacja na cztery ręce”

Przekład – Jacek Buras

Reżyseria – Ewa Marcinkówna

Scenografia – Marlena Skoneczko

Premiera – Teatr im. Wł. Horzycy 5 stycznia 2003 roku

Każdy dzień jest inny



85-023 Bydgoszcz, ul. Toruńska 20
tel. 052/375 36 20

Czynny w godz.:
poniedziałek–czwartek 18⁰⁰–1⁰⁰
piątek–sobota 18⁰⁰–4⁰⁰

Atrakcje:

- ✓ w piątki – soul, funky, hip-hop,
- ✓ w soboty – strip-tease artystyczny (o północy)
- ✓ w poniedziałki – wieczorki filmowe
- ✓ transmisje imprez sportowych na telebimie
- ✓ imprezy zamknięte (potańcówki, 18-tki, studniówki, urodziny, jubileusze)

Klimat undergroundu, ściany ręcznie malowane, szybka obsługa, niskie ceny, bezpieczeństwo.

Marek Krzysztofiak

Do waćpani starościny, przy tym – do podkomorzyny

Stanąłem na popasie w ogrodzie na soli. Jedno trzeba przyznać: nikt tu jadła nie przesoli. Zaznawszy kujawskiego smaku, a żurku i białej kielbasy, należałoby wspomnieć, że na Kujawach nie tylko szlachciory grubasy. Jedno mnie dziwi. Dlaczego przed jadłem nogi się sznurują? Potem do globusa wpadło, że trzeba dukatem za jadło. Popiwszy miódem i anyżówką zacząłem pracować główką. Czając z lekka po gościnnym jadłem, do waćpanów skreślałem – straciwszy dukata – zajadle. A mając na względzie me uszy, sądzę, że serduszka pismo waćpanom skruszy. Wybaczcie więc lapsusy, jam w pisaniu nie kusy. Lepszy już jest lokaj Jan, przy nim bowiem babski kram.

Niezmiernie pocieszon waćpanów słowy, wiele zamysłów ciągnie mi do głowy. A że mam strzygące uszka, nieco podnieć waćpanom serduszka. Romanse i figle wiodą do głowy, bom przecież daleko od swej wdowy. Toteż się waćpanny nie dziwujcie, tylko sobie pofolgujecie. Bo cóż miłszego od zalotów ukocha... A pfu, psia jucha... jam już do cna zepsuty. Jestem wszak szczęśliwy, bo waćpan słowa pochodzą z zakończenia komitywy. Lecz bardziej mnie cieszy, że me lapsusy serduszka wasze ucieszy. A z tym waćpanny do dzieła, przecież dziś nie niedziela. Czytując tę oto nowelkę, zażyjcie waćpanny kropelkę... serduszka bardziej pulsują, a kiecki, oh... podskakują. Oj, dlonie płoną, ciągną na to... Trochę sobie pofolguje, miłośćkę w sercu czuję. A pfu... na psa urok... wszystko mnie śwędzi, chyba do łaźni zapędzi.

No tam, tego... powiem krótko. Figle, harce i swawole od hrabiowskich smutasów wolę. A żem do figli skory, przypomnę waćpanom nieszpory. Książd Robak też się nie dziwował, bo rejentkę

Renatkę ukochał. Nie dziwiło go więc wiele, gdy rączką podszczypywał was... no tam tego... Jednak coś miłego. Waćpanny kwiliły jak kocięta... a mi z orbit wyszły oczęta.

A pamiętacie... panny roraty, jakżem pędził do asesorki Małgorzaty? Ot, figlarka nie ma co... jednak wyszło że mnie ladaco. Nawet Robak rypnął z ambony... oj, ojej, co to było, trzeba pędzić w objęcia żony. A to przecież była fraszka. Później waćpanny... to dopiero igraszka.

A jak przy roratach stoję, to wam waćpanny trochę przysolę. Pamiętacie, jak rejentka Zofia młodego żaczka wokół palca owija? A on żaczek wielki esteta, chociaż niebogaty. Jak wrzasnął w kościele, masz babo roraty. Okapinę przygłucha rejentka zbladła, a i tak do nóg żakowi padła.

Co waćpanny słyszę... od śmiechu was bok boli... A juści, przywożę z Kujaw leczniczej soli. Byłe nie za dukata, bo skończę jak lotrzyk... u kata.

Ano właśnie... Co ja to miałem, moje drogie waćpanny... No... no... ciekawostka odnośnie sukmanny. Słyszaliście zapewne, że stolica Kujaw orężem stoi. Ułanów multum, moje miłe. Warto tu spędzić kawalerskie chwile. Ale niedawno był ambaras... Pobliski klasztor trochę zakonnic opuściło naraz. Kujawskie kiecki założyły, tak za konnicą pędziły. Jam tam... tego... drogie panny się nie dziwuję... też tam... tego... czasem w brodzie sobie pluję...

Trochę mi waćpanny gardedko przysycha... lyczka dam miodu, nie będzie to pycha. A... i waćpanom polecam araku, byle w alkwie było moc smaku. Byle tylko nie było pacholego imbiru, bo byście waćpanny doleciały w igraszkach... ho... ho... aż do Sybiru.

Miodem popiwszy... Oj, kwarteczka pusta, globus się rozjaśnił, same niosą usta. A... a... sły-

szaliście... jak hrabina Honoratka, hodująca hortensje, wciąż do hrabiego miała pretensje. A... że ją zdradza, że lotrzyk i ladaco. Hrabia zaś Henryk zamiast w pokorze, hardością się uniósł na dworze. Honoratka, takie śliczne dziecię, nie wytrzymała... Piers jej zawirowała... halabardą rzuciła... i w skroń Henryka trafiła. I już od dawien dawna z ulanami tańczyła. Rotmistrza sobie przygruchała, dziś wspaniała z nich para.

No dobrze, jeszcze coś do uszka pisnę. Tylko sza... moje drogie panny, bo z ulanami nie ma żartów waćpanny. No... i na ułańskim honorze plama. Pewien leciwy, lecz jeszcze dziarski ułan, zaloty robił młodej, ślicznej pani. On zaś mawiał jej do uszka... Jeżeli mu ulegniesz panno, oddam... i tam tego dalej... Ona zdziwiona propozycją spojrziała i rzekła mu z wolna: masz ułanku dukacki... będę ci powolna.

Choć w globusie mi się troszkę zakręciło, kwarteczkę by się wypilo. Wybaczcie zatem moje frywolne zapędy, miódem popiję i skreślał w te pędy. Ostatnio na Kujawach, chodzi nowa fama. Pewnego starca z panną dość młodą, złączyło małżeństwo... Ach, daj Boże... Choć on chęci miał wielkie, stracił całe męstwo. Biedak szepce ponuro, ściskając swoje skronie. Gdy wisi – cóż z tego, że ponoć nie utonie.

Dosyć tej już frywolności, bo wynikną same złości. Ja wszakże waćpanny miłuję, więc trochę... oj, szkoda... się ustatkuję. Panny zapewne się uśmiechacie... oj, chciałbym być w tej chacie. Bo gdzie miłości moc, tam szczęśliwa noc. Ale tak na zakończenie, moje stolicy Kujaw widzenie.

Gdym był na rynku, jam stary... lubieżny ladaco, na pań nogi wciąż patrzył... jakby było na co. Raz, by obejrzeć nogi ładnej ulicznicy, zbyt się wychylił, nie widząc tablicy. Jakżem globusem walnął w szlaban, to zrobił się raban. I tak kończąc ku przestrodze, wolę iść na prostej drodze.

Wybaczcie waćpanny moje literackie lapsusy, jam tylko u Miodka podlewał kaktusy.

Rejencina Marco

Nowe tytuły

Tadeusz Buraczewski, *Ironieje i tykocino*, Gdańsk 2003, Wydawnictwo „Kelo”, ss. 152

Red. Mieczysław Orski, *Pokłosie konkursów literackich im. Stanisława Grochowiaka 1994-2002*, Leszno 2002, Wydawnictwo „Cicero”, ss. 120

Vlastimil Kovalčík, *Klucz światła*, Kraków 1998, Towarzystwo Słowaków w Polsce, ss. 180

Tomasz Zacherewicz, *Anioły nie umierają na raka*, Nowa Ruda 2003, Wydawnictwo „Mamiko”, ss. 60

Daniel Senderek, (SMS) *Słowa Mają Siłę*, Warszawa 2003, Wydawnictwo „Do”, ss. 230

Rafał Czoch, *Świat rozrywki*, Kraków 2002, Wydawnictwo Autorskie „Grafomania”, ss. 204

Magdalena Ziółkowska, *Arkusik poetycki*, Bydgoszcz 2003, Gimnazjum nr 20, ss. 8

Hanna Ossowska, *Światłoczułość*, Żnin 2003, Żnińskie Towarzystwo Kulturalne, ss. 66

Zbigniew Szwaja, *Ja, rymu czcieli*, Kraków 2001, Stowarzyszenie Twórcze Artystyczno-Literackie, ss. 64

Zbigniew Szwaja, *O miłości rozmowa z Tobą*, Warszawa 2002, Wydawnictwo „Matrix”, ss. 38

Krzysztof Ołędzki, *Zakwitnąc jemiółą*, Płock 2002, ZLP, ss. 64

Grzegorz Majda, *Astronomia naturalna*, Bydgoszcz 2003, Wydawnictwo Autorskie, ss. 134

Stefan Pastuszewski, *Pamiętki inflanckie*, Bydgoszcz 2003, Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, ss. 100

Tomasz Wincenty Rzepa, *Trudna miłość*, Poznań 2002, Wydawnictwo „Carmelitanum”, ss. 32

Lech Łbik

Sonata

Śniłem
nad brunatno-szarą doliną
odgradzoną od świata baśni
poszarpanym masywem doświadczeń
wstawało światło czuwania

wznosiło się coraz wyżej
omiatając znajome miejsca

ruiny Muzeum
z rozłupaną głową dziewiętej Muzy
wypaloną katedrę
nastroszone zębami blanków zamczysko

w przeciwległym kącie doliny
języki ognia pieściły karty książek z nadzieją
a rozwichrzony wiatr bił skrzydłami czasu
we wrota ostemplowanego burdelu
który krył Sopię
kochankę niegdysiejszych filozofów

kiedy się obudziłem
ona poszła inną drogą

dzisiaj nic mi się nie przyśni

Lublin, 17 V 1980

„Akant” spisany

Ukazała się już „Antologia «Akantu» 1998-2002” czyli monografia pierwszego pięciolecia naszego miesięcznika. Zawiera ona oprócz sylwetek wszystkich autorów spisy bibliograficzne, analizy ważniejszych treści, wreszcie – co ważne jest dla autorów poszukujących Czytelników dla swych utworów – adresy bibliotek oraz ponad 90, w większości szalane nieregularnych, czasopism literackich. Antologia, która może być niezłym przewodnikiem po zagmatwanym i zagęszczonym świecie literatury współczesnej, a szczególnie przydatna magistrantom i doktorantom jest dostępna w sprzedaży wysyłkowej prowadzonej przez redakcję. Wystarczy wpłacić 30 zł na konto Instytutu Wydawniczego „Świadectwo”, 85-009 Bydgoszcz, ul. Dworcowa 51 B/4, PKO BP I/O Bydgoszcz10201462-73033-270-11. Na przekazie prosimy zamieścić dopisek: „Antologia «Akantu»”.



Desta, Toruń

Ariana Nagórska

Konkursowe przewalanki

Nieco mniej młodzi rodacy pamiętają zapewne czasy, gdy udział w konkursach literackich nie wiązał się z żadnymi przykrymi niespodziankami. Wprawdzie konkursy prawie zawsze organizowano po to, by określone kliki jurorsko-organizatorskie mogły sobie za swą chałturę pobrać honorarium, ale kiedyś przynajmniej trochę udawano, że uczestnicy i laureaci konkursów też są w miarę ważni, bo bez nich „kulturotwórcza misja” jurorów i działaczy byłaby zbędna.

Dziś organizatorzy nie robią już sobie z bractwem konkursowym takich ceregieli. Pierwszym zwiastunem Nowej Epoki stały się konkursy, w których od razu na wstępie żąda się od każdego uczestnika określonej opłaty za sam udział. Kolejnym *novum* okazali się organizatorzy-terrorysty, którzy już w momencie ogłoszenia konkursu informują beczelnie, że każda nagroda nieodebrana osobiście – przepada. Tak jakby poczta na przełomie naszych tysiącleci przestała istnieć. Dziwne tylko, że w tym odłotowym kraju nikt nawet nie próbuje zapytać, W CZYICH PAZERNYCH ŁAPACH przepadają nagrody tych laureatów, którzy nie stawili się na rozkaz terrorystów-szantażystów w wyznaczonym miejscu i godzinie rozstrzygnięcia.

Tak zwana gala ogłoszenia wyników to w ogóle dla nieszczęsnego uczestnika konkursu istne pole minowe. Namnożyło się ostatnio organizatorów, którzy lubią czynić zmyślne niespodzianki. Serdecznie zapraszają na przykład wszystkich uczestników konkursu, nie informując, kto został laureatem, a kto nie. Liczą na tak zwanych „jeleni”, którzy zapewnią frekwencję, zjeżdżając się ze wszech stron w nadziei otrzymania nagrody, a tu tymczasem (niezależnie od daty) prima apri-

lis! Dodatkowa frajda dla organizatorów jest wtedy, gdy przybyli naiwniacy spodziewają się zwrotu kosztów podróży lub noclegów, których to „lulusów” nawet głównym laureatom nikt nie zapewnia. Niby można o tym wszystkim zawczasu poinformować, ale wtedy cała zabawa bierze w łeb. Finezja organizatorskich „dowcipów” biletowo-noclegowych polega właśnie na zaskoczeniu zdezorientowanych gości i wiąże się ze swoistym sportem. Im dalszą podróż za własne pieniądze goście odbyli, tym większy sukces organizatora-krętacza. Umiał zachęcić, choć nic nie płaci! A wielogodzinny nocleg na dworcu lub pod gwiazdami to przecie istne źródło natchnień, nikt więc nie powinien narzekać.

Dlatego też starzy wyjadacze konkursowi wolą dmuchać na zimne i nigdy nie jadą w ciemno. Taki woli za telefon zapłacić i wszystkiego dowiedzieć się dokładnie. Nawet ten, kto na lekcjach matematyki permanentnie pisał wiersze, potrafi sobie bez trudu w kapitalizmie wykalulować, że jeśli nie ma zwrotu kosztów podróży, a w nagrodę otrzymał tylko dyplom, to nawet kilka przystanków autobusem w obrębie miasta nie opłaca się jechać. Jak na ironię jednak ambicją najmniej hojnych organizatorów jest ogłaszanie konkursów ogólnopolskich. Na razie jeszcze nie wszystko zeszło na psy, kto się więc dozwoni do źródła, ten przynajmniej jakieś informacje (sprytnie w zawiadomieniu pominięte) zdola na własny użytek wycisnąć. Myślę jednak, że oszłamiający wzrost rozkwit etyki wkrótce spowoduje, że telefonicznie również będą udzielane informacje fałszywe.

Dość prekursorsko w kwestiach niedoinformowań poczyna sobie Towarzystwo Przyjaciół

Wąchocka, które wspólnie z Urzędem Miasta i Gminy w Wąchocku oraz Oddziałem ZLP w Kielcach i kielecką Oficyną Wydawniczą „STON-2” ogłosiło w ubiegłym roku ogólnopolski konkurs satyryczny „Wąchock '02”. Mimo tylu instytucji, w przedsięwzięciu partycypujących nie podano ani jednego numeru telefonu, bo pewnie nikt nie czuł się kompetentny w udzielaniu informacji. O tym, co istotne, konsekwentnie nie informowali zresztą do końca. W listopadzie otrzymałam zaproszenie na rozstrzygnięcie konkursu w dniu 7 grudnia, zgodnie z panującą modą pozbawione informacji o zapewnieniu (lub nie) zwrotu kosztów podróży bądź noclegu. Oczywiście nie informowano też, czy jestem laureatką. To miało się rozstrzygnąć dopiero na miejscu. Nic więc dziwnego, że zamiast do odległego, tajemniczego Wąchocka wolałam pojechać do bliższego i znacznie bardziej przewidywalnego pod względem gościnności Płocka. Po miesiącu, całkiem okreśną drogą, dowiedziałam się od znajomych, że jednak byłam laureatką, bo jakiś mój utwór ukazał się w lokalnej gazecie z adnotacją o nagrodzie czy też wyróżnieniu. Ponieważ nikt z organizatorów nawet nie zamierzał mnie o tym poinformować, na początku stycznia wysłałam list do Towarzystwa Przyjaciół Wąchocka z zapytaniem, kto konkretnie przywłaszczył sobie moją nagrodę. Przenosiłam jednak poczucie honoru owego towarzystwa. Liczyłam, że podejrzewani o złodziejstwo wykażą święte oburzenie i odpiszą, że nagrodą był właśnie druk w czasopiśmie, a nie żadna forsa lub przedmiot! Ostatecznie można by też wybrnąć pisząc, że nieodebrana nagrodę przekazano na szlachetny cel. Ale niby po co się tłumaczyć. Złodziejstwo to dziś przecie żaden wstyd. Właśnie bra k jakiegokolwiek odpowiedzi na mój list świadczy najlepiej, że chyba ktoś bliski organizatorom jednak coś tam zakombinował.

– Dlaczego w Wąchocku nie odpowiadała na listy? – Bo im się koperty do paluchów kleja!*

Janusz Orlikowski

Śmieszne imię polityki

Podobają mi się powiedzenia typu: *Właśnie jestem socjalistą. O, przepraszam, jestem kapitalistą. Nie, socjalistą jestem przecież.*

Sława. Jak ją osiągnąć? Jakie warunki polityczne muszą być spełnione, aby była ona moim udziałem. Z pewnością jest wytrych, który w końcu wyważy te mosiężne drzwi, które wciąż dla mnie są zbyt ciężkie. Ich połysk wciąż mnie podnieca. Mam go na odległość wzroku, lecz równocześnie to dal, niezmiernie dal. Wiem, że nic mi nie brakuje. Moja twórczość jest jedną z bardziej wartościowych przełomu XX i XXI wieku, a artystyczne gnioty często święcą triumfy. Dlaczego?

Skądinąd tragiczne to pytanie jest jednocześnie zabawne. Po stokroć zabawne. Odpowiedź bowiem kryje się w splocie okoliczności i miłości.

Gdzieś, w jakimś miejscu i czasie spotykają się mężczyzna i kobieta. Są dwa wyjścia: mogą być razem lub nie. Ilu ludzi tak się nie spotyka, albo spotykając się nie chce? Nie chce, bo kolor włosów jej (jego) mu nie odpowiada. Albo z ignorancji: nie wiedziałem, że kolor włosów ma taki wpływ. A to też jest wyraz polityki.

Sława – śmieszne jej imię. I nie piszę tu nic odkrywczego. A przy okazji przypominam sobie ten motyw:

„Wielka sława to żart,
książę błazna jest wart.
Pieniądz toczy się w krag,
z rąk do rąk”.

Może teraz by warto, skąd ten walc, kiedy powstał (a dawno) – i pokusić się o jego interpretację. Lecz nie to jest moim zamiarem. Interesuje mnie śmieszne imię polityki w kontekście pojęcia: sława. Odpowiedź wydaje się jasna: pieniądze. Pieniądz tworzy i firmuje, kto sławy dostąpić może. Jest to prawda, ale bardzo pokrętna. W końcu cze-gokolwiek władza firmować nie będzie. Zbyt grubymi nićmi byłoby to szyte. Chociaż zdarzyć się może...

Bo, kto kolega, to już rzecz inna. Podobają mi się słowa, które swego czasu wypowiedział w mojej obecności Jerzy Koperski, ten od MAW, który prostolinijnie rzekł tak: „*Spośród dwóch takiej samej jakości poetów wybiorę tego, którego znam osobiście, wiem o nim więcej i bliżej*”. Można przyznać mu rację. Chociaż dzisiaj ta racja, wydawać się może, nie ma większego znaczenia. Bo po roku 1989 zmieniły się warunki polityczne. Nie zmienił się jednak i nigdy się nie zmieni sposób myślenia, przynajmniej w tej kwestii. Tu rodzi się ten bunt, o którym, chcę mieć nadzieję, quasikarykaturalnie było na wstępie. I jak tak może być zawsze? Sprawiedliwość literatury robi duże oczy i topi się w oceanie względności. Obok, gdzieś w innym jeziorze, pływa ten, który myślał kim być: socjalistą czy kapitalistą? Na powierzchni oceanu – zakładnicy sławy. Im nigdy nie da się zanurkować w głąb. Tam pływają prawdziwe quasimilczące ryby literatury. One nie mają takich problemów.*

PRZEDSIĘBIORSTWO USŁUG KOMUNALNYCH

ul. Smoleńska 41; 85-871 Bydgoszcz
tel./fax 320-81-80; 320-81-85

www.corimp.com.pl; e-mail: corimp@corimp.com.pl

- ▷ wywóz nieczystości stałych komunalnych
- ▷ wywóz nieczystości komunalnych gromadzonych selektywnie – segregacja odpadów systemem worków w domkach jednorodzinnych
- ▷ podstawianie i opróżnianie kontenerów do gruzu, złomu itp.
- ▷ wywóz nieczystości wielkogabarytowych
- ▷ mechaniczne czyszczenie ulic, przystanków komunikacji miejskiej oraz miejsc użyteczności publicznej
- ▷ odśnieżanie i usuwanie śliskości oraz utrzymanie przejezdności w ramach zimowego czyszczenia dróg
- ▷ wazenie usługowe pojazdów i towarów

BAZA TRANSPORTOWA

ul. Smoleńska 154, 85-871 Bydgoszcz
tel./fax 320-81-70

Ariana Nagórska

Tako rzecze czytelnik – władca absolutny!

W artykule „Szalone lata dziewięćdziesiąte” („Akant”, marzec 2003, s. 41) Tadeusz Lira-Sliwa zadał pod moim adresem dwa pytania: 1) „Czy autorka »Podatku od imperium« (1986) wymazała ze swojej pamięci <zakazane utwory> Stanisława Barańczaka, Zbigniewa Herberta, Ryszarda Krynickiego, Czesława Miłosza, Adama Zagajewskiego i innych »konspiracyjnych poetów«”? 2) „Czy A. Nagórska ceni twórczość poetów, którzy »współżyli z potworem«”?

Wiązało się to z moim wcześniejszym oświadczeniem czarno na białym („Akant” 2002, nr 12, s. 26), że pisarstwem opozycjonistów zbytnio się nie interesuję. Jest to wypowiedź zupełnie jasna, jednak tak odległa od tego, co gadać „należy”, że zdumiony (i życzliwy mi, jak sądzę) autor artykułu inteligentnie usiłuje zasugerować, że na pewno napisałam zdanie to pochopnie, w rzeczywistości myśląc jednak inaczej.

No więc cóż, nie ma wyjścia, trzeba się wypowiedzieć jeszcze dosadniej. Wiem, że niektóre kręgi uznają za obywatelski obowiązek zgłębianie i bezwzględne podziwianie dzieł określonych autorów, a nawet tracenie czasu na analizy, co na przykład zawistny Herbert wygamał Miłoszowi lub komukolwiek innemu. Ponieważ twórczość żadnego z tych dwóch poetów (nie mówiąc już o Barańczaku czy Zagajewskim) nie należy do moich ulubionych lektur, tym samym więc pamięć moja nie jest szczególnie wyczulona na to, co wierszem

wyrazili. Nie chodzi tu wcale o świadome wymazywanie z pamięci, tylko o samoistny odruch selekcyjny. Jest i było w ojczyźnie tylu świetnych poetów, że jako czytelnik nie tylko MOGĘ, ale i MUSZĘ wybierać, bo nie uważam, by mózg mój miał walor boski w postaci pojemności nieskończonej. Z dwojga noblistów do olśnień i zachwytów wystarczy mi Wisława Szymborska, Miłosza cenię jako erudyte i eseiste, jeśli zaś chodzi o poezję, to moim prywatnym drugim noblistą jest Tadeusz Różewicz. Nie ukrywam jednak, iż wielce się ucieszyłam, że Nobla dostał Miłosz, a nie nawiedzony politycznie Herbert.

Potęga jego „smaku” jest dla mnie nie tylko nieapetyczna, ale i niestrawna. Tym samym wiodzące się z jego wiersza słowo „potwór” na określenie PRL-u wydaje mi się groteskową fanfaronadą maniaka, a nie dramatycznym strzałem w sedno.

Za jednego z najwybitniejszych poetów polskich drugiej połowy XX wieku uważam Stanisława Grochowiaka, który nie tylko publikował wszystko w obiegu oficjalnym, ale też na dodatek pełnił ważne funkcje w „reżimowych” redakcjach. Nie podoba mi się jedynie, że ludowa ojczyzna niewystarczająco moim zdaniem poznała się na unikatowym talencie Ryszarda Miłczewskiego-Bruno, którego ranga wolno, lecz konsekwentnie wzrasta w miarę upływu lat od daty śmierci. Niedawno widziałam wielce wymuska-

ną edytorsko antologię, w której tak zwanych „młodych poetów” reprezentowali wszyscy tymczasowi święci szalonych lat dziewięćdziesiątych, tak brulionowi jak i kruchtowi: Wencle-Kielary-Tkaczyszyny tudzież Jacki i Marciny. Jednak wśród prezentowanych poetów debiutujących w latach wcześniejszych nie było już zbieraniny koleśiów. Tam właśnie obok żelaznych kombatanów opozycji pojawił się i Grochowiak, i Stachura, i Miłczewski-Bruno. Im dalej w las talentów, tym mniej politykierstwa.

Choć mowa tu o poetach, mogę też uczynić dygresję, że bardzo ceniony w czasach PRL-u Edward Redliński do dziś jest najciekawszym (ale też najbardziej niewygodnym z racji talentu) polskim prozaikiem i żadne tam pompowane potężną kasą Pilchy jego pozycji nie zagrażą.

Nawet jeśli zakamieniałym akademikom i mafijnym krytykantom tekst mój może się wydać obrazoburczy, jest w nim tylko to, co KAŻDY czytelnik powinien posiadać – własne zdanie! Ludziska narzekają na wszechstronne manipulacje, a w jedynej dziedzinie, w której mogą mieć władzę najzupełniej absolutną (to znaczy w doborze lektur), rezygnują z niej na rzecz tego, co w skundlonych salonach wypada czytać i chwalić.

Tadeusz Lira-Sliwa zalicza się chyba jednak do czytelników o niezależnych sądach, o czym świadczą choćby jego pochwały twórczości takich autorów, których nazwisk salonowi pieczęniarze raczej asekuracyjnie nie wymieniają. Zestawił na dodatek te osoby „nie na topie” razem z kilkoma ostro reklamowanymi – a to już groźna herezja. Mózgowe komputerki osób zdalnie zaprogramowanych mogą się od takich treści zablokować. A wtedy niejedna próżnia eksploduje.✶

KONDYCJA LITERATURY POLSKIEJ

KONDYCJA LITERATURY POLSKIEJ

KONDYCJA LITERATURY POLSKIEJ

Bydgoszcz w literaturze

(konkurs dla młodzieży szkolnej)

Celem konkursu jest zwrócenie uwagi na mnogość motywów bydgoskich w literaturze pięknej, a równocześnie wyeksponowanie piękna Bydgoszczy, a przez to umiłowanie „małej bydgoskiej ojczyzny”.

Konkurs – zorganizowany przez Miejski Ośrodek Kultury oraz Wojewódzki Ośrodek Metodyczny – adresowany jest do uczniów gimnazjów i szkół średnich. Polegać będzie na napisaniu krótkiej pracy (do 3-4 stron maszyno- bądź komputeropisu) w którejś z wybranych kategorii:

1. Opowieść (gawęda) o bydgoskim pisarzu.
2. Bydgoskie „miejsca magiczne” w zwierciadle literatury (ukazanie – wraz z przytoczeniami – jednego lub kilku szczególnych miejsc lub obiektów opisanych na kartach książek).
3. Analiza lub recenzja wybranego utworu o Bydgoszczy.

Przewodnikiem po tych tematach mogą być publikacje znajdujące się na stronie internetowej Miejskiego Ośrodka Kultury: www.mok.bydgoszcz.pl.

Pod e-mailem: mok@mok.bydgoszcz.pl można też prosić o pomoc w uzyskaniu szczegółowej bibliografii określonego tematu, opatrując swoją korespondencję adnotacją „Bydgoszcz w literaturze”.

Prace należy nadsyłać – pocztą bądź Internetem – do 31 maja 2003 roku pod adresem: Miejski Ośrodek Kultury, 85-104 Bydgoszcz, ul. Batorego 1/3.

Na początku czerwca w Kawiarni Artystycznej „Węgliszek” odbędzie się spotkanie z laureatami konkursu.

C REDO

WYPOSAŻENIE LITURGICZNE
DEWOCJONALIA
INTERESUJĄCE KSIĄŻKI

w tym ks. Jana Pomina
i ks. Jana Twardowskiego

mgr Katarzyna Meler
Salon

85-060 Bydgoszcz, ul. Sobieskiego 3
tel. (52) 58 40 766



CENTRUM HANDLOWE
DOM i styl

85-796 Bydgoszcz
ul. Fordońska 333, tel. 343 22 11
www.domistyl.com.pl
e-mail: biuro@domistyl.com.pl

PN.-PT. 10.00-20.00
SO.-N. 10.00-14.00

STUDIO
ZDROWEGO SNU

zdrowe łóżka
komputerowy dobór materacy

Lubię ładne rzeczy



Fot. Cezary Tajer

Jaka jesteś współczesna poezjo?

Jacek Tabisz

O deizmie, ateizmie, demonach i aniołach

W swoich wierszach bardzo często poruszam sprawy natury filozoficznej. Uważam, że poezja jest świetnym medium, być może najlepszym, do refleksji nad naturą świata, istnienia i jego przyczyny sprawczej. Mam w sobie pewien model rzeczywistości, który staram się rozwijać i zmieniać. To wyobrażenie rzeczywistości wpłata się w moje wiersze – jest źródłem panującego w nich nastroju, metafor w nich użytych, a nawet melodi. Z drugiej strony, pisząc moje utwory rozwijam i zmieniam swoje wyobrażenie świata.

Pisanie wiersza ma dla mnie znaczenie odkrywczcze, podobnie jak dla matematyka przeprowadzanie dowodów lub dla geologa badanie skał. Dokładnie tak: po pierwsze – tworzę i poetycko udowadniam swoje idee, po drugie – jak przyrodnik – badam istniejący materiał świata, wyciągając z tego wnioski. Uważam, że pomiędzy nauką a sztuką zachodzi wiele podobieństw, że są to nasze główne narzędzia pomocne w odkrywaniu świata. W przeciwieństwie do nauki sztuka może jednak wpłatać w proces poznawczy również emocje, nastroje i odczucia. Pozwala na używanie nieokreśloności, a tylko dzięki niej można w ogóle próbować wyrazić wiele z tajemnic Natury. Nauka z kolei jest silniejsza dzięki umiejętności klasyfikacji, staje się użyteczna również dla ludzi, którzy jej nie rozumieją. Nieznajomość elektroniki nie przeszkadza w użytkowaniu telewizora, nieznajomość muzyki natomiast znacząco ogranicza odbiór sonat Beethovena czy też wierszy Petrarki.

Uważam, że artystyczne poszukiwanie Boga jest w pełni możliwe pod jednym warunkiem. Nie należy niczego zakładać a priori. Dlatego – moim zdaniem – wiersze twórców religijnych są z góry obciążone posmakami oczywistości i nie mają pełnej wartości poznawczej. Podobnie jak marsz wojskowy, służą pewnej ceremonii, przyjętemu i niepodważalnemu zbiorowi zasad i dogmatów. Oczywiście – marsz wojskowy może być niezwykle piękny, może w swych detalach być bardziej odkrywczy od wielu symfonii. Ale nigdy nie stanie się genialną symfonią. W wierszu religijnym twórca może odnaleźć najlepszą z możliwych estetykę, osiągnąć pełnię środków wyrazu – jednak nie jest on w pełni odpowiedzialny za obraz świata, który kreuje. Zatem – moim zdaniem – nie jest w pełni twórcą. Szczególnie rzecz ta dotyczy literatury, gdyż podobnie jak religie, opiera się ona głównie na ideach zawartych w słowach. Kantaty Bacha mogą być uniwersalne dla ateistów dzięki swej muzyce, jednak nie dzięki swoim tekstom. W muzyce obraz cierpienia jest czystą i głęboką emocją, w poezji częstokroć musi on zostać bliżej dookreślony. Podobnie w architekturze – katedra gotycka zachwyci wrażliwego Chińczyka, jednak wiersz z tego okresu może pozostać dla niego niezrozumiały lub też być jedynie przeżytkiem dawno umarłego świata.

Gdy jednak poeta podchodzi do świata z czystym umysłem, staje się on filozofem. I jest nim, w pewnej mierze, we wszystkich swoich utworach, bo przecież obraz świata przejawia się nie tylko w wierszach metafizycznych, ale też – na przykład – we fraszkach i lirykach. Gdy dowiedziałem się, że w marcu powstanie numer monograficzny „Akantu” na temat Boga, bardzo się ucieszyłem. To bardzo szeroki, bogaty i kreatywny temat. Jednak – szukając już konkretnych wierszy,

które mógłbym wysłać, trafiłem na wiele utworów zupełnie innych tematycznie, gdzie jednak refleksja nad pierwszą przyczyną pojawia się w tle i to, moim zdaniem, pojawia się lepiej niż w wierszach wprost dotyczących tego tematu. Może tak właśnie najlepiej o tym pisać? Podobnie jak w codziennym życiu myśl o Stwórcy jest w takich wierszach usytuowana obok innych spraw. Przecież – gdy podejdziesz do całej sprawy in blanco, nie wiadomo nawet – czy Bóg istnieje. Gdy zatem dotyczące Absolutu przemyslenia wylaniają się jakby mimochodem, znad innych, bardziej pewnych obszarów poznania, wtedy przemyslenia te stają się bardziej wiarygodne. Jednak zdaję sobie sprawę, że nie każdy podzieli mój tok rozumowania, więc przesyłam teksty otwarcie skierowane ku obłokom.

Napisane przeze mnie teksty są efektem poszukiwań – obraz Boga podlega w nich bezustannym przemianom. Aby być lepiej zrozumianym, odwołuję się często do symboliki związanej z naszą kulturą. Na początek polecam lekturę fragmentu mojej nieopublikowanej jeszcze powieści „Pandora”. Ten fragment książki powstał osobno i może funkcjonować w oderwaniu od całości jako chyba jedyny. Zapewne – jeśli książka doczeka kiedyś swej publikacji – będzie to też najbardziej kontrowersyjny fragment. Głównie dzięki otwartej krytyce uznaniowych oczywistości zawartych w największych religiach monoteistycznych i pokazaniu możliwości istnienia duchowości głębszych, ale niezależnych od Słów Objawionych. Jest to też pochwała relatywizmu, który na naszej scenie intelektualnej jest odbierany jako słowo o znaczeniu pejoratywnym. Tym niemniej wysyłam ten obszerny dialog, gdyż być może uczyni on bardziej zrozumiałym wybór pozostałych tekstów. Jednocześnie wiem, że mogę liczyć na otwartość „Akantu”. Pełniący w tym tekście faustowską funkcję Ithail jest jednym z głównych bohaterów powieści. Zarówno on, jak i Zbawiciel nie są tymi, którymi mogliby się wydać z samego dialogu oderwanego od całości. Mój utwór jest też, rzecz jasna, nieoczywisty – bądź co bądź cyrograf zostaje podpisany... Zarówno w nim, jak i w dalej opisywanych wierszach starałem się umieścić „sieć Arystotelesa” – w dalszym ciągu mojego listu omawiam jedynie jedną z wielu płaszczyzn znaczeniowych nadesłanych utworów, tę najbliższą tematowi „Bóg”.

Fragment „Pandory” dobrze ukazuje moje różne poetyckie motywacje, jest prostszym ukazaniem tematów, które w wierszach są bardziej złożone i, mam nadzieję, głębsze i bardziej tajemnicze. Cóż – na tak metafizycznym polu poezja prawie zawsze wygrywa z prozą.

Dla większej jasności wprowadzę teraz terminologiczny neologizm, szczerze mówiąc nie wiem na ile oryginalny. Będzie to przymiotnik „poezoficzny”, czyli „filozoficzny poprzez język i metodę poezji”. Zatem – podchodząc z czystym umysłem do zagadnienia Absolutu na samym początku zetknąłem się z problemem – „Co w ogóle mogę określać jako Boga?”. Nie jest to bynajmniej niepotrzebne pytanie. Kiedyś spotkałem się z ciekawą wypowiedzią stuprocentowego ateisty, który oznajmił, że w pewnym sensie wierzy w Boga. Jego racjonalne poglądy dotyczące natury świata skłaniają go bowiem do szacunku i zadowolenia z mechanizmu ewolucji istnienia. Ów człowiek

uznał, że wobec innych śmiało może używać terminu Bóg, aby jego szacunek dla bezpodmiotowego świata był z góry jasny i zrozumiały.

Nietrudno zatem zauważyć, jak ulotna jest granica pomiędzy ateizmem a deizmem. Skłoniła mnie ona do wielu poezoficznych eksperymentów i rozważań. W wierszu „Jedno” jest to chyba najlepiej widoczne. Z kolei rasowy deizm wyraziłem w moim „Sonecie mechanicznym”, gdzie starałem się oddać dźwięk trybów maszyny świata przez które przemycamy. Co może jest straszne, ale i piękne zarazem. Inny zupełnie obraz deizmu przedstawiłem w utworze „Ktoś włożył koronę z wawrzynu” – będącym również (choć nie bardziej) pełnoprawnym lirykiem. Bóg jest tu ukazany jako istota żeńska (lepsza dla oddania pewnej chthoniczności). Nie ma już kuźni wszechświata, ale pusty ogród. Choć bogini jest tylko kamiennym posągami, kształtuje jednak uczucia podmiotu lirycznego. Choć świat jest deistyczny, podmiot liryczny może pozwolić sobie na pewną dozę teizmu. Starałem się tu oddać głębszą poezoficzną refleksję na temat tego, na ile rzeczy martwe istnieją w nas jako żywe podmioty. Jeszcze bardziej lirycznym przejawem tej refleksji jest „Złota maska” – stary już, ale ważny dla mnie utwór. Za mój najbardziej udany wiersz ateistyczny uważam sonet „Dalej jest tylko morze”. Starałem się, żeby ten wiersz brzmiał w swej najbardziej powierzchniowej warstwie jak zwykły opis, prawie jak do ambitnego podręcznika biologii. Im jednak dalej, tym większe starałem się kreować napięcie. Ostatni wers jest tu hołdem dla wielkiego E. A. Poe, mistrza w eskalacji metafizycznego niepokoju. Stawiam też w tym utworze poezoficzną tezę – „może istnieć duchowość ateistyczna”. Przewodni w „Dalej jest tylko morze” motyw morza wydaje mi się idealny dla oddania bezpodmiotowego bezmiar. Wykorzystałem go również w „Odnalazłem sen”, gdzie łączę deizm, ateizm i teizm. Jednocześnie poruszam myśl tak pięknie wyrażoną przez Orygenes. Ten Ojciec Kościoła mawiał, że człowiek ma w sobie całe światy, stada bydła i pełne traw polany... W tym utworze Absolut zaplątał się we wzajemną przenikalność świata zewnętrznego i wewnętrznych krain podmiotu lirycznego.

Bardzo mi bliski jest panteizm. Ta postawa przeczy zasadności poszukiwań Boga – jednocześnie ma w sobie coś z ciepłego deizmu. Już nie ma metalicznych trybów, lecz drzewa, trawa i rzeka. Tu polecam bardzo smutne „Requiem dla drzew II” – utwór powstały po barbarzyńskich pracach na wrocławskich wałach, gdzie rosną przepiękne stare dęby, kasztany i brzozy. Szalony inżynier od oszczędności postanowił naprawić najtańszym kosztem nasze wrocławskie wały zniszczone po powodzi. Stąd ten utwór żalobny. (Tylko proszę nie myśleć, że oplakiwanie drzew to efekt „rozpieszczonych czasów” – przeżyłem swego czasu również i bardziej oczywiste powody do żaloby). W tym utworze Natura stanowi ze mną jedność – śmierć moich liściastych przyjaciół jest również śmiercią czegoś we mnie. Jeśli mają Państwo jakichś znajomych ekonomistów od zagospodarowania przestrzennego byłbym bardzo wdzięczny za wręczenie im kopii tego utworu.

Natomiast cień innej duchowości pada na panteistyczny „Ruch przestrzeni”. Świat się uczy, świat się staje, świat dojrzeva. Nie ma jednej Absolutnej istoty. Ale być może świat staje się harmonią, swoją własną duszą czy też republiką przenikających się przyjaznych bytów. To dość optymistyczny wiersz. Nieco inny nastrój kreuje w „Krajobrazie spalonym słońcem” – ukazują w nim nieprzystawalność ludzkich lęków i oczekiwań „Boga” do panteistycznego krajobrazu. Starałem



się nie sugerować zbyt wiele bez potrzeby, ale można ten wiersz zatytułować „Ganges” – ludzie palą właśnie swojego zmarłego nad rzeką, co odpowiada kulturze Indii. Wydawać by się mogło, że to śmierć jest okrutna, co podkreśla też barokowy przepych pejzażu, z małymi ludzikami w tle, jak u Poussin’a. Jednak – staram się w tym utworze przewrotnie pokazać, że okrucieństwo jest jedynie ludzkim wynalazkiem. Powstaje z niewspółmierności ludzkich oczekiwań wobec samej istoty rzeczywistości, z chęci konformistycznego pozostania w niepodważalnej oczywistości tej czy innej wiary. Tymczasem rzeka jest rzeką. I tu kolejny wiersz z motywem rzeki – „Gdy ziemia ruszała na wojnę”. Poruszam tu temat wieczności chwili. Bowiemy naturalne jest, że nie za bardzo chcemy umrzeć w sposób ostateczny, bez żadnego Raju, czy nawet Hadesu – ten lęk jest zasobnym źródłem dla wymyślonych bogów i religii. Ale jest inne wyjście – głęboki panteizm zapewni wieczność chwil – życie ma swój kres, ale jesteśmy przecież wieczni w głęboko odczuwanych chwilach, gdy nie ma w nas lęku, tylko radość. Jedną z warstw znaczeniowych tego wiersza mówi w zasadzie o końcu świata – ziemia zrzuca z siebie jarzmo niszczących ją ludzi, zaś podmiot liryczny jest tu prawdziwym kolaborantem. Moim prywatnym określeniem takiego osobnika jest rzeczownik „demon”.

Stąd też kilka wierszy o demonach i choćby Ithmail – demoniczny bohater „Pandory”. Używając terminu „demon” nawiązuję do Antycznej Grecji, gdzie słowo to miało wybitnie pozytywny wydźwięk. Nawiązuję też do Indii, gdzie demon to istota bardziej świadoma od człowieka. Można ten mój termin rozumieć tak – demon to w moim artystycznym słowniku, między innymi, świadomy człowiek. Cóż to znaczy? Przede wszystkim demon nie toleruje oczywistości. Na każdą, nawet najprostszą rzecz patrzy jak małe dziecko – ze zdumieniem, z głową pełną pytań. Demon nie przyjmuje żadnych duchowych narkotyków – ani religii, ani marksistowskiego materializmu, ani różnych newageowskich gotowców. Nie ma autorytetów, ale też nikim nie gardzi. W miarę możliwości stara się po prostu zrozumieć otoczenie. Zdaje sobie również sprawę z własnych ograniczeń. Gdy wykluje mu się jakaś gotowa, pewna

i wygodna koncepcja czegokolwiek, traktuje to jako zagrożenie i stara się ją zniszczyć. Demon nie kieruje się etyką, ale świadomością. Co ważne – demon nie jest fanatykiem – może nie lubić chrześcijaństwa (bardzo naturalne u demonów), ale wie też, że w każdej rzeczy kryje się ziarenko mądrości. Prosty przykład – ewangeliczne „kochaj swoich wrogów” – demon uzna za mądrą myśl. Nienawiść bowiem szkodzi świadomości i bardziej dotyka osobę ją czującą niż adresata tegoż afektu. Obojętność może zarazić zwątpieniem, natomiast warto kochać cały świat, nie czyniąc wyjątków. To głównie umożliwia „wieczne chwile” – jedną z ulubionych, demonicznych przyjemności. Oczywiście, demon nie jest satanistą, ale gdy ma do czynienia ze szczególnie zamkniętymi w swej wierze osobami woli już być uznany za takiego, niż wdawać się w rozmowę, która nieodmiennie kończy się panicznym „nie chcę tego słuchać”. Podobne są moje wiersze o demonach. „O demonach” – wyraża najlepiej to co chciałem powiedzieć (jako że uprawiam „poezofię”, zdaję sobie sprawę, że jako domorosły filozof bywam drażniący). Podobny, choć dużo bardziej cieniasty jest wiersz – „Dusze demonów”. W utworze tym pojawia się napięcie pomiędzy światem demonów a mentalnością religijną. Ja obojętnie czuję czasem żal, gdy widzę osoby unikające bycia świadomymi. Ten żal przekłada się na wspomnianą już cienistość. Jak też i to, że jako „poetof” nie jestem wcale pewien swoich wniosków – mimo to piszę też o Bogu, tak jak w „Widziałeś króla” inspirowanym witrażem Wyspiańskiego. Tu obnażam do nagich kości złudzenie, jakim karmię swój niepokój niektórych z moich bliźnich. Ale – może niektórzy nie mogą inaczej? Przecież rzucanie paleń w wieku 70 lat może być bardziej złe niż dobre dla palacza... Zawsze też wiem, że wszystko jest prawdopodobne, że mogę spotkać osobę, która wierzy w swój kaloryfer i gdy wybuchną z tego powodu śmiechem, ów kaloryfer każe mi szukać Graala lub coś jeszcze bardziej męczące. Na ile wiersze o demonach są o Bogu? Można rzec, że jest to moja wizja badaczy rzeczywistości, więc też i poszukiwaczy Boga, osób dla których tego rodzaju pytania są ważne. Mój „demon” jest w pewnej mierze analogiczny do herbertowskiego Pana Cogito – jest personifikacją moich dążeń, istota

w którą czasem wątpię, z którą czasem się utożsamiam i którą czynię często moim literackim bohaterem. Tak, jak morze jest u mnie często metaforą ateistycznego braku Boga, drzewo – panteistycznego „Panboga”, mechanizmy i tory planet – deistycznej pierwszej istoty – tak demon staje się metaforą otwartej metafizycznej relacji z Absolutem. Dlatego użycyłem mu nieco miejsca, ryzykując fantazyjną barwność Blake’a.

W świetle tego, co powyżej napisałem, wiersze o aniołach mogą się wydawać co najmniej ekstrawaganckie. Zwłaszcza, że greckie słowo *angelos* oznaczało po prostu posłańca i to pewnemu nieuctwu mieszkańców mojej ulubionej epoki zawdzięczamy owe świetliste i skrzydlate istoty. Sam święty Jan – gdyby chciał określić posłańców Jahwe – prawdopodobnie użyłby, myśląc po grecku, słowa „demon”. W moim znaczeniu anioły to po prostu „uskrzydłone” demony, czyli istoty świadome zmuszone do robienia czegoś, co jest sprzeczne z ich naturą. Tu również nawiązuję do Bhagawadgity, gdzie wyrażona jest niezwykła filozofia działania w niedziałaniu. Kriszna tłumaczy Ardzunie, który nie chce zabijać w walce swych krewnych, że musi to uczynić, bo tego wymaga od niego sytuacja, los, czy też przeznaczenie. Nawiązuję do tego tekstu, bo jest on na tyle filozoficzny, że prawie nie religijny i jest też arcydziełem literatury. Tak więc moje anioły to demony uwięzione przez przeznaczenie. Demony nie mogące postępować w zgodzie ze swą świadomością, lecz zmuszone do pełnienia rozmaitych funkcji. Moje anioły byłyby możliwe tylko w teistycznej wykładni świata, są więc tylko i wyłącznie pewnym założeniem. Tym niemniej pomysł, że nad światem musieliby czuwać jacyś urzędnicy Boga, będący zapewne świadomi bardziej od ludzi, jest ciekawym pretekstem do ukazania różnych pojęć abstrakcyjnych w antropomorficzny sposób. Jeszcze inaczej mówiąc, moi aniołowie to wojownicy Ardzuny, będący może tylko pionkami w grze – jak chce Bhagawadgita, dbający o to, by wciąż toczyło się koło przemian. I tylko o to. Dla mnie zaś anioły mają znaczenie terapeutyczne – są wyraźną wyrwą w moim modelu świata, dzięki czemu nie porzucam go jeszcze, jak przystało na demona...¹⁰

Ariana Nagórska

Zderzenie ambitnych

„Tak absurdalnej zapowiedzi książki dawno nie było. (...) To świetny temat do felietonu” – napisał do mnie Stefan Pastuszewski, dołączając pismo krakowskiego wydawnictwa ADEQUAT, reklamujące wydaną przez nie książkę Ireny Żejmo, polonistki zamieszkałej w Niemczech. Tomik ten, o nieciekawym tytule «Anatomia uczuć», otrzymałam również.

Wydawca zaczyna od szumnej autoprezentacji: „W skład naszego wydawnictwa wchodzi międzynarodowy zespół doświadczonych specjalistów przygotowujący i realizujący wiele publikacji o charakterze zarówno materiałów reklamowych dla firm i korporacji, a także publikacji wydawniczych na rynek księgarski”. Po ludowemu nazywa się to łapaniem wielu srok za ogon. Od razu nasunęło mi się przypuszczenie, że w kwestiach poezji specje od reklamowania firm będą zapewne naiwni jak dzieci. Dalšie zdanie zdawało się to potwierdzać: „Kilkadziesiąt stron rozważań nad życiem, śmiercią, miłością, wspomnieniami, przeszłością, ubarwionych oryginalną grafiką, zapewnią wzruszającą, skłaniającą do refleksji lekturę”. Nietrudno zauważyć, że są to tematy poruszane w poezji od wieków, i to zarówno przez mistrzów słowa, jak i grafomanów. Nie temat decyduje więc o randze dzieła, tylko sposób ujęcia tego tematu.

Autorka reklamowanej książki (jak to bywa

najczęściej) nie jest ani mistrzynią, ani grafomanką. Jako polonistka pisze wiersze standardowo sprawne i językowo poprawne. Owszem, niektórzy czytelnicy tylko takich niczym nie zaskakujących wierszy poszukują, ale cały problem w tym, że w wypadku przeciętności biblijna maksyma „Kto szuka – znajdzie”, zyskuje wymiar wręcz apokaliptyczny. Przeciętnych książek są tysiące i wcale nie trzeba czytać recenzji, by na taką trafić. Skoro nie mają z tym żadnego kłopotu nawet osoby zupełnie prywatne, wyobrażam sobie, jakże sterty tego typu książek trafiać muszą do redakcji czasopism literackich! Nic więc dziwnego, że redakcję „Akantu” najbardziej zbulwersował następujący fragment promocyjnego pisma: „Proponujemy Państwu skorzystanie z możliwości przybliżenia Waszym czytelnikom tej niepowtarzalnej i wyjątkowo wartościowej poezji nieznannej jeszcze szerszemu gronu w Polsce. Naprawdę warto!”.

Stefan Pastuszewski zauważył, że zachowują się tak, jakby robili „Akantowi” łaskę, udostępniając do dzieła do zrecenzowania. Ja zaś bezskutecznie usiłowałam dociec czy jest to arogancja niekompetencji (nie wiedzą, jak wygląda dobra poezja i są święcie przekonani, że akurat tak, jak im się wydaje), czy też arogancja strategii (wygłaszają peany na temat każdego swego produktu, w ogóle nie tracąc czasu na analizy jakości). Wolałabym drugą ewentualność, bo da się przynajmniej uzasadnić prawami rynku. Dla niekompetencji nie mam natomiast żadnych usprawiedliwień.

Nawiasem mówiąc, autorce można tylko pozazdrościć wydawcy, który jak lew walczy o jej

wiersze. Lew gustujący w kruchych ciasteczkach to doprawdy ewenement! Jednak zupełnie innym problemem jest nagminne przecenianie przez wydawców i redakcje pism wagi i siły oddziaływania zamieszczanych recenzji. Właśnie na tej linii nastąpiło zderzenie trochę śmiesznych (bo wygórowanych) ambicji. Redakcje przywykły uważać, że czynią łaskę wydawcom i autorom recenzując ich książki, aż tu trafił się wydawca tak naiwnie samozadowolony, iż uznał, że on z kolei wyświadcza łaskę redakcji przez sam fakt udostępnienia do recenzji wydanego przez siebie dzieła, dając jasno do zrozumienia, że straciłby i „Akant”, i jego czytelnicy, gdyby tej publikacji nie poznali.

Ponieważ ja akurat dostąpiłam zaszczytu lektury (a opinie redaktorów, wydawców i recenzentów są mi potrzebne jak piąte koło u sań), dokonałam niekonwencjonalnego bilansu mych czytelniczych wrażeń: autorka «Anatomii uczuć» ma w swym tomiku kilka wierszy lepszych od utworu, który otrzymał Grand Prix w Trzecim Agonie Poetyckim „O Wieniec Akantu”. W książce nie ma natomiast ani jednego tekstu, który mógłby konkurować z wierszami pozostałych laureatów wymienionego konkursu. Skoro więc na dwóch zaledwie stronach „Akantu” (numer z lutego, s. 24-25) znalazłam aż siedem wierszy ciekawszych od tego, co w książce zawarto aż na kilkudziesięciu stronach, to (mimo oczywistych zastrzeżeń) przyznać muszę, że dumna z siebie redakcja oferuje jednak czytelnikom lepszą lekturę niż dumne z siebie wydawnictwo. Najważniejsze jednak, że istnieje wybór i konkurencja. Przybieranie póź jest tylko stratą czasu i energii.¹¹



Teresa Januchta

Poezja bez barier?

Otwarte „*wtorki literackie*”, organizowane comiesięcznie przez Koło Literackie przy Klubie Nauczyciela w Poznaniu, stały się już tradycją tego niewielkiego pomieszczenia przy Słowackiego 58/60 (w podwórzu na piętrze). Dla wszystkich zainteresowanych literaturą, niezależnie od wieku i przynależności do klubu (emerytów, młodzieży, nauczycieli i ludzi wszelkich innych zawodów) stanowią okazję do zapoznania się z sylwetką i dorobkiem literata, czasem z promocją jego najnowszej książki. Klimatu prawdziwej biesiady duchowej dopełnia towarzysząca często słowu muzyka i aktualna ekspozycja malarska. 28 stycznia 2003 r. odbyło się trzydzieste, a więc niejako jubileuszowe spotkanie. Tym razem „*wtorkowym*” gościem był poznański poeta, członek Związku Literatów Polskich, Stowarzyszenia Dziennikarzy RP i ZAİKS-u, Tomasz Agatowski. Jednak nie z powodu wymienionych przynależności związkowych jest to poeta, któremu warto poświęcić chwilę uwagi.

Przygotowując się, jako organizator spotkania, do zaprezentowania sylwetki autora, nie tylko wczytywałam się wielokrotnie w jego wiersze, słuchałam nagranych na kasetę magnetofonową aktorskich recytacji poety, przeczytałam kilka recenzji, lecz także zasięgałam opinii czytelników (w tym również ludzi pióra). Zdania tych ostatnich były bardzo podzielone. Niektórzy twierdzili, że to poezja trudna, niezrozumiała, kontrowersyjna, że Agatowski kreuje się na wieszacza, kokietuje czytelnika zawilą, barokową stylistyką itp. A wystarczyło przyjść o siedemnastej do Klubu Nauczyciela, by zobaczyć i usłyszeć niezwykle skromnego, wręcz zażenowanego prośbami słuchaczy, by mówił o sobie – artystę. Już na wstępie poprawił mnie, że to nie

święto Agatowskiego, tylko święto poezji. Rzezywiście, w wykonaniu samego autora poezja, która dla niektórych, czytana wzrokiem, stanowiła może tylko zbiór zgrabnie dobranych metafor, otworzyła swoje podwoje na odwieczne piękno „*zielonej planety*”, na przeszłość i przyszłość, które mimo poczucia upływającego czasu, są przecież jednością, na zwykłego człowieka uwikłanego w codzienne, prozaiczne czynności, które składają się na życie, poczynające się już z piętnem śmierci. Tak, to po prostu „*poezja poważna*” – jak to określił w „*Nocie*” prezentowanego tomu poezji „*Ja mniejszy brat słowa*” (Związek Literatów Polskich, Poznań 1998, ss. 60), a obecny także na spotkaniu inny, znany poeta Ryszard Danecki, dodając: „*Tomasz Agatowski zaprzecza twierdzeniu Juliana Przybosa, że poeta się nie jest, poetą się bywa. On jest nim ciągle! (...) Wnosi i nowy, odrębny ton do poezji współczesnej*”. Wyczuwalny jest w twórczości Tomasza Agatowskiego, nieprzeciętny, sposób patrzenia na świat, który Ryszard Danecki nazywa „*kosmicznym oglądem rzeczywistości*”. To tak, jakby poeta „*siedział w koronie najwyższego dębu*” (por. tytuł wiersza na s. 15) albo znacznie wyżej, skąd widać całą rzeczywistość, która jest, minęła i która dopiero nastąpi. Zaś ostatnie dwa wersy wiersza pt. „*Tomasz siedzi w koronie najwyższego dębu*” odczytałam niemal jako manifest skierowany do poetów na przełomie wieków i tysiącleci: „*Ul schyłku i na początku list o ślepcach do widzących / jest obowiązkiem Poety, który jest wśród obecnych*”.

Poeta najchętniej tworzy w „*samojni pracowni literackiej*”, znajdującej się w puszczy niedaleko Skoków, którą sam, własnymi rękoma zbudował i nadal doskonali. W spartańskich warunkach, z dala od miejskiego gwaru i zgiełku, we flanelowej koszuli i kamizelce z baraniej skóry, w gumowych butach, których nie boją się jeziornej wilgoci czuje się najlepiej. Podczas fizycznej pracy rodzą się głębokie filozoficzne myśli, przelewane na papier szeroką klasyczną „*fraszą z biblijnym – zaśpiewem*” (R. Danecki). Marzeniem autora jest być rozumianym nawet przez nieszkolonych

literacko drwali, słuchających jego pieśni z otwartymi ustami. A czytelnikom chce ułatwić interpretację wierszy, stosując wszelkie dostępne znaki interpunkcyjne (na przekór szerzącej się modzie na ich brak!) i podtytuły, które są jakby zapowiedzią lub syntezą myśli towarzyszącej lekturze utworu.

Podsumowując owo spotkanie, trwające dłużej, niż się spodziewaliśmy (z powodu dyskusji wyrażającej duże zainteresowanie słuchaczy w liczbie około trzydziestu), powiedziałam: „*Niech żałują ci, którzy tu dziś nie byli*”. Miałam przy tym na myśli i tych, którzy być nie chcieli lub zignorowali zaproszenie, i tych którzy – z różnych powodów – być nie mogli, jak choćby pewien anonimowy wielobiciel poezji Tomasza Agatowskiego na wózku inwalidzkim. Strome, drewniane schody na piętro okazały się, niestety barierą nie do przebycia. A przecież najczęstszymi bywałcami Klubu Nauczyciela są seniorzy z różnymi schorzeniami wynikającymi z wieku (także narządów ruchu). Ilu z nich nie może korzystać z imprez kulturalnych odbywających się w tym i w innych lokalach (Pałacu Działyńskich, Centrum Kultury „*Zamek*” itp.)? Trudno powiedzieć, bo chyba nie prowadzi się takich statystyk. Trudno też znaleźć winowajcę. W czasach, kiedy literaci wydają książki za własne pieniądze i przychodzą na spotkania autorskie za symboliczny kwiatek, bo brak pieniędzy na honorarium, kiedy pasjonaci ze społecznikowską naturą, ukształtowaną jeszcze w czasach „*zgnitego socjalizmu*” są filarem wciąż niedoinwestowanej (bo i skąd?) kultury, cieszyć się wypada, że są jeszcze miejsca, gdzie można – nie mając grosza przy duszy – usiąść, wypić darmową herbatę czy kawę i delektować się strawą nie tylko dla ciała. A można też – dodajmy jeszcze – wziąć sobie z klubowej witriny opatrzonej napisem „*Klub Polskiej Książki*” wybrany tomik za symboliczną złotówkę (kogo stać może dać więcej) lub tylko go sobie pożyczyć. Można, jeśli ma się trochę chęci i... dwie zdrowe nogi. ♣

Jacek Karolak

O roli konkursów poetyckich

W dyskusji dotyczącej współczesnej poezji chciałbym zabrać głos na temat roli jaką pełnią konkursy poetyckie w życiu „*młodych twórców*” (w cudzysłowie ponieważ granica młodości w tym wypadku przesuwana się, czasami nawet znacznie). Pomimo tego, że konkursy tego typu adresowane są głównie do rzeszy młodych poetów (często przed debiutem książkowym), to bierze w nich udział cała rzesza twórców posiadających już pewien dorobek literacki. Nie ma w tym oczywiście nic złego, jednakże fakt ten wskazuje na to, że w Polsce nie ma jasno określonego progu zawodowości, popularności w dziedzinie literatury, możliwości wydawniczych itd.

Pisząc te słowa chciałbym generalnie skupić się na korzyściach jakie niosą ze sobą tego typu imprezy, a z drugiej strony może paradoksalnie zaznaczyć, iż może zostać zmarnowana szansa przebicia się laureatów, kiedy to po ogłoszeniu wyników takiego turnieju twórczość laureatów pozostaje nadal „*nie odkryta*” przez czytelników, choć moim zdaniem ten drugi aspekt sprawy jest rzadszy, co tylko dobrze świadczy o organizatorach.

Osobiście jestem zdania, iż konkursy literackie spełniają dobrze swoje zadanie i mogą być wspaniałą przyczyną rozpropagowania czyjejś twórczości pod warunkiem dobrej organizacji.

W Polsce znanych jest kilkanaście konkursów, które spełniają tę rolę. Bardzo ważną rzeczą jest to, aby po takiej uroczystości pozostał jakiś ślad w postaci almanachu pokonkursowego dobrze rozpropagowanego, publikacje w lokalnej prasie itd. Tu wspaniale spełniają to za-

danie organizatorzy konkursu im. Haliny Poświatowskiej w Częstochowie, nawiązawszy kontakt z „*Gazetą Wyborczą*”, publikują wiersze laureatów w lokalnym dodatku kulturalnym. Również organizatorzy ogólnopolskiego konkursu poetyckiego w Płocku „*O Liść Dębu*” im. Władysława Broniewskiego wydają w bardzo piękny sposób (na kredowym papierze) tomik pokonkursowy rozprowadzając go następnie wśród czytelników (trafia do księgarń w Płocku). To samo dotyczy bardzo już prestiżowych agonów poetyckich „*O wieniec akantu*”. Siłą rzeczy przykładowo wymieniam tylko niektóre ośrodki, ale jest ich oczywiście znacznie więcej. Niezmiernie ważną formą propagowania wyników konkursu jest informacja zamieszczona w Internecie. Uważam, że nie można bagatelizować tej formy przekazu i tu pochwalić można wyżej już wymienionych organizatorów z Płocka, ponieważ w witrynie internetowej Książnicy Płockiej zamieszczany jest pełen protokół Jury.

Konkurs jest wspaniałą formą wypowiedzi i zaprezentowania własnej twórczości szczególnie, gdy w ramach nagrody organizowane są dla laureatów wieczory autorskie, a możliwości znalezienia innej płaszczyzny wyrazu są trudne. Na marginesie można zwrócić uwagę na to, iż często łatwiej jest wygrać konkurs poetycki, niż dostać się na łamy jakiegos periodyku literackiego obecnego na naszym rynku wydawniczym. Raz, że czasopism tego rodzaju nie jest w Polsce zbyt wiele, dwa – cykl wydawniczy jest często bardzo długi, a po trzecie, to łamy tych pism nie otwierają się zbyt łatwo dla osób mało

znanych, przecierających dopiero szlaki dla własnego pisarstwa. Zdarzają się jednak periodyki, które dają szansę autorom nowym, do takich chlubnych przykładów można zaliczyć: <Akant>, <Topos>, <Literacką Polskę>, <Kwartalnik Artystyczny>. Co innego, że wiersz, który został nagrodzony w konkursie poetyckim np. dla twórców przed debiutem może nie spełniać warunków, zdaniem redakcji czasopisma, publikacji obok wierszy znanych i uznanych twórców itd.

Wreszcie konkurs może być bardzo dobrą okazją do poznania nowych ludzi parających się działalnością pisarską, zwłaszcza krytyków – jurorów, konkurentów konkursowych, twórców lokalnych, którzy chętnie pojawiają się na takich spotkaniach, zazwyczaj bardzo uroczystych, gdzie można wymienić się własnymi tomikami, podyskutować, zorientować się w życiu literackim danego regionu (czasami warunkiem uczestnictwa w konkursie jest nadesłanie utworu literackiego tematycznie związanego z regionem) szczególnie w dobie łączenia się gospodarczego z Europą, wchodzenia do Unii Europejskiej, literatura może być wspaniałym przyczynkiem do tego, aby pokazać, co jest ważne dla danego kraju, a Polska ma przecież czym pochwalić się w dziedzinie literatury i to nie od dzisiaj. Jest to ważny argument narodowościowy we Wspólnotach Europejskich dla każdego kraju wobec starcia się kultur poszczególnych krajów.

Kolejnym argumentem przemawiającym na rzecz konkursów jest nagroda, często pieniężna, która może być przecież spożytkowana na rozpropagowanie własnej twórczości w postaci publikacji własnego tomiku poetyckiego.

A mankamenty konkursów? Nawet jeżeli są, to nie jest ich wiele, jednak zawsze dany twórca może poszczycić się tym, że ktoś przeczytał jego utwory i jeszcze je nagrodził, a to nie mało w dobie popkultury, zmechanizowania społeczeństwa, którego tak bardzo obawiał się Witkacy. ♣



Waldemar Hilla

W laboratorium rewolucji

Minęło już niemalże 40 lat od momentu głosznej prapremiery dramatu Petera Weissa „Marat/Sade” w reżyserii Konrada Swinarskiego w Schiller Theater w Berlinie. Czy dzisiaj utwór, powstałby w czasach rodzącej się kontrkultury, będący sporem między idealizmem a socjalizmem, może budzić jeszcze emocje inne niż uczucie rozczarowania, niechęci i obojętności? Czy forma dramatyczna niecodziennego teatru w teatrze w latach 60., bez wątpienia rewolucyjna i awangardowa, może poruszyć serce i rozum współczesnego widza? Na takie pytania musi odpowiedzieć sobie każdy inscenizator i twórca pragnący przełożyć „Prześladowanie i śmierć Jeana Paula Marata przedstawione przez grupę teatralną zakładu w Charenton pod kierownictwem pana de Sade” na język nowo-

– dla kogo ta wolność? Co się stało z naszą rewolucją? – i stworzyć mroczny rytuał objawień rewolucji konającej w schizofrenicznych drgawkach. Kolejnym walorem spektaklu są postaci – wszystkie z krwi i kości, istniejące nie tylko poprzez słowa, ale i poza nimi; to bohaterowie tworzący autonomiczne byty. Ale niewątpliwie najważniejsze jest to, że w toruńskim przedstawieniu dylematy Marata – utopijnego wyznawcy rewolucyjnego zrywu i Sade’a – reprezentanta skrajnego indywidualizmu, są nadal porażająco aktualne.

Spektakl Bubienia toczy się w bardzo interesująco skonstruowanej przestrzeni. Elżbieta Terlikowska znalazła przejmujący ekwiwalent dla stworzenia iluzji zakładu dla obłąkanych. Metalowa klatka, okalająca kulisy i wydłużona aż po



Wywoływacz – Michał Marek Ubysz, Corday – Matylda Podfilipska, Duperrot – Paweł Kowalski

czesnego teatru, współbrzmiały z teraźniejszym „włóczęganiami czasu”, mogący nadal stanowić centrum światopoglądowych sporów dotyczących jednostki, historii i ideologii, ścierających się racje filozoficznych, historiozoficznych w próbie docierania do tajemnicy natury ludzkiej i świata. Bo co pozostało dzisiaj z rewolucyjnego mitu, którego metaforą w dramacie Weissa jest choroba i obłęd? Jak uniknąć w takim przypadku przeintelektualizowania, wyspekulowania, przegadania czy też wypreparowania teatralnej konstrukcji? Ostatnimi w teatrze polskim, którzy próbowali na przełomie wieków owe dylematy artystyczno-interpretacyjne rozwiązywać i rozstrzygać na scenie, byli Krzysztof Nazar w Teatrze „Wybrzeże” w Gdańsku i Tadeusz Bradecki w Teatrze im. Słowackiego w Krakowie. W lutym tego roku dołączył do nich Andrzej Bubień, przygotowując w Teatrze im. W. Horzycy w koprodukcji z hamburskim centrum sztuki współczesnej Kampnagel, kierowanym przez Gordanę Vnuk, swoją wizję sceniczną dramatu Weissa; wizję tyleż efektowną, oryginalną i znaczącą, co spójną z intelektualnym przesłaniem sztuki, ukazującej rewolucję jako zjawisko i jej odwieczny dramat. Bo pułapka rewolucji – o której mówią toruńscy realizatorzy – z jej tęsknotami, nadziejami i rozczarowaniami nie jest literacko-teatralną fikcją, lecz nieodłącznym elementem ludzkich dziejów. Wszyscy jesteśmy na nią skazani. Poza tym Bubienio- wi udało się ominąć rafy niejasnych prawd, nastrojów w poszukiwaniu odpowiedzi na pytania

sceniczny horyzont, daje efekt bolesnego osaczenia pacjentów-aktorów. Grają oni osoby psychiczne, i robią to z godną podziwu determinacją; to wariaci-odmieńcy nie pozbawieni wrażliwości, choć przez świat odrzuceni. Każda z postaci zdefiniowana jest określonym rodzajem natręctwa, obsesji, fobii, charakterystycznym tikiem. Jako grupa nie stanowią bezwolnego, monotonnego ciała. Ich działania pulsują niczym aktywna lawa. Dlatego momenty szczególnego ożywienia wywołują prawdziwy niepokój Coulmiera, naczelnika więzienia (Paweł Tchórzelski) i jego żony (Anna Romanowicz-Kozanecka). Pacjenci są, jak uosobienie tajemniczych i groźnych sił tkwiących w człowieku; to szaleńcy pełni ekstatycznych objawień; uczestnicy psychozabawy, podczas której dochodzą wreszcie do głosu tłumione przez chorobę emocje i nieposkromione pragnienie wolności. Ich masowy trans, pozbawiony przypadkowej cielesności i fizyczności, jest jak taniec śmierci na barykadach rewolucji. Przykuwa uwagę przede wszystkim precyzja i dopracowanie w najdrobniejszym szczególe każdego portretu klinicznego – cała gama nerwowych póz, ruchów, spojrzeń, grymasów, tików... A każdy kostium to niemal osobne arcydzieło. Ileż tu odmian bieli i kremowych odcieni znakomicie wprost zharmonizowanych z charakterem postaci. Dlatego każdy pacjent w inscenizacji Bubienia stanowi jakby osobną figurę, o której można napisać całe studium. Ileż niepokojącego samozaparcia, powagi i wzniosłości jest w Agnieszce Wawrzkie-

wicz (Simone Evrard), składającej nerwowo chusteczkę; to jakby ikona Marii Magdaleny ocierającej czoło Chrystusa; ileż tajemniczego, milczącego skupienia w postaci Kamili Jankowskiej, ileż agresywnej żywiołowości w Annie Magalskiej-Milczarczyk; ile wzruszającej bezradności w charakterystycznym ruchu dłoni Małgorzaty Chojnowskiej-Wiśniewskiej; ileż lęków i macierzyńskich obsesji w bohaterce Ewy Pietras, ileż dziękuję, gwałtownej zwierzęcości u pacjenta-przeora Marka Milczarczyka... Każdy z obłąkanych niesie przy tym swoje osobiste cierpienie, swoją odmienną historię i swoje własne doświadczenie; jak piewca natury przeciwstawiony kulturze; jak ofiara tragedii rozgrywanej się na peryferiach świata.

Zbiorowy bohater w toruńskiej inscenizacji wyraźnie góruje nad głównymi protagonistami dramatu. Nie czyniłbym jednak z tego powodu zarzutu reżyserowi. Falowanie zbiorowych emocji – od nieśmiałości i opornego wykluwania się rewolucyjnej ideologii po jej klęskę – przekładające się na partyturę choreograficzno-dźwiękową, dyscyplinuje rytm przedstawienia i pozwala na refleksję nad dialektyką historii, nad istotą tworzenia, nad światem, nad naturą jednostki i jej miejscem w zbiorowości społecznej. Marat w interpretacji Sławomira Maciejewskiego to cierpiący samotnik, to rewolucyjny zapaleniec, jednocześnie pełen prostoty w chwili przedśmiernej autorefleksji. Jest jak wielka otwarta rana, lodowaty bożek skrajnego rewolucjonizmu przykuty do swojej wanny niczym do łodzi Charona, szukający w niej schronienia jak w łonie matki. Maciejewski imponuje dyskretnością środków wyrazu; tworzy postać stonowaną i wyciszoną; pokazuje, że nie używając krzyku, nerwowego spazmu, można być także przejmującym w swym idealistycznym i wizjonerskim zapatrzaniu w świetlane ideały rewolucji.

Na osobne słowa uznania zasługuje, debiutująca na toruńskiej scenie w roli somnambuliczki Charlotte Corday, Matylda Podfilipska. To ona ma najwięcej wewnętrznej prawdy poprzez swą nieświadomą zmysłowość, choć przecież wypowiada swoje kwestie jakby w sennej malignie. Jest jak medium odbierające rewolucję zmysłami; kruche, delikatne, raz nieobecne, to znów przenikliwe, pełne siły i bezradności, okrucieństwa i chęci odwetu, lęku i bezsilności. Rola Podfilipskiej to niewątpliwie sceniczne objawienie. Wspólnie partneruje jej Paweł Kowalski jako Duperrot, tragikomiczny arystokratyczny dupek, który pomimo swej wysminkowanej błażości i monstrialnej peruki, potrafi nie tylko rozśmieszyć, ale i doprowadzić widza do współodczuwania jego cierpienia w uporczywym poszukiwaniu kobiety godnej jego pożądanego. Znakomitą postacią stworzył Michał Marek Ubysz jako Wywoływacz – reżyser rytuału, w który przeradza się przedstawienie Markiza de Sade’a (Jarosław Felczykowski) – umiejętnie zonglujący konwencjami i nastrojem, przenikaniem tonacji od buffo do serio.

Dobrze się stało, że wymiana poglądów między Maratem i Sadem nie stała się w toruńskiej inscenizacji li tylko retorycznym dyskursem. Akcenty tej dyskusji zostały tak umiejętnie rozłożone – duża w tym zasługa tłumacza Jerzego Korpantego – że brzmią ponadczasowo, nie są martwe i nie rażą sztucznością. Żyją wobec i obok wszystkich scenicznych działań i pasji, obok ludzkich strzępów grających konkretne ciała. Historia już nie raz pokazała, że wszelkie rewolucje skazane są na powolną agonię w żalosnych podrygach. Koniec takich uniesień rzadko bywa poważny i wzniosły. Najczęściej bywa najwyznaczajny śmieszny. Jednak temperatura i wewnętrzna dramaturgia toruńskiego spektaklu i świata w nim wykreowanego, pozwala nam dotknąć bólu, którego sami doświadczamy tu i teraz.■

Peter Weiss: „Marat/Sade”

Reżyseria: Andrzej Bubień, scenografia: Elżbieta Terlikowska, muzyka: Tomasz Hynek, ruch sceniczny: Olga Włóczyńska, premiera: Teatr im. W. Horzycy w Toruniu 15 lutego 2003

Dzień dobry, Redakcjo

Oto moje recenzje z „Akantu” nr 3/68 rok VI, marzec 2003:

1. Str. 41 „Jak przebić się przez muł i ryk?”

Wiadomo, że przez stopniowe wyciszenie obu „siatek”. Pisałam już o tym kilka razy w „Akancie”.

2. Str. 39 „Kondycja literatury polskiej”.

Nie mam żadnych roszczeń terytorialnych. Posiadam bardzo mocne wariackie papiery – jako wyleczona schizofreniczka.

3. Str. 20 „Na kanapce u psychiatry”

W ten sposób można tylko ustalić następną wizytę u tego samego psychiatry.

4. Str. 36 „Noblesse, która nie zawsze, niekiedy i nie każdego oblige”

Noblesse oblige po polsku znaczy: Zdechnę, a nie skurwię się.

Hanna Sobolewska-Kurowska

Nie spodziewałam się „Akantu” zainspirowanego kulturą śródziemnomorską. Cieszę się i staję się również wielbicielek Waszej ideologii „Furtki słońca”, sugerującej optymizm i nadzieję.

Jadwiga Bałowska-Muszyńska

Wysoko cenię „Akant” i innych wydawców mordujących się w gąszczu bezlitosnych praw rynku, dla którego liczy się nie powołanie twórcze i wychowanie społeczeństwa, ale zysk.

Tadeusz Chrościelewski

W epoce postmodernistycznego społeczeństwa otwartego, gdy wszem i wobec propagowane są normy wspakultury, dostrzeganie tego, co od zawsze funkcjonuje w naszym kręgu cywilizacyjnym jest niezmiernie ważne. „Akant” właśnie to robi, to jest jego linia programowa. I tak trzeba, i to wyróżnia właśnie to pismo spośród innych dostępnych.

Wojciech Borkowski

Najpierw odświętnie – wielkie gratulacje i życzenia z okazji jubileuszowej „Piątki”! Dziękuję za „jest”, trzymam kciuki za „będzie” i cieszę się, że nie jestem odosobniony. Niech się jak najlepiej wiedzie ku ogólnemu zadowoleniu!

A teraz jeszcze na pół odświętnie – serdeczne powinszowania za pomysł i realizację takiego podania indeksu autorów za rok 2002, jak to uczyniono w numerze 13(65) z grudnia 2002 r. To chyba wielka dla autorów satysfakcja, że w tak przyjemny, niekonwencjonalny sposób informuje się o ich wysiłkach i sukcesach. Zaś dla nas, Czytelników, taki indeks to autentyczne upodmiotowienie kontaktu z ulubionym czasopiśmie. Od momentu jego opublikowania nigdy już nie będzie ono tworem bezosobowym, bo te 150 twarzy i 150 nazwisk weszły do naszych domów jako miłe i konkretne Postacie, z którymi mamy zawsze do czynienia, gdy gościmy „Akant”. Tak zareagowałam ja na ten indeks, a sądzę, że i wielu innych czytelników.

Ale moja reakcja wywołała niespodziewane następstwa, których u innych nie jestem już tak pewien. Po prostu nie wszyscy są tak jak ja zazdrośni. A ja zazdrościłem tym wszystkim Waszym „akantowym” Autorom tej Ich możliwości bycia w domach Czytelników. Zgłaszam więc swoją ofertę, aby się znaleźć w tak szacownym gronie Szczęśliwych Wybrańców. I muszę się szczerze przyznać, że tę zazdrość podbechtały w zasadzie dwie wieści z opublikowanego indeksu autorów: kilka znajomych mi nazwisk, a co najważniejsze, kilku autorów o dłuższym stażu życiowym niż ja, a to coraz częściej zjawisko w praktyce nie spotykane...

Zbigniew Swajna

Odkąd mam „Akant” na wyciągnięcie ręki i z utęsknieniem wypatruję listonosza, jestem zdumiona faktem, że będąc na emeryturze – mogę jeszcze za czymś tęsknić. Kiedyś tęsknota kojarzyła mi się tylko z młodością. Jakież to było mylne pojęcie.

Czytając „Akant” strona po stronie, mam wrażenie, że rozmawiam z autorami tekstów, których właściwie nie znam. No, może z pewnymi wyjątkami. Zapoznając się z twórczością różnych autorów, powoli ich poznaję.

Ogromnie ucieszyła mnie wiadomość o tworzeniu „Furtki słońca”. Mam cichą nadzieję w tym cyklu utwory wypełnione ciepłem i nadzieją na lepsze, tak bardzo potrzebne w obecnych czasach. Utwory pełne radości i słońca.

Chciałabym też, aby właśnie przez tę „Furtkę słońca”, „Akant” rozkwitał jeszcze bardziej i dawał więcej radości takim osobom jak ja.

Barbara Tylman

Choć tyle o miesięczniku literackim „Akant” słyszałem nie dane mi dotychczas było skrzyżować swoich dróg na

bydgoskich alejkach. Ale wszakże lepiej późno niż wcale. Dodam, że usatysfakcjonowany będę każdym sygnałem od Redakcji. Życząc kolejnych spełnień literackich dziękuję za uwagę i pozdrawiam.

Dariusz Adam Zeller

Przedstawiam się Szanownej Redakcji:

Przez kilka lat prowadziłam Koło Poetów w Gdańsku dopóki nie przeważały tam elementy ćpające, pijące i rzygające...

Marzy mi się Syberia, by dokończyć poemat pt. „Jeszcze słychać jęk Polaków nad Wołgą”. Napisałam cztery książki, których nie mogę wydać, bo mam aż 661 złotych renty. Ha, żebracy wśród poetów zawsze byli modni. Ale ja jestem godną i ambitną Lwówianką. Urodziłam się na polskiej, lwowskiej ziemi i małe dziecko zapamiętało co nieco... A potem nastąpił okres samotnej walki, że smrodem i brudem na Przy-morzu.

Gorszy mnie zmaterializowany świat, zniemczenie Polski, zapach kultury i brudy w Kościele Katolickim... To wszystko odbija się w moich smutnych wierszach.

Piszę, bo muszę, jestem spod znaku „Raka” jak Miłosz i Szymborska, ale nie jestem Żydówką, tak że nie będę „noblowana” nigdy jak oni.

Morze moim przyjacielem. Morze to moja rodzina.

Mam wiele myśli, mam dwie ręce gotowe do pisania, niewykorzystane dwie nogi, biegające słowa, nie wyspiewane piosenki, nie poukładane strofy...

Krzyszyna Pękala-Kuchcińska

Dziękuję z całego serca, że dzięki Waszym wysiłkom istnieje takie pismo jak „Akant”. Chwała Wam wszystkim za to, co tworzycie

Ireneusz Wieczorek

Restauracja „Kolumnowa”

zaprasza codziennie w godz. 7.00-23.00



Hotel „Pod Orłem”, ul. Gdańska 14, 85-006 Bydgoszcz
tel. (052) 583 05 30, fax (052) 584 02 24



Szef kuchni oferuje
dania kuchni polskiej i międzynarodowej.
Receptury niektórych dań sięgają stuletniej tradycji.

Organizujemy:

- ✓ bankiety ✓ przyjęcia ✓ szkolenia
- ✓ konferencje ✓ imprezy cateringowe

Niech Święta
Zmartwychwstania
Pańskiego
staną się dla nas
wszyskich znakiem
zwycięstwa
Dobra nad złem

Redakcja



poligrafia MAGENTA

85-066 Bydgoszcz, ul. Konarskiego 2
tel./fax (0-52) 328 72 77
e-mail: magenta48@wp.pl

Oferujemy druk:

- książek,
- folderów, katalogów, wizytówek,
- listowników, ulotek reklamowych,
- kalendarzy, itp.

Rzadkie techniki:

- zanikający, ale szlachetny druk typograficzny,
- tłoczenie, wykrawanie, złożenie,
- unikatowe introligatorstwo.

Zapewniamy
wysoką jakość naszych wyrobów!



Redaguje kolegium:

- Jolanta Baziak – redaktor naczelny
- Aneta Jaworska – redaktor
- Beata Anna-Pokorska – redaktor
- Andrzej Orylski – red. wyd. internetowego
- Katarzyna Wodecka – redaktor techniczny
- Jolanta Papala – korektorka
- Grzegorz Misiewicz – kierownik marketingu
- Konto: PKOSA I/O Bydgoszcz
10201462-73033-270-11
- Adres redakcji: ul. Dworcowa 51B/4
85-009 Bydgoszcz, tel. 052/321 33 71
tel./fax 052/371 40 90
- http://www.akant@akant.telvnet.pl
- Naświetlanie: „TANGRAM”, ul. Jaskółcza 42,
Bydgoszcz
- Druk: MAGENTA, tel. 052/328 72 77

RADA REDAKCYJNA:

- Marek Pietrzak – przewodniczący
- Barbara Klunder-Nikołowa, Michał Krzemkowski,
- Grzegorz Misiewicz, Wojciech Reszka,
- Mieczysław Wojtasik, Włodzimierz Zieliński

